



Diana Palmer



*POTĘGA
UCZUCIA*

Tytuł oryginału: Will of Steel

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nigdy nie lubił tu przyjeżdżać, bo na domiar złego ten głupi cielak wszędzie za nim łąził. Po prostu jak cień, nie było sposobu go odpędzić. Kiedyś spróbował przemówić mu do rozumu za pomocą gałazeczki jodły. Chociaż zrobił to bardzo delikatnie, i tak okazało się brzemienne w skutkach, ponieważ właścicielka czworonoga miała wyjątkowo dużo do powiedzenia na temat okrutnego traktowania zwierząt, powołała się również na przepisy prawne. A jemu naprawdę nie trzeba było wymachiwać prawem przed nosem, skoro to on, właśnie on był komendantem policji w Hollister, małym miasteczku w Montanie położonym niedaleko innego, o wiele większego miasta Medicine Ridge.

Teraz i on, i właścicielka cielaka byli już poza granicami miasta, na niewielkim ranczu w połowie leżącym na zboczu góry i wzbogaconym o dwa wartkie strumienie z czystą wodą pełną pstrągów. Jeszcze do niedawna ranczo miało dwóch właścicieli, a mianowicie jej wuja i jego wuja. Bardzo się przyjaźnili, niestety obaj przenieśli się już do wieczności. Jego wuj zmarł na atak serca, a mniej więcej miesiąc później jej wuj zginął w katastrofie lotniczej w drodze na zjazd hodowców bydła.

Przyszłość rancza, delikatnie mówiąc, nie rysowała się w różowych kolorach. Pewien kalifornijski deweloper nie mógł się już doczekać, kiedy posiadłość zostanie wystawiona na licytację, on przebiję wszystkich i zostanie nowym właścicielem skrawka ziemi, na którym zamierzał wybudować luksusowy ośrodek rekreacyjny dla bogaczy. Liczył na to, że przyciągną ich strumienie z pstrągami, dzięki temu interes będzie się kręcił.

Gdyby Theodore Graves, komendant policji w Hollister, miał tu

cokolwiek do powiedzenia, noga wspomnianego dewelopera nigdy by nie powstała na tej ziemi. Ona myślała dokładnie tak samo. Niestety, testamenty obu chytrych staruszków zawierały pewną klauzulę odnośnie własności owej ziemi. Z tą klauzulą Graves zapoznał się dopiero podczas odczytywania testamentu wuja i po prostu przeżył szok. Od tej chwili owa klauzula była powodem nieustannych utarczek słownych między nim a nią, a zaczynało się to już w chwili, gdy Ted zbliżał się do tych drzwi.

– Nie wyjdę za ciebie – oznajmiła zgodnie z tradycją Jillian Sanders, gdy Theodore Graves wszedł na werandę. – Absolutnie. Nawet gdybym miała zamieszkać w szopie razem z Sammy.

Sammy to był ten cielak.

Ted spojrział w dół z wysokości nieporównywalnie większej niż poziom osiągniany przez czubek głowy Jillian Sanders.

– Żaden problem. Zresztą nie mam złudzeń, przecież prawo na to nie pozwala. Dzieciakom z podstawówki nie udzielają zezwolenia na ślub!

Jillian zmarszczyła swój lekko zadarty nos.

– Oczywiście, że żaden problem! Bo tobie w domu starców też na to nie pozwolą! Ot co!

Był to ich stały tekst. On miał lat trzydzieści jeden, ona była prawie o dziesięć lat młodsza. Jednak pomijając tę różnicę wieku, znowu nie aż tak koszmarną, to i tak kompletnie do siebie nie pasowali. Ona była malutką blondynką o niebieskich oczach, zaś on czarnookim i czarnowłosym facetem bardzo słusznego wzrostu. Ona nienawidziła broni i hałasu wszelkiego rodzaju, on z bronią był za pan brat i bardzo lubił jeździć swoim starym wozem, spełniając policyjne obowiązki na rzecz nielicznej lokalnej społeczności, do której należeli oboje, i on, i ona. Ona za hobby obrała wymyślanie nowych przepisów na różne słodkości, a on słodczy nie

tolerował. Z jednym tylko wyjątkiem. Ciasto funtowe, i owszem, to konkretnie był w stanie przełknąć. Nawet z przyjemnością.

– Jeśli nie wyjdiesz za mnie, Sammy skończy jako danie dnia w restauracji, a ty będziesz musiała zamieszkać w lesie, w jakiejś pieczarze.

Postraszył, ale to wcale nie skłoniło jej do zmiany stanowiska. Absolutnie nie, o czym świadczyło groźne spojrzenie w górę, prosto w jego czarne oczy. Przecież w końcu to nie jej wina, że wszyscy najbliżsi już ją opuścili i nie będzie miała gdzie się podziać. Rodzice zmarli wkrótce po jej przyjściu na świat, podczas epidemii grypy, dlatego wychowywał ją wuj John. Niestety nie cieszył się dobrym zdrowiem, miał poważne problemy z sercem. Jillian bardzo o niego dbała, a już szczególnie o jego dietę, i w rezultacie wuj pożegnał się z życiem nie z powodu chorego serca, lecz podczas katastrofy lotniczej, w sumie nawet nie takiej groźnej. Leciał wtedy na zjazd hodowców bydła. Wprawdzie jego stado nie było już imponujące, ale wuj bardzo lubił takie zjazdy, gdzie mógł spotkać starych znajomych.

Jillian bardzo brakowało wuja Johna. Tęskniła za nim, czuła się na ranczu bardzo samotna. Ta sytuacja oczywiście uległaby zmianie, gdyby wyszła za tego oto Rambo. Niemniej jednak...

Nigdy w życiu!

Dlatego znów spiorunowała go wzrokiem, bardzo wyraziście, jakby ten stojący przed nią wielki facet był uosobieniem wszelkiego zła.

– Wolę mieszkać w pieczarze! Czemu nie? Chociażby dlatego, że nienawidzę broni! – Rzuciła kolejne nieprzychylne spojrzenie na jedno z bioder komendanta ozdobione kaburą z dużym pistoletem starego typu. – Przecież z czegoś takiego można przestrzelić betonową ścianę!

– Całkiem możliwe – przyznał z dumą.

– A tak w ogóle, to dlaczego nie nosisz czegoś... mniejszego, jak twoi

funkcjonariusze?

– Bo lubię zaszpanować!

Był po prostu bezczelny, dlatego ją przytknęło. Oczywiście tylko na moment, a kiedy ją odetkało, poczęstowała go kolejnym groźnym spojrzeniem.

A on już tylko westchnął.

– Nie jadłem lunchu – wyznał. – Umieram z głodu.

– Dlaczego? W naszym mieście jest przecież całkiem niezła restauracja.

– Którą i tak niebawem zamkną, bo nie mają kucharki. Swoją drogą to bardzo dziwne, nie uważasz? Tyle kobiet w mieście zajmuje się gotowaniem, a żadna nie chce gotować dla obcych! – Dla niego była to tragedia, przecież żywił się głównie mrożonkami oraz daniami na wynos właśnie z tej restauracji. Cóż, jego byt był zagrożony, dlatego teraz to on spiorunował ją wzrokiem. – Od śmierci głodowej uratuje mnie tylko małżeństwo z tobą. Bo gotować potrafisz. Przynajmniej to!

Spojrzała na niego z wyższością.

– Oczywiście, że potrafię! A co do tej restauracji, to niech cię głowa nie boli. Nie zamkną jej, dziś rano zatrudnili nową kucharkę.

– Naprawdę?! Skąd ją wytrzasnęli? Kto to taki?!

– Hm... Nazwisko jakoś mi umknęło. Ale mówią, że to ktoś, kto naprawdę jest w tym dobry. W każdym razie na pewno nie umrzesz z głodu.

– Całe szczęście. Chociaż fakt, że przeżyję, w niczym nie zmienia naszej sytuacji. Powinienem się ożenić, i to właśnie z tobą. Chociaż może i warto by było pobyć jeszcze wolnym jak ptak!

– Ja na pewno bym wołała – oświadczyła Jillian stanowczym głosem. – Przecież z nikim się nie umawiam. Z nikim. Szczerze mówiąc, to nigdy nie chodziłam na randki.

– Nigdy?! Dziewczyno! Przecież masz już prawie dwadzieścia jeden lat!

– Tak, ale mój wuj każdego chłopaka, który zbliżył się do mnie, traktował bardzo podejrzliwie. W rezultacie wszystkich odstraszał i tak naprawdę to w ogóle nie ruszałam się z domu.

– Ale raz udało ci się stąd zwać, prawda?

Policzki Jillian w mgnieniu oka zrobiły się purpurowe. Bo i fakt, był powód, by się zarumienić. Kiedyś uciekła z rewidentem księgowym, który przyjechał do miejscowego prawnika sporządzać księgi. Był o wiele starszy od niej, bardzo światowy i z miejsca ją oczarował. Zaufała mu, tak samo jak kiedyś, przed dwoma laty, zaufała innemu mężczyźnie. A rewident zaprowadził ją do motelu, a konkretniej do swojego pokoju pod pretekstem, że czegoś tam zapomniał. Tak jej powiedział, a jednocześnie zamknął drzwi na klucz i zaczął ściągać z niej ubranie. Konsekwentnie, choć jednocześnie był dla niej bardzo miły. Nie wiedział jednak, że Jillian ma głębokie emocjonalne blizny po ranach zadanych przez człowieka, który kiedyś próbował ją już do czegoś zmusić. Teraz bała się okropnie, choć jednocześnie rewident naprawdę jej się podobał i wzbudzał zaufanie. Wuj John natomiast od początku mu nie dowierzał. Był ostrożny, nigdy przecież sobie nie darował, że Jillian tyle przeszła z powodu człowieka, którego przyjął do pracy. Dlatego kazał jej trzymać się od rewidenta z daleka, ale ona zdążyła już połknąć haczyk. Stało się to podczas wizyty u prawnika. Wuj zabrał tam swoją siostrzenicę, dzięki czemu Jillian poznała rewidenta. Kiedy wuj rozmawiał z prawnikiem, rewident zabawiał Jillian i to wystarczyło, by nabrała przekonania, że jest to całkiem innego rodzaju człowiek niż tamten mężczyzna, którego wuj John przyjął kiedyś do pracy.

Potem rewident dzwonił do niej kilkakrotnie, prosząc o spotkanie.

Namawiał usilnie, czarował, w rezultacie pewnego wieczoru, kiedy wuj położył się spać, Jillian wymknęła się z domu. Niestety rewident okazał się zbyt zdesperowany. Jillian udało się jednak jakimś cudem wyciągnąć komórkę i wystukać 911.

O tym, jaki był finał, naprawdę trudno zapomnieć.

Mam nadzieję, że naprawili już te drzwi... – powiedziała zamierającym głosem.

– Przecież były zamknięte na klucz!

– Czyli można było otworzyć je kluczem...

– Gdybym zaczął go szukać, ty w tym czasie zostałabyś...

Policzki Jillian zrobiły się podwójnie purpurowe.

– Wiem... – bąknęła, przestępując z nogi na nogę. – Przecież już ci dziękowałam, że mnie uratowałeś.

– A ten wędrowny księgowy przekonał się, że uwodzenie nastolatek w moim mieście jest raczej niebezpieczne!

Tak naprawdę nie było o czym dyskutować. Tylko dzięki błyskawicznej interwencji Teda szesnastoletnia Jillian uratowała swój honor. Ale rewident i tak pozostał w jej pamięci jako mężczyzna, który, przynajmniej jak dotąd, wzbudził w niej największe zainteresowanie. Była też przekonana, że gdyby wiedział o jej niepełnoletności, nie prosiłby o spotkanie. Po tej historii odszedł z firmy i nigdy już więcej nie pojawił się w tych stronach, a Jillian do dziś była przekonana, że w gruncie rzeczy zawiniła ona.

Kiedy miała piętnaście lat, przeżyła pierwszą przygodę ze starszym od niej mężczyzną. Żałosny epizod, który pozostawił w jej sercu lęk. Kiedy jednak pojawił się rewident, pomyślała, że może nadszedł czas, by znów zaufać mężczyźnie. Niestety i ten epizod nie zakończył się pozytywnie, w rezultacie w ogóle jej odeszła ochota na randki. Mówiąc dobitnie, całkiem ją

zmroziło.

Bo rewident naprawdę jej się podobał, wierzyła mu, była w nim po prostu zakochana...

– Sędzia puścił go wolno – powiedziała cicho. – Udzielił mu tylko surowej reprimendy. Ale równie dobrze mógł wylądować w więzieniu i to byłaby moja wina, tylko moja.

O mężczyźnie, który odsiadywał wyrok za napaść na nią, nie wspomniała. Ted nie musiał o tym wiedzieć, a Jillian nie miała najmniejszego zamiaru go o tym informować.

– Nie patrz tak na mnie! – burknął Ted. – Żałujesz go, a przecież nawet gdybyś była pełnoletnia, nie miał prawa do niczego cię zmuszać!

– No nie.

– A potem wuj trzymał cię pod kloszem... Zaraz, zaraz... – Oczy Teda rozbłysły. – Przecież to jasne jak słońce! Miałaś czekać na mnie! Nasi staruszkowie zaplanowali nasze małżeństwo wiele lat temu, ale żaden nie pisnął ani słowa! – Było to logiczne i teraz, gdy Ted to powiedział, wydawało się całkiem oczywiste, zarazem jednak zabrzmiało jak prawdziwa rewelacja. Jillian z wrażenia na moment zaniemówiła, Ted natomiast, zachwycony swoim odkryciem, kontynuował; – Hodował cię dla mnie jak małą orchideę w cieplarni!

Był tak bardzo wkurzający, że Jillian musiała odzyskać głos. Więc odzyskała i rzuciła zjadliwie:

– Twój wuj jednak nie wziął z niego przykładu!

Ted wzruszył lekceważąco ramionami, ale jego oczy rozbłysły jeszcze bardziej.

– A nie! Mnie nie chowano pod kloszem. I słusznie, bo kiedy co do czego dojdzie, jedno z nas powinno znać się na rzeczy.

– Do niczego nie dojdzie! – krzyknęła Jillian, po raz kolejny czerwona jak burak. – Nie wyjdę za ciebie!

– No cóż... Zrobisz, jak chcesz. Może w tej pieczarze da się wytrzymać, jeśli położysz jakiś dywanik i zawieszysz firanki. Szkoda tylko... – Spojrzenie Teda przemknęło ku oknu. – Biedny Sammy! Jego przyszłość, że tak powiem, zapowiada się bardzo smakowicie!

– O nie... – Głos Jillian załamywał się. – I po raz ostatni przypominam ci, że Sammy jest krową, a nie żadnym bykiem!

– Ale Sammy to męskie imię, prawda? I całkiem odpowiednie dla byka.

– Co z tego? Moja Sammy to ona. Krowa, kiedy dorośnie, będzie dawać mleko.

– Jeśli się ocieli.

– O proszę! Jaki mądry!

– A tak! W końcu należę to Stowarzyszenia Hodowców Bydła, a tam można się wiele dowiedzieć.

– Ja też należę do stowarzyszenia i uważam, że dowiedzieć się można tylko w jeden sposób. Hodując bydło!

Ted w odpowiedzi najpierw nasunął kapelusz z szerokim rondem bardziej na czoło, dopiero potem oświadczył:

– Dyskusja z blondynką nigdy nie jest konstruktywna. Dlatego najlepiej będzie, jak się już pożegnam. Wracam do roboty.

– Tylko nie postrzel kogoś przypadkiem!

– To nie w moim stylu.

– Tak? W takim razie jak to było z tym złodziejem, co napadł na bank?

– Strzelił do mnie pierwszy.

– Aha... Czyli głupio zrobił...

– A głupio – przytaknął Ted, uśmiechając się szeroko. – Sam mi to

powiedział, kiedy odwiedziłem go w szpitalu. Strzelił i spudłował. A ja nie. W rezultacie dostał dwa wyroki, pierwszy za napad na bank, a drugi za napaść na funkcjonariusza policji.

– Podobno przysiągł, że ci się odpłaci. Co będzie, jak wyjdzie z więzienia?

– Jestem prawie pewien, że nie zwolnią go przed terminem. Wyjdzie wtedy, kiedy ja już będę w domu starców.

– A skąd ta pewność? Przecież wiadomo, że wielu przestępcom udaje się wyjść wcześniej. Trzeba tylko znaleźć dobrego prawnika.

– Akurat ten facet robił tablice z numerami rejestracyjnymi, więc na dobrego prawnika z pewnością go nie stać.

– Przecież tym, których nie stać, przydziela się prawnika z urzędu, opłacanego z budżetu stanu.

Ted, udając szalenie zaskoczonego, zawołał:

– Naprawdę?! Nie wiedziałem. Dzięki, że mi o tym powiedziałaś! – Zabrzmiało to wyjątkowo zjadliwie.

Nic więc dziwnego, że w zamian za to poczęstowany został pytaniem wypowiedzianym podniesionym głosem znamionującym wielką irytację:

– Miałeś wracać do pracy, prawda? To dlaczego tu jeszcze jesteś?

– Dlatego, że jakoś ci się nie chce przestać flirtować ze mną.

– Co?! Ja z tobą flirtuję? Zwariowałeś?!

Ted uśmiechnął się i nagle spojrział na nią całkiem inaczej. W czarnych oczach pojawiło się ciepło.

– Oczywiście, że flirtujesz – powiedział, podchodząc do niej bliżej. – Dlatego proponuję, żebyśmy zrobili pewien eksperyment, który będzie miał na celu wykazanie, czy jest między nami chemia, czy też jej nie ma.

Jillian przez kilka sekund w milczeniu wpatrywała się w niego,

wyraźnie rozpracowując uzyskaną informację. Kiedy udało jej się tego dokonać, błyskawicznie zrobiła dwa kroki w tył, a jej policzki spurpurowiały.

– Nie życzę sobie żadnych eksperymentów! Zwłaszcza z tobą!

Ted westchnął, po czym oznajmił:

– W porządku, jeśli taka twoja wola, ale tylko pomyśl, Jake. Jeśli nie lubisz eksperymentować, nasze małżeństwo, o ile do niego dojdzie, będzie bardzo nieciekawe.

– Nie obchodzi mnie to! I przestań w końcu nazywać mnie Jake! Przecież to imię dla chłopaka!

– Dla mnie jesteś Jake. – Ted omiół spojrzeniem niedużą postać w wystrzępionych dżinsach, szarym rozciągniętym swetrze i butach z czubkami wygiętymi ze starości ku górze. Długie jasne włosy Jill upięte były ściśle na czubku głowy, na twarzy ani śladu makijażu. – Kiedyś na takie coś mówiło się „chłopczyca”! – dokończył oskarżycielskim tonem.

Jillian natychmiast umknęła spojrzeniem w bok. Wiedziała doskonale, że nie wygląda jak dama. Tyle że naprawdę miała powody, by nie podkreślać swojej kobiecości. Theodore tych powodów nie znał, a ona nie miała najmniejszego zamiaru roztrząsać tematu ani z nim, ani z kimkolwiek innym.

On zaś wyczuwał, że jego uwaga obudziła w niej bardzo niemiłe refleksje. Czyżby ukrywała coś przed nim? Chyba tak...

Ochota do żartów przeszła jak ręką odjął.

– Jake, a może chciałabyś ze mną o czymś pogadać? – spytał łagodnym tonem, jakim zwracał się zwykle do dzieci.

– Nie, nie – mruknęła, nadal unikając jego wzroku. – To i tak w niczym nie pomoże.

– Może jednak warto spróbować?

– Nie, Theodore. Za mało cię znam, żeby ci o pewnych sprawach

opowiadać.

– A więc odkładamy to na później. Kiedy już się pobierzemy, będziesz miała okazję poznać mnie naprawdę dobrze.

– Pobierzemy się? Czy do ciebie jeszcze nie dotarło, że na to nie dostaniesz mojej zgody?

– A, rzeczywiście. No cóż... Biedna Sammy! Skończy jako...

– Theodore, przestań w końcu mnie dręczyć! Przecież wiadomo, że w razie potrzeby znajdę ludzi, którzy ją przygarną. Chociażby Callisterowie.

– Przecież hodują tylko bydło czystej rasy.

– Moja Sammy ma w sobie szlachetną krew i po ojcu, i po matce. Matka była rasy hereford, ojciec rasy angus.

– Czyli Sammy jest zwyczajną krzyżówką!

– Wszystko zależy od punktu widzenia. To prawda, jest krzyżówką, ale w jej żyłach płynie tylko szlachetna krew, i to aż dwóch ras! A ty nie udawaj głupka, bo tak się składa, że dobrze wiem, czym się dodatkowo zajmowałeś, kiedy służyłeś w wojsku. Studiowałeś fizykę!

Kruczoczarne gęste brwi Teda przemieściły się nieco w górę.

– Mam być zadowolony?

– Niby z czego?

– Z tego, że jednak interesujesz się moją osobą.

– Och, bez przesady, przecież o tej twojej fizyce wie całe miasto! Tylko osobiście trochę mnie dziwi, że mając takie wykształcenie, zdecydowałeś się zostać małomiasteczkowym szeryfem.

– Och, już ci to wyjaśniam. Po prostu nie ciągnie mnie do badań naukowych, no i, co najważniejsze, w laboratorium nie wolno bawić się bronią!

– Broń, ach, ta broń... – Jillian westchnęła. – Nie ruszasz się bez niej, a

przecież zawsze można kogoś niechcący postrzelić. Właśnie to przydarzyło się jednemu z twoich funkcjonariuszy, który w sklepie z paszą upuścił pistolet na ziemię, a on wypalił.

– Niestety, tak było – przyznał Ted z ponurą miną. – Facet skończył służbę i wsunął trzydziestkę dwójkę do kieszeni, a kiedy sięgnął po drobne, rewolwer wysunął się, upadł na podłogę i wypalił.

Błąd, wielki błąd. Na pewno nigdy już czegoś takiego nie zrobi.

– To samo mówi jego żona. Aha, mówiła coś jeszcze. To mianowicie, że jak się wkurzysz, stajesz się po prostu straszny!

– Dziwisz się? Całe szczęście, że pocisk trafił w regał z puszkami. Trzeba było zapłacić za szkody, to wszystko. A pomyśl, co by było, gdyby trafił w człowieka?! Mogło dojść do tragedii! W końcu nie bez powodu wymyślono kabury!

W tym momencie Jillian odruchowo spojrzała na kaburę przypasaną do biodra komendanta. Była z jasnobrązowej skóry, ozdobiona została bardzo pięknym wytłoczonym wzorkiem i srebrnymi guzami. Miała nawet frędzle.

– Tak... A twoja kabura jest bardzo ładna.

– Podoba ci się? To prezent od kuzynki. Sama ją zrobiła.

– Tanika? Twoja kuzynka Czejenka, która mieszka koło Hardin?

– Tak, to jej dzieło – potwierdził z uśmiechem.. – Tanika uważa, że nawet coś tak praktycznego jak kabura powinno być piękne.

– Ma rację. – Jillian również się uśmiechnęła. – A ty masz bardzo uzdolnioną kuzynkę. Widziałam zrobione przez nią indiańskie torby parfleche. Były wystawione na sprzedaż w punkcie handlowym w Hardin, niedaleko Pola Bitwy nad Little Bighom. Takie spore płaskie torby z surowej skóry, ozdobione paciorkami i frędzlami. Prześliczne!

– Dzięki, Jake, za komplementy pod adresem Taniki, a także wielkie dzięki za to, że nie powiedziałaś Pole Bitwy Custer.

A tak mówiło wielu ludzi, choć było to niesprawiedliwe. Oczywiście Ted nie miał nic przeciwko podpułkownikowi Custerowi, ale w tej wielkiej krwawej bitwie polegli nie tylko jego ludzie, ale także wielu Indian, czego nie wolno pomijać milczeniem. Ted był bardzo wyczulony na tym punkcie, ponieważ jednym z jego przodków był Czejen, a wojownicy z tego plemienia złożyli daninę krwi i w bitwie nad Little Bighom¹, i w bitwie nad Wounded Knee.

Jillian uśmiechnęła się.

– Nie mogę mówić inaczej, skoro wśród moich przodków mam Siuksa.

– Nie wątpię. Wystarczy na ciebie spojrzeć! – rzucił żartobliwie Ted, spoglądając znacząco na jej jasne włosy.

– I co z tego? – obruszyła się Jillian. – Mój kuzyn Rabby jest w połowie Indianinem, a ma jasne włosy i szare oczy!

– Wiem. Zdarza się... – Ted spojrzał na wielki zegarek na rękę. – Muszę już jechać na rozprawę do sądu.

– A ja właśnie piekę ciasto funtowe.

– Funtowe? Ejże.. Czy mam to zrozumieć jako zaproszenie?

– No... ktoś tu przed chwilą mówił, że umiera z głodu.

– Tak, umiera. Ale samo ciasto nie załatwia sprawy.

– Z pewnością nie załatwi, dlatego w moich planach uwzględniłam jeszcze stek i ziemniaki.

Pełne wargi Teda rozciągnęły się w uśmiechu.

– Brzmi zachęcająco. Na którą?

¹ Masakra nad Wounded Knee. Ostatnie duże starcie między wojskami Stanów Zjednoczonych a Indianami Wielkich Równin w dniu 29 grudnia 1890 r., zakończone klęską Indian. (Przyp. tłum.)

– Może na szóstą? Oczywiście jeśli spóźnisz się z powodu napadu na bank, będziesz usprawiedliwiony.

– Mam przeczucie, że tego rodzaju atrakcje dziś mnie ominą... A wiesz, Callisterowie oddali mi już flet, który pożyczyli ode mnie, gdy wybierali się w podróż poślubną do Canun. Może wezmę go ze sobą? Zagram ci coś ładnego. Jakaś serenadę...

Policzki Jill pokrył delikatny rumieniec. Przecież wiadomo było, że w świecie Indian flet odgrywa dużą rolę podczas zabiegania o względy dziewczyny.

– Bardzo miło z twojej strony.

– Naprawdę? – Uśmiechnął się.

Ten konkretnie uśmiech Jillian odebrała jako niepokojący.

– Theodore, ty chyba miałeś jechać już do sądu?

– Tak, tak, już jadę. Czyli umówieni jesteśmy na szóstą?

– Zgadza się.

– A więc do zobaczenia. – Położył dłoń na klamce. – Czy mam włożyć smoking?

– Przecież zapraszam cię tylko na stek!

– A tańców potem nie będzie?

– Nie, chyba że rozpalisz na dworze ognisko i potańczysz sobie dookoła.

– Wokół ogniska?! Żartujesz! Przecież mi chodzi o inny taniec, o taniec towarzyski!

– A jaki? Walc? Polka?

– Tango.

Oczy Jillian rozbłysły.

– Tango?! Naprawdę?

– Naprawdę. Jeden z moich bliskich znajomych, też policjant, nauczył się tanga w Argentynie, a potem nauczył mnie. To znaczy nie tańczył ze mną, tylko z dziewczyną, a ja się przyglądałem... Jake, jadę już. A więc do zobaczenia o szóstej!

– Do zobaczenia, Theodore!

Jillian zamknęła drzwi, oparła się o nie plecami i na moment znieruchomiała. Musiała pomyśleć, i to koniecznie. Choć chwilkę.

Co robić? Co robić?! Okropnie bała się małżeństwa, jednocześnie jednak zdawała sobie sprawę, że kiedyś będzie musiała wyjść za mąż. Wiadomo, za jakiegoś mężczyznę.

I tu właśnie krył się problem. Jak długo by nad tym nie myślała, zawsze najlepszym kandydatem na męża okazywał się Theodore Graves. Chociażby dlatego, że mówiąc już tak całkiem szczerze, Jillian nie miała zbyt wielkiego wyboru. Mężczyzn w odpowiednim wieku znała bardzo niewiele i żadnego spośród nich nie znała tak dobrze jak Theodore'a. Znała go przez całe życie i pomijając te kłótnie na temat małżeństwa w ostatnim czasie, stosunki między nimi były zawsze jak najlepsze. Teraz zresztą też, kiedy się nie kłócili, rozmawiało im się bardzo sympatycznie.

Poza tym chodziło przecież o ranczo. Alternatywą małżeństwa była po prostu jego śmierć. Zgodnie z ostatnią wolą poprzednich właścicieli, jeśli Theodore i Jillian się nie pobiorą, ranczo przejdzie w obce ręce. Najprawdopodobniej kupi je ów deweloper z Kalifornii, co będzie oznaczało zagładę nie tylko tego rancza, ale i wszystkich rancz w okolicy. Wielki ośrodek rekreacyjny to nie tylko miejsca do spania, lecz również cała infrastruktura, czyli lokale rozrywkowe, pola golfowe, baseny, stacje benzynowe i różnego rodzaju biznesy. Wszystko to będzie pączkować, zżerać nowe akry ziemi. Oczywiście nastąpi wówczas ożywienie gospodarcze

całego regionu, jednocześnie jednak Hollister straci swój urok cichego miasteczka położonego wśród lasów i gór, co dla Jillian równało się z niepowetowaną stratą. Była pewna, że inni mieszkańcy tych okolic są tego samego zdania, też kochają lasy z wysokimi sosnami wydmowymi i płytkie, lśniące jak diamenty strumienie z pstrągami. Uwielbiała je łowić, kiedy tylko znalazła na to czas. Czasami dołączał do niej Theodore ze swoją wędką. Łowili, potem oprawiali ryby i smażyli na rozgrzanym oleju. Były pyszne...

Jillian oderwała plecy od drzwi i powędrowała do kuchni. Trzeba zabierać się do roboty. Roboty, którą bardzo lubiła, czyli gotowania. Jej nauczycielką był jedna z przyjaciółek wuja. Cóż, wujowi zdarzało się, choć nieczęsto, miewać przyjaciółki, takie prawie narzeczone, choć nigdy nie posunął się dalej w swych deklaracjach. Jillian okazała się uczennicą bardzo pojętna. Więcej – gotowaniem, pieczeniem, każdym rodzajem działalności kulinarnej była zafascynowana. Wygląd chłopczycy, jak to określił Theodore, nie miał tu nic do rzeczy. Był po prostu zmyłką, bo przecież uwielbiała zanurzyć dłonie w mące i ugniatać, ugniatać. O tak! Potrafiła nawet upiec prawdziwy domowy chleb na zakwasie! Niewiele osób do tego się zabiera, a przecież to prawdziwa rozkosz dla palców, kiedy ugniata się miękkie, gładkie ciasto. Następna rozkosz to cudowny zapach świeżo upieczonego chleba, do którego Jillian miała zawsze prawdziwe domowe masło, które kupowała u pewnej starej wdowy mieszkającej tuż przy drodze.

Theodore Graves również był fanem takiego chleba, postanowiła więc, że tego dnia, oprócz funtowego ciasta, upiecze także i chleb. Roboty miała sporo, wszystko jednak poszło zgodnie z planem. Kiedy skończyła krzątać się po kuchni, przebrała się, tyle że wiadomo, nie w jakąś szykowną sukienkę. Ale włożyła nowe niebieskie dżinsy, różową kraciatą koszulę, a jasne włosy jak zwykle upięte na czubku głowy ozdobila różową wstążką. Zdawała sobie

sprawę, że nie jest ani piękna, ani elegancka, ale przynajmniej wyglądała jak dziewczyna.

I istotnie bo Theodore już od progu powitał ją okrzykiem:

– Ejże! Czy mnie wzrok nie myli? Ty jednak jesteś dziewczyną!

– Jestem kobietą – oświadczyła, spoglądając na niego wyniośle.

Na to on:

– Jeszcze nie.

Na co ona oczywiście oblała się krwistym rumieńcem i za nic nie była w stanie zmusić swojego umysłu do wymyślenia ciętej riposty.

Ted, który naturalnie zauważył, że się speszyła, pokajał się jak należy:

– Przepraszam. Palnąłem. Niewybaczalne, zwłaszcza że uraziłem osobę, która... – uniósł nieco głowę i wciągnął głęboko powietrze – ... upiekła chleb! Genialnie!

– Wyczułeś?

– Oczywiście. Nie chwaląc się, mam wyjątkowo rozwinięty zmysł powonienia. Nie wiem, czy ci już kiedyś opowiadałem, jak dzięki temu udało mi się dopaść zabójcę poszukiwanego listem gończym.

Facet używał obrzydliwej, najtańszej wody kolońskiej. Zwiewał jak zając, kluczył między skałami, a ja niczym wyżeł podążałem za jego zapaszkiem. I wlałem prosto na niego. Poddał się bez walki.

– A powiedziałeś mu, że szedłeś za jego zapaszkiem? – spytała rozbawiona Jill.

– A skąd! Jeszcze by rozpowiedział to swoim koleśiom i ta informacja któremuś z nich mogłaby się kiedyś przydać, prawda?

– Faktycznie. A w tobie odzywa się indiańska krew, prawda? Indianie są najlepszymi tropicielami.

– Nie przesadzaj! Każdy może się tego nauczyć.

- Dobrze już, dobrze. Dotarło. Ale ty jesteś dziś drażliwy!
- Rzeczywiście. Przepraszam, Jake, ale ten Banes znowu mnie dzisiaj wkurzył!
- Banes? Znowu? W takim razie wyślij go na przejście uliczne przed szkołą. Mówiłeś, że on tego nienawidzi!
- Niestety, już nie. Jego nowa przyjaciółka jest wdową, a jej synek uważa go za bohatera. Dlatego Banes od jakiegoś czasu uwielbia dyrygować dziećmi, kiedy przechodzą przez ulicę.
- W takim razie trzeba znaleźć coś innego... Chwileczkę, a czy on przypadkiem nie mówił, że nienawidzi kierować ruchem, kiedy ludzie zjeżdżają na mecz?
- Tak! – Twarz Teda pojaśniała. – Rewelacyjny pomysł!
- A więc masz już to z głowy. Powiedz mi jeszcze tylko, z jakiego powodu tym razem chcesz go pognębić?
- Przyniósł nową książkę o bitwie nad Little Bighom i pokazał fragment, w którym stoi jak byk, że Szalony Koń nie brał w niej udziału!
- Co ty mówisz?!
- Niestety, ale widziałem to na własne oczy! Takie wpadki zdarzają się coraz częściej. Jakiś pisarzyna, który nie ma pojęcia o Indianach, nazbiera różnych plotek i bzdurnych sensacyjnych opowieści, uważa, że już został ekspertem i zabiera się do pisania książki. Jego najważniejszym celem jest przekazanie czytelnikom, że tylko on, jeden jedyny, zna prawdę o tej sławnej bitwie. Posłuchaj tylko, co napisał o Custerze. Uznał go za zwyczajnego głupka, dowodził też, że Custer był wplątany w tę aferę z handlarzami, którzy oszukiwali Siuksów i Czejenów.
- Bzdura! Nikt, kto czytał poważne opracowania o Custerze, nie uwierzy w takie brednie! – rzuciła zapalczywie Jillian. – Przecież to właśnie

Custer stawiał się w sądzie, żeby zeznawać przeciwko rodzonemu bratu prezydenta Ulyssesa S. Granta, ponieważ ów brat zamieszany był w aferę korupcyjną. Custer, gdyby sam miał coś na sumieniu, nigdy by się nie zdecydował na takie ryzyko. Przecież to logiczne!

– Dokładnie to samo powiedziałem Banesowi.

– A co na to Banes?

– Powiedział, że ten pisarz jest znanym autorytetem z zakresu historii militarnej. Jego specjalność to wojny napoleońskie.

– Co?! Wojny napoleońskie? A co one mają wspólnego z Bitwą na Śliskiej Trawie? – zawołała oburzona Jillian. – Mogę się założyć, że ten żalosny pisarzyna nawet nie wie, że tak tę bitwę nazwali Indianie Lakota!

– Ten facet to przede wszystkim dowód, że nie we wszystkim można zablęsnąć. Każdemu przyda się trochę skromności, bo inaczej możesz okazać się dyletantem, który zamiast prawdy, propaguje kłamstwa i zwykłe banialuki. Wyobraź sobie, że dla tego gościa podstawowym źródłem informacji były gazety i czasopisma!

– O ile mi wiadomo, Lakota i Czejenowie nie zamieszczali w gazetach relacji z bieżących wydarzeń...

– Oczywiście, że nie – odparł ze śmiechem. – Nie mieli żadnego korespondenta wojennego, dlatego bitwę rozpatruje się z punktu widzenia dowództwa armii Stanów Zjednoczonych albo polityków. A tak w ogóle to moim zdaniem historia pisana jest prawie wyłącznie przez zwycięzców, bo przegrani rzadko kiedy mają szansę zabrać głos. A to bardzo wypacza dzieje ludzkości, nie uważasz?

– Masz rację.

– Dzięki... Jake, trzeba przyznać, że nieźle znasz historię naszych okolic.

– A znam, bo naprawdę mnie interesuje, pewnie też dlatego, że płynie we mnie krew rdzennych mieszkańców tego regionu! Ty masz swoich Czejenów, a ja Siuksa.

– No właśnie. Jake, tak sobie myślę, że może kiedyś razem wybierzemy się do Hardin? Pochodzimy po polu bitwy, pogadamy. Co ty na to?

Oczy Jillian rozbłysły.

– Naprawdę? Super! Zajrzemy też do punktu handlowego, gdzie okoliczni Indianie przynoszą swoje wyroby na sprzedaż. Mówiłam ci już, że widziałam tam te śliczne torby Taniki. Moim zdaniem powinno się jak najmocniej popierać rodzimych twórców. Kompletnie nie rozumiem, po co komu tak zwana sztuka indiańska produkowana w Chinach. I my to importujemy! Nie mam nic przeciwko Chińczykom, ale jest to jednak jakiś obłąd, prawda?

– Owszem, choć dlaczego tak się dzieje, nie potrafię ci wyjaśnić.

– Ty? Komendant policji? Przecież powinieneś być doinformowany pod każdym względem.

– Tak uważasz? Dziękuję!

Jillian uśmiechnęła się i dygnęła jak dziewczynka, co skłoniło Teda do zadania kolejnego pytania z całkiem już innej beczki:

– Jake, a czy ty w ogóle masz jakieś sukienki?

– Oczywiście, że mam! To znaczy... jedną. Miałam ją na sobie na uroczystym zakończeniu nauki szkolnej. Wisi w szafie... No tak, chyba najwyższy czas kupić sobie nową.

– Pewnie tak, tym bardziej że niezależnie od naszych gorących dyskusji, nadal zamierzam cię podrywać, czyli, jak to się kiedyś mówiło, zabiegać o twoje względy. W takiej sytuacji dziewczyna powinna być jednak w sukience, nie sądzisz? O tym, że do ślubu nie idzie się w dżinsach, nie

wspominając!

– Do ślubu?! Theodore, powtarzam po raz ostatni. Nie wyjdę za ciebie!

Ted nie miał już jednak ochoty na żadne dyskusje tego typu, stwierdził więc pogodnie:

– Pogadamy o tym później, dobrze? – Położył na stoliku obok drzwi swój kapelusz z szerokim rondem. – Bo moim zdaniem najwyższy czas podjąć ciepłego chleba, i to już, póki masło się jeszcze nie roztopiło!

– Masz rację. – poparła go ze śmiechem. – Przynajmniej w tej chwili ciepły chlebuś i maselko to dla nas najważniejsza sprawa pod słońcem!

ROZDZIAŁ DRUGI

Chleb był pyszny, czyli taki, jaki powinien być prawdziwy chleb. Delektując się jego cudownym smakiem, Ted aż przymykał oczy.

– Ty też, gdybyś tylko chciał, mógłbyś sobie coś ugotować albo upiec. Trzeba tylko spróbować – stwierdziła Jillian.

– Niestety, pod tym względem jestem beznadziejny – wyznał szczerze Ted. – Na przykład za nic nie potrafię uchwycić właściwych proporcji.

– Nauczę cię.

– Dzięki, ale po co mam się tego uczyć, skoro ty już to potrafisz? I całkiem nieźle ci to wychodzi...

– Przecież mieszkasz sam, więc...

– Już niedługo! – wpadł jej w słowo, wymownie przy tym spoglądając na Jillian.

– Theodore! Dziś już chyba po raz dziesiąty...

– Może i tak, ale wiesz, ten facet z Kalifornii, pamiętasz, ten deweloper, przyszedł dziś do mojego biura.

– Nie mów!

– Niestety, tak. – Ted najpierw pokiwał smętnie głową, a potem z wielkim zapalem zatopił zęby w następnej pajdzie chleba z masłem. A gdy przełknął, mówił dalej: – Facet gadał już z firmami wykonawczymi na temat realizacji projektu. Mają składać oferty. – Powiedział to tak, jakby gryzł każde słowo. Bezlitośnie, jak chleb. I jednocześnie tymi czarnymi jak węgle oczami przewiercał ją na wylot. – Powiedziałem mu o tej klauzuli w testamencie.

– I co on na to?

– Podobno już o tym słyszał. I na pewno jest dobrej myśli, bo słyszał też, że nie chcesz wyjść za mnie. – Gdy Jill skrzywiła się, dodał: – A tak w ogóle to kroczył przez miasto dumnie jak paw. – Opróżnił filiżankę. – Robisz wspaniałą kawę. Większość ludzi po prostu miesza z wrzątkiem odrobinę kawy, a w twojej można postawić łyżeczkę na sztorc.

– Bo też lubię mocną. – Mówiąc to, wpatrywała się w jego pociągłą twarz o wyrazistych rysach. – Na pewno pijesz dużo kawy, kiedy musisz pracować całą noc. Wiem przecież, że w tym miesiącu niejedną już zarwałeś.

– Zgadza się. Zimowe festyny przyciągają ludzi z całego kraju, choć dla niektórych głównym powodem przyjazdu jest nadzieja na zdobycie pracy w którejś ze spółek górniczych.

– I pewnie niektórym to się udaje, ale ja mówię o turystach. Dużym powodzeniem cieszą się mistrzostwa w strzelaniu do glinianych gołębi. Słyszałam, że złodzieje śledzą zawodników i spisują numery rejestracyjne właścicieli najbardziej wypasionych samochodów, a potem ich okradają. Niektórzy zawodnicy naprawdę mają niezłą kasę. Słyszałam, że potrafią kupić strzelbę za pięć tysięcy dolarów!

– Czemu nie? – z śmiechem skomentował Ted. – Skoro mają takie możliwości...

– Ale po co? Ty strzelasz super, jak prawdziwy snajper, a tak drogiej broni nie masz.

– Nie mam, ale to wcale nie znaczy, że nie chciałbym jej mieć. Ale cóż, dopóki nie obrabuję banku, nigdy nie będzie mnie na nią stać. Najwyżej mogę ją sobie pożyczyć.

– Naprawdę? Znasz kogoś, kto pożyczy ci strzelbę za pięć tysięcy dolarów?

– Wyobraź sobie, że znam! To komendant policji w małym mieście w

Teksasie. Kiedy był młodszy, sam organizował zawody strzeleckie. Nadal ma strzelbę i zawsze chętnie mi ją pożyczy. Nie jest do niej tak przywiązany, jak niektórzy strzelcy. Ale sprzętu snajperskiego nie pozwoli nikomu choćby tknąć.

– Przepraszam, jakiego sprzętu?

– Snajperskiego. Mój znajomy ma naprawdę ciekawą przeszłość. Był kiedyś tajnym agentem, taką maszyną do zabijania.

– Naprawdę?! – Wyraźnie była podekscytowana tą informacją.

Natomiast Ted spochmurniał.

– Nie rozumiem, co kobiety widzą fascynującego w facetach, którzy strzelają do innych ludzi!

– Nie rozumiesz? – Jillian zamilkła na moment, zastanawiając się nad odpowiedzią. – Bo to jest sytuacja ekstremalna, prawda? Większość ludzi nigdy się w niej nie znajdzie. A ci mężczyźni są właśnie w takiej sytuacji i mają okazję się sprawdzić, przekonać się, jacy naprawdę są. Na co ich stać.

– Nie, Jake, to nie tak działa, a ty idealizujesz. Człowiek poznaje siebie w normalnych warunkach, tam, gdzie żyje dzień po dniu, a kiedy znajdzie się w sytuacji ekstremalnej, na przykład w ogniu walki, rządzi nim już tylko strach. Cała sztuka polega na tym, żeby umieć ten strach ujarzmić i wykrzesać z niego energię nie do ucieczki, lecz do ataku. Wykrzesać z siebie odwagę, która, jak już powiedziałem, podszyta jest zwyczajnym strachem. Boisz się, ale wykonujesz swoje obowiązki. Moim zdaniem na tym to właśnie polega.

– Bardzo ładnie pan to sformułował, panie komendancie – oznajmiła z promiennym uśmiechem.

– Dziękuję. A wiem coś na ten temat, ponieważ brałem udział w prawdziwej wojnie i nieraz byłem w ogniu walki. Na początku naszej drugiej interwencji na Bliskim Wschodzie dostałem jedną kulę, szybko się

wylizałem i znów oberwałem. Potem, jak wiesz, przeszedłem do policji, a po jakimś czasie awansowałem na komendanta.

– A jak poznałeś tamtego komendanta z Teksasu?

– W Akademii FBI, podczas szkolenia z zakresu negocjacji z porywaczami. Prowadził to szkolenie. Rozbawiło mnie, gdy się dowiedziałem, że zanim wstąpił do Texas Rangers, znał tylko jeden sposób negocjacji, to znaczy ten, gdy przemawiała broń!

– Czyli był też komandosem?

– Przez jakiś czas, a potem pracował dla prokuratury okręgowej jako, słuchaj tylko uważnie, ekspert od cyberprzestępczości. I naprawdę miał w tej dziedzinie sukcesy! Znudziło mu się jednak siedzenie przed monitorem i rozpoczął działalność jako policyjny negocjator. Okazał się w tym tak dobry, że powierzono mu prowadzenie szkolenia, w którym uczestniczyłem jako słuchacz. Aha, był też żołnierzem najemnym, a także robił wiele innych interesujących rzeczy. No i umie tańczyć. Wprost rewelacyjnie! Podczas konkursu tańca w Argentynie, chodziło oczywiście o tango, zajął pierwsze miejsce. Powtarzam, wygrał w Argentynie konkurs tanga, a to mówi samo za siebie. To tak, jakbyś wygrała z delfinem zawody pływackie – spuentował z niejaką przesadą.

Jillian oparła brodę na złączonych dłoniach.

– Tango... – powiedziała rozmarzonym głosem. – Tylko na filmach widziałam, jak tańczą tango, na przykład „Zapach kobiety” z Alem Pacino... Bardzo mi się podobał.

– A ja na starym niemym filmie widziałem, jak tango tańczył Rudolf Valentino. Rewelacja! – entuzjasmował się Ted. – Co za styl...

– Och, Theodore! Ten taniec jest naprawdę urzekający...

– Tak powiadasz? A wiesz, że w Billings powstał nowy klub taneczny?

Tańców latynoskich! Otworzył go pewien gość z Nowego Jorku, który przez długie lata brał udział w konkursach tanecznych. Po przejściu na emeryturę przeniósł się do Billings i otworzył klub. Ludzie walą drzwiami i oknami, przyjeżdżają z Wyomingu i z Dakoty, żeby posłuchać znakomitej kapeli i potańczyć. Jake, może masz ochotę tam się wybrać? Mógłbym zabawić się w nauczyciela i nauczyć cię tańczyć tango.

Serce Jillian zatrzepotało. Tyle było między nimi kłótni, wzajemnych docinków, głupich uwag, a teraz proszę, co za niespodzianka! Theodore Graves po raz pierwszy proponuje jej wspólne wyjście. Prawdziwą randkę.

– Ależ tak! Bardzo chętnie wybiorę się tam z tobą!

– Sobota odpowiada?

– Jasne! – Jillian skwapliwie pokiwała głową.

Natomiast Ted, spoglądając na jej rozradowaną twarz, pomyślał, że to stworzenie nie tylko jest filigranowe, ale i bardzo jeszcze młode.

I oto młode filigranowe stworzenie błysnęło dowcipem:

– Na szczęście w soboty podstawówka nie ma lekcji, więc nie będę musiała się tłumaczyć przed dyrektorką z wagarów.

– Świetnie! – odparł ze śmiechem Ted. – Czyli nie muszę ci pisać usprawiedliwienia. Ale tak serio... Naprawdę pomyślałaś, że zastanawiam się, czy nie jesteś za młoda na taki wypad?

– Skądże! Przecież wiesz doskonale, ile mam lat. Niedługo skończę dwadzieścia jeden. Owszem, jestem od ciebie sporo młodsza, ale to wcale nie znaczy, że masz przed sobą głupiego dzieciaka, tym bardziej że od wielu lat ciążyły na mnie poważne obowiązki. No, „ciężały” to może złe słowo, w każdym razie opiekowałam się chorym na serce wujem Johnem, no i miałam cały dom na głowie.

– Wiem. Wiem też, że ludzie, którzy biorą na siebie odpowiedzialność,

szybciej dorośleją.

Jillian uśmiechnęła się do niego ciepło.

– A ja wiem, że ty o tym wiesz bardzo dobrze!

Przecież Theodore również opiekował się, wspaniale zresztą, schorowanymi osobami w podeszłym wieku, najpierw babcią, potem wujem, współwłaścicielem rancza.

– Przecież to normalne. – Wzruszył ramionami. – Tym, których kochasz, chcesz dać coś z siebie, prawda?

– No właśnie.

– A wracając do naszego wspólnego wypadu... – Spojrzenie Teda przemknęło po Jillian. I było to spojrzenie bardzo krytyczne. – Jake, czy do tego klubu masz zamiar iść w dżinsach i T- shircie? Jeśli tak, tak ja nie wkładam garnituru, tylko mundur.

A to duże ryzyko. Tam, gdzie się pije, prawie na bank dojdzie do zaczepki. Raz już byłeś tego świadkiem. Pamiętasz, na tamtej imprezie, kiedy facet, któremu tego dnia wlepiono mandat, chciał odegrać się na policjancie.

– Pamiętam. Ale nie musiałeś go od razu bić!

– Facet był strasznie napalony, więc musiałem go uspokoić. A wracając do nas... A więc jak to będzie? Mam włożyć mundur? A może jednak zdecydujesz się na spódnicę?

– No dobrze, niech ci będzie. Jakoś to przeżyję.

Ted, spoglądając na Jillian, przez chwilę zastanawiał się, skąd u niej te opory. Ciągłe w spodniach. Dlaczego nigdy nie ubierze się jak normalna kobieta? Oczywiście musi być ku temu jakiś powód. Miał wielką ochotę ją podpytać, ale powstrzymał się, zdając sobie sprawę, że jest to sprawa bardzo osobista, a na takie rozmowy jeszcze za wcześnie. Chociaż miał już pewną koncepcję. Prawdopodobnie są to konsekwencje tamtego nieszczęsnego

epizodu z rewidentem.

Uśmiechnął się bardzo łagodnie.

– Jake, tylko proszę, coś skromnego. Nie chciałbym, żebyś wyglądała jak te dziewczyny, co tańczą na rurze.

– W porządku! – odparła rozbawiona.

Bardzo lubił patrzeć na roześmianą Jillian. Była wtedy taka promienna, taka ładna. Niestety nie uśmiechała się często. On zresztą też. Jego praca nie sprzyjała pogodzie ducha.

– A więc w sobotę, Jake. Przyjadę po ciebie około szóstej.

Jillian pokiwała głową, zastanawiając się w duchu, co właściwie ma na siebie włożyć w najbliższą sobotę, gdy pojedą do ekskluzywnego klubu. Tę jedyną sukienkę, która wisi w szafie? Wykluczone. Musi sobie kupić coś nowego.

Owszem, musi. Tylko za co?

Na Sassy Callister natknęła się przypadkiem w sklepie z damską konfekcją, do którego wybrała się gnana nadzieją, że znajdzie tam coś odpowiedniego, a także, sprawa zasadnicza, coś taniego.

– Jill! Czyżbyś postanowiła wreszcie kupić sobie sukienkę?! – wykrzyknęła na jej widok Sassy. Nie kryła zaskoczenia, przecież znała Jillian od pieluszek i nigdy jeszcze nie widziała jej w innym stroju niż w dżinsach i T–shircie. Nawet do kościoła chodziła w spodniach, co prawda już nie w dżinsach.

Jillian spiorunowała ją wzrokiem.

– A dlaczego nie? Przecież też mam jakieś tam nogi!

– Nie tylko jakieś tam! – Sassy zachichotała. – Jill, przyznaj się, czy to przypadkiem nie sprawka Teda? To co, wreszcie zaprosił cię na pierwszą prawdziwą randkę?

Policzki Jillian natychmiast zmieniły kolor na ciemnoczerwony.

– A skąd ty...

– Daj spokój, przecież całe miasto wie o tych testamentach! I jeśli mam być całkiem szczerą, to wcale nie uważam tej klauzuli za głupią. Co więcej, jest w tym swoista logika, a nawet mądrość. To wasz wspólny spadek. Podzielić na pół? Bez sensu. A tak pobierzecie się i będziecie zgodnie gospodarować. Dzięki temu ranczo nie przejdzie w obce ręce, a nikt w tym mieście nie chce, żeby powstał tu jakiś wypasiony ośrodek rekreacyjny dla bogaczy. Nazjeżdżają się obcy, będą zadzierać nosa, szastać pieniędzmi i wtrącać się w nasze życie.

– Przepraszam, i kto to mówi? Dziewczyna, która niedawno wyszła za jednego z najbogatszych ludzi w Montanie!

Sassy znów się roześmiała.

– Jill, przecież doskonale wiesz, że przyjmując jego oświadczyzny, nie miałam pojęcia, ile ma na koncie.

– Multimilioner, który udaje skromnego pracownika na ranczu. No nie...

– Jillian potrząsnęła głową. – To był prawdziwy szok!

– Największy dla mnie, możesz być tego pewna. Próbowałam nawet z nim zerwać, ale do tego nie dopuścił. Powiedział, że pieniądze to tylko dodatek, a liczy się przede wszystkim człowiek. Muszę ci powiedzieć, że cała jego rodzina jest pod tym względem normalna. Rodzice byli misjonarzami, ciotka jest zakonnica. Aha, a jego ojciec chrzestny był żołnierzem najemnym. A wracając do twojej sukienki na randkę. Domyślam się, że chcesz coś upolować na wyprzedazy. Bo mając to, co zostawił ci wuj, nie bardzo możesz zaszaleć.

Ambicja podpowiadała, że w tym momencie powinna zaprotestować, jednak Jillian postawiła na szczerą. Sassy była dla niej zawsze taka miła,

taka kochana, nie sposób jej okłamywać.

– To prawda, Sassy. U mnie naprawdę cienko. Wiesz przecież, że pani Rogers z powodu podeszłego wieku zamknęła kwiaciarnię, przez co straciłam pracę. Minęło już sporo czasu, ale znaleźć coś innego w Hollister wcale nie jest łatwo. Więc jak na razie skubię te skromne wujkowe oszczędności...

– Wiem, wiem.

Sassy dobrze znała te sprawy, w końcu kiedyś sama była kobietą pracującą. Zatrudniła się w sklepie z paszą, niestety właściciel sklepu zaczął ją napastować. Powędrował za to do więzienia, a Sassy zaczęła szukać nowej posady, jednak z zerowym efektem, bo Hollister jest naprawdę bardzo małym miastem.

– Jill, mieszkamy w strasznej dziurze, ale i tak nie wyobrażam sobie, żebym mogła gdzieś się przeprowadzić. Ale mówmy lepiej o tobie i o twoim komendancie. Jill, uważam, że to super facet. Naprawdę porządny człowiek, ma dobre serce, a jednocześnie kiedy trzeba, potrafi zareagować. I na pewno wie, jak zadbać o kobietę.

– Moim zdaniem to on bardziej potrzebuje, żeby ktoś się o niego zadbał. Ja przynajmniej potrafię sobie ugotować.

– Ugotować. A właśnie, Jill, przecież miałaś popytać o pracę kucharki w restauracji. Byłaś u nich?

– Byłam! – Jillian cała pojaśniała w uśmiechu. – Zatrudnili mnie! Tylko pamiętaj, nie mów o tym Theodore'owi.

– Nie powiem, ale tak z ciekawości... dlaczego to tajemnica?

– Po prostu lepiej, żeby o niczym nie wiedział. Chcę popracować... co tam chcę, po prostu muszę, bo przecież wiesz, że krucho u mnie z forszą, ale Theodore, gdyby do niego dotarło, że się zatrudniłam, mógłby się wkurzyć. Rozumiesz, chce mi się oświadczyć, a ja udowadniam, że jestem osobą

samodzielną. W każdym razie przynajmniej teraz wolę, żeby o tym nie wiedział.

– W porządku. Ode mnie na pewno się nie dowie. Jill, chodź... – Sassy chwyciła ją za rękę, odciągnęła na bok i wyszeptała gorączkowo: – Posłuchaj, Jill, tu wszystko jest piekielnie drogie. Bardzo lubię ten sklep, ale marzę mają z sufitu! Dlatego proponuję, żebyśmy pojechały do mnie. Rozmiary mamy podobne, a moja szafa pęka od ciuchów. Wybierzesz sobie, co chcesz, i wcale nie musisz oddawać, bo co najmniej połowy z tego, co mam, w ogóle nie noszę.

Zaskoczona, a zarazem zachwycona Jillian była w stanie tylko wymamrotać:

– Ależ Sassy, nie, nie, ja nie mogę...

– Możesz, kochana, możesz. Jedziemy do mnie!

Na ranczo Callisterów Jillian została zawieziona jaguarem. Zafascynowana luksusowym samochodem, słuchała Sassy jednym uchem. Przecież zajęta była podziwianiem!

– Super! Po prostu bajka! – piała z zachwytu. – I te wszystkie gadżety! A deska rozdzielcza jest z prawdziwego drewna!

– Owszem – potwierdziła Sassy. – Autko, jak to mówią, niczego sobie. Kiedy po raz pierwszy do niego wsiadłam, byłam nieprzytomna, no a gdy spojrzałam na swojego starego pikapa, miałam ochotę z miejsca oddać go na złom.

– Nigdy nie przestanę lubić swojego samochodu, ale ten... – Jillian delikatnie musnęła palcami jedwabistą powierzchnię deski rozdzielczej. – Po prostu szok. Sassy, jestem ci ogromnie wdzięczna za to, co dla mnie robisz. Theodore koniecznie chce, żebym włożyła spódnice, a ja przecież spódnicy nie mam. Ani jednej!

Sassy zerknęła na nią znad kierownicy, po czym powiedziała cicho:

– Może jednak powinnaś mu o tym powiedzieć? Wiesz, o czym...

Jillian zaczerwieniła się i spojrzała w bok.

– Nie, nie chcę – mruknęła. – Tylko ty wiesz o tym, no i twoja matka. Nikt więcej. Mam nadzieję, że nikomu o tym nie powiecie.

– Oczywiście, że nie – przytaknęła skwapliwie Sassy. – Chyba że sama zadecydujesz, że nie jest to już tajemnicą. Jill, powinnaś jednak zdawać sobie sprawę, że to, co się wtedy wydarzyło, może bez końca ciążyć nad tobą, stać się twoim życiowym problemem, zwłaszcza kiedy wyjdiesz za mąż. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Rozumiem, rozumiem... Trudno, będę musiała sobie z tym poradzić. Zaznaczam jednak, że za mąż to ja się jeszcze nie wybieram. A już na pewno nie za Theodore'a. – Przerwała na moment. – Chociaż bardzo się martwię, co będzie z ranczem. Mam nadzieję, że znajdziemy jakiś sposób, żeby obalić testamenty.

– Oba? Nie sądzę.

I to była prawda. Kochani staruszkowie w swoich testamentach bardzo precyzyjnie sformułowali ostatnią wolę. Nie było żadnych wątpliwości, co stanie się z ranczem, jeśli Theodore i Jillian nie zawrą związku małżeńskiego.

– Stare zrzędy! – Jillian bezradnie pokręciła głową. – Dlaczego tak to wszystko skomplikowali? Przecież Theodore i ja bez żadnego ślubu jakoś byśmy się dogadali w sprawie rancza!

– Wcale nie jestem tego taka pewna – powiedziała szczerze Sassy. – Jedno ranczo, dwoje właścicieli, do tego oboje bez większej kasy. Taka spółka nie wróżyłaby dobrze. Różne koncepcje gospodarowania, sprzeczne interesy, do tego każde z was wcześniej czy później i tak najpewniej założyłoby rodzinę. Nie, moim zdaniem nie byłaby to sielanka. Co innego,

gdybyście się pobrali. Wspólne cele, jedna rodzina... Ale cóż, to twoja decyzja. W każdym razie powinniście jak najszybciej coś wspólnie ustalić, przecież ten kalifornijski deweloper śpi na pieniądzach! Założę się, że już kombinuje, jak któremuś z was dać coś do ręki, żeby tylko nie doszło do tego małżeństwa!

– Przekupić nas? Niedoczekanie! Nigdy mu się to nie uda!

Sassy miała już na końcu języka, że z bogatymi trudno wygrać, ponieważ mają swoje sposoby, jak zmusić innych do uległości, pomyślała jednak, że w tym przypadku kalifornijskiemu milionerowi jednak by się nie powiodło. Jillian i Ted nie są zamożni, nie mają kapitału czy innego majątku, utrzymują się z najemnej pracy, ale są ludźmi honorowymi i nie ma w nich chciwości. Jeśli się pobiorą i zostaną właścicielami rancza, deweloperowi – o ile oczywiście nadal będzie mu zależało na tej ziemi – nie pozostaje nic innego, jak czekać. Bo zawsze może się zdarzyć, że nie będą jednak w stanie utrzymać rancza i zdecydują się je sprzedać. Co dla Sassy jednak też było mało prawdopodobne. Gdyby Jillian i Ted mieli tego typu problemy, Sassy i John natychmiast zaofiarowaliby się z pomocą. Sassy nigdy by nie pozwoliła, żeby ziemia Jillian przeszła w ręce jakiegoś dzianego gościa z innego stanu, bo byłaby to dla niej tragedia. A ona już tyle zdążyła przejść w swoim krótkim życiu...

Może i lepiej, że Jill trzyma to w tajemnicy. Może i lepiej, żeby Ted nie wiedział o tym, co kiedyś przeżyła kobieta, z którą zamierza się ożenić. Może i lepiej, że Jill ukrywa w sobie tę traumę.

Z drugiej jednak strony co będzie, jeśli Ted sam do tego dojdzie? Kiedy to wszystko się wydarzyło, nie było go w Hollister, bo został wysłany na szkolenie w Akademii FBI. Ale Ted jest teraz komendantem policji, więc ma dostęp do dokumentów i informacji, do których zwyczajny śmiertelnik nigdy

nie dotrze. W każdej chwili może natknąć się na informację o tym, co przydarzyło się Jillian Sanders parę lat temu, a wtedy może mieć uzasadnioną pretensję, że Jillian robi z tego tajemnicę...

Sassy westchnęła. Może... może... A może niepotrzebnie się tym wszystkim martwi? Uśmiechnęła się do Jillian.

– Oczywiście, Jill! Ten facet nawet niech sobie staje na głowie, a twojego rancza i tak nie dostanie!

Kiedy zajęły przed dom, Jillian znów zaczęła pisać z zachwytem. Stary dom po przebudowie i generalnym remoncie wyglądał naprawdę imponująco.

– Och, Sassy, to niesamowite, co tu zrobiliście! Przecież pamiętam, jak ten dom przedtem wyglądał!

– Też pamiętam, ale wszystko się zmieniło, nie tylko wygląd domu. Bo John postawił na ekologię i dlatego jest to teraz dom, jak to się fachowo określa, energooszczędny. Do generatorów wykorzystujemy energię i słońca, i wiatru. Mało tego, energię elektryczną w oborach uzyskujemy z metanu, który z kolei pozyskujemy ze zwierzęcych odchodów.

– Rewelacja! Ale nie mów mi, że to nic nie kosztuje.

– Owszem, na początku trzeba włożyć niemało, ale po jakimś czasie naprawdę się zwraca.

– Bo płacicie o wiele mniejsze rachunki niż wszyscy w okolicy. Za olej opałowy, niestety, trzeba słono bulić, a zimę w tym roku mamy naprawdę surową.

– Tak bywa. Wsiadamy, Jill.

Gdy weszły do domu, Sassy poprowadziła przyjaciółkę do małżeńskiej sypialni.

– A jak miewa się twoja matka? – spytała Jillian, kiedy maszerowały przez ogromny hol.

– Super! – Sassy rozpromieniła się. – Wyniki ostatnich badań są rewelacyjne.

Jej matka, pani Peale, miała chorobę nowotworową, która na szczęście została opanowana. Miał w tym swój wielki udział John, który w sytuacji krytycznej okazał się nieoceniony.

– Bardzo się cieszę, Sassy. Bardzo!

– Dzięki. A mama często pyta o ciebie.

– Jest cudowna, po prostu nie znam miłszej osoby. Chociaż nie, ty zawsze jesteś na pierwszym miejscu! – Jillian uśmiechnęła się do przyjaciółki. – A co tam u Selene?

Mała Selene, zaadoptowana przez panią Peale, chodziła do szkoły podstawowej. Była uczennicą niezwykle inteligentną, która, jak się okazało, miała już sprecyzowane plany na przyszłość.

– Połyka teraz książki o Siłach Powietrznych. Jedną za drugą, ponieważ zamierza być pilotem wojskowym!

– Rewelacja!

– My też tak jej mówimy. No bo co innego można jej teraz powiedzieć? Ale mówiąc serio, to mała jest bardzo dobra w przedmiotach ścisłych, więc najpewniej będziemy mieli w rodzinie inżyniera.

– Czyli po prostu mądre dziecko.

– O tak!

Sassy otworzyła wielką szafę i zaczęła wyciągać sukienki, bluzki i spódnice. We wszystkich kolorach tęczy. Nieprzebrane ilości, nic dziwnego więc, że Jillian najpierw zamieniła się w słup soli, a dopiero potem dała radę wyjąkać:

– O rany... nigdy... nigdy nie widziałam tylu ubrań na raz! Chyba że w sklepie!

Sassy zaśmiała się.

– Ja też, kochana, ale kiedyś. Bo teraz John potwornie mnie rozpieszcza. Z okazji urodzin czy jakichkolwiek świąt dosłownie obsypuje mnie prezentami. Proszę, Jill, wybieraj.

– Dzięki, Sassy. Powiedz mi jednak, czy nie ma tu jakichś twoich ulubionych rzeczy.

– A skąd! Te, które kocham, zostały w szafie. A wszystko to, co widzisz, jest do twojej dyspozycji... Zaraz, zaraz... – bacznie przyjrzała się Jillian, potem rzeczom rozłożonym na łóżku. – Może to? – Sięgnęła po długą niebieską spódnicę, jedwabną, ze wzorkiem. – O, i do tego ta bluzka. – Też była niebieska, jednak o ton jaśniejsza. Miała bufiaste rękawki i okrągły dekolt. Całość wyglądała skromnie, ale jednocześnie, jak oceniła Jillian, zdecydowanie miała w sobie to coś. – Przymierz, Jill.

Ręce Jillian, sięgające po niebieskie szmatki, drżały. Nigdy przecież dotąd nie miała na sobie tak drogich i eleganckich rzeczy. A przy tym pasowały na nią jak ulał. W ogóle nie krępowały ruchów, człowiek czuł się w nich niesamowicie swobodnie.

– Bo im tańszy ciuch, tym gorzej leży – wyjaśniła Sassy. – Wiem coś o tym, przecież zanim wyszłam za mąż, kupowałam głównie na wyprzedaży czy z drugiej ręki. Kiedy przerzuciłam się na drogie ubrania, byłam zszokowana. Nosi się je całkiem inaczej, prawda? A poza tym człowiek w nich tak ogólnie wygląda inaczej. O wiele lepiej. Zresztą popatrz sama w lustro.

Kiedy Jillian stanęła przed lustrem, przeżyła prawdziwy szok. Sassy miała sto procent racji. Spódnica podkreślała wąską talię, a jednocześnie okrągłe biodra wyglądały o wiele szczuplej. A dzięki genialnej bluzce niewielki biust wydawał się o wiele pełniejszy.

– Włosy rozpuszczamy, i to koniecznie. – Sassy szybciotko powyjmowała spinki z włosów przyjaciółki. – O, popatrz, jak ładnie się kręca. Już wyglądasz inaczej. Ted chyba ciebie nie pozna!

Różnica rzeczywiście była ogromna. Kiedy długie jasne wijące się pasma opadły na ramiona, Jillian wydała się sobie całkiem inna. Po prostu... chyba... ładna!

– Sassy, czy to naprawdę ja?

– Bez wątpienia. – Przyjaciółka uśmiechnęła się z wielkim zadowoleniem. – To naprawdę ty.

Jillian, ze wzruszenia bliska łez, bardzo mocno ją objęła i powiedziała cicho:

– Och, nawet nie masz pojęcia, jak bardzo ci jestem wdzięczna.

Sassy ochoczo odwzajemniła uścisk.

– Prawdziwe przyjaciółki zawsze się wspierają, czyż nie tak?

Kiedyś nie łączyła ich wielka zażyłość, ponieważ uniemożliwiały to kłopoty rodzinne Sassy. Kiedy jednak wyszła za mąż, bardzo się do siebie zbliżyły, obie zachwycone, że mają w zasięgu ręki kogoś, z kim można pogadać od serca.

Jillian szybko otarła łzy, które jednak wymknęły się spod powiek, i delikatnie wysunęła się z objęć przyjaciółki.

– Przepraszam, Sassy. Trochę się rozkleiłam.

– Nie szkodzi. I proszę, nie dziękuj mi tak, Jill. Przecież to normalne. Gdybym ja znalazła się w podobnej sytuacji, na pewno też byś mi pomogła!

– Oczywiście!

– A widzisz! Teraz nakręcimy ci włosy na kilka wałków, a potem naskubiemy sobie trochę fasolki.

– Fasolki? A skąd fasolka o tej porze roku? W środku zimy?

– Zamówiłam w sklepie z żywnością organiczną. Zamawiasz, sadzisz w domu, no i masz. Radzę ci, też tak zrób. Może Ted na przykład lubi golonkę z fasolką?

– Nawet jeśli nie lubi, i tak zamówię. Sassy, gotowa jestem się założyć, że jadać wieprzowinę tylko ze świń własnego chowu.

– Jasne. A teraz włóż z powrotem dzinsy. Umyję ci głowę i zakręcę włosy na wałki. Z suszarką damy sobie spokój. Masz cienkie włosy, wyschną szybko same, kiedy będziemy zabawiać się z fasolką.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Umyły głowę, nakręciły włosy na wałki, zabawiły się z fasolką. A kiedy po kilku godzinach zdjęły wałki, Jillian trudno było uwierzyć, że kilka loków mogło do takiego stopnia zmienić jej wygląd.

– Teraz, proszę pani, makijaż – oznajmiła Sassy, uśmiechając się radośnie. – Też niezła zabawa.

– Zabawa, ale wymaga też pewnych umiejętności. Gdzie się tego nauczyłaś, Sassy? – spytała Jillian, wciąż jeszcze oszołomiona swoją metamorfozą.

– Od teściowej. Bez przerwy jeździ do spa i odwiedza salony piękności. Chociaż ma już swoje lata, wygląda rewelacyjnie. No, do roboty!

Sassy usadziła ją na krześle przed oświetlonym lustrem i zaczęła eksperymentować ze szminkami i cieniami do powiek o różnych kolorach i odcieniach. Jillian w tym wszystkim czuła się super, jakby nagle znalazła się w ekskluzywnym salonie piękności. Co jakiś czas po jej twarzy przemykał uśmiech, kiedy wyobrażała sobie minę Theodore'a, gdy ją zobaczy w sobotę. Przecież dla niego to będzie szok!

Szok to określenie zbyt delikatne. Dla mężczyzny, który jak dotąd miał okazję oglądać Jillian wyłącznie bez makijażu, w wytartych dzinsach i T-

shirtach, jej obecny wygląd był po prostu powalający. Bo ona, w tych zwiewnych niebieskościach, z delikatnym makijażem i jasnymi lokami wypuszczonymi na wolność, wyglądała zjawiskowo.

Była po prostu śliczna.

– Możesz już zamknąć buzię! – powiedziała po dłuższej chwili Jillian, wyraźnie zachwycona jego reakcją.

Ted wykonał rozkaz. Zamknął usta i potrząsnął ciemną głową.

– Wyglądasz świetnie, Jake.

To także było zbyt delikatne określenie ogromu zachwytu, który czuł w chwili obecnej. Chociaż czuł nie tylko zachwyt. Także niepokój na myśl o dalszym przebiegu wypadków. Kiedy Jillian objawi się w nowej wersji całemu miastu, na pewno znajdzie się niejeden młody przystojny facet z klasą i kasą, który uzna tę wersję za nadzwyczaj pociągającą. W rezultacie Ted może nie sprostać takiej konkurencji.

Dlatego spochmurniał, w konsekwencji czego uśmiech znikł również i z twarzy Jillian.

– Za dużo jest odsłonięte, tak? – spytała zmartwiona.

Na co on najpierw odchrząknął, a potem oznajmił:

– Jake, przecież jesteś zasłonięta od stóp do głów! Widać tylko ręce i ten dołek u nasady szyi.

– W takim razie dlaczego tak teraz patrzysz?

– Patrzę jak człowiek, który szykuje się do walki.

– Do walki?! Nie rozumiem!

– Nie rozumiesz? Czy tylko udajesz? Dziewczyno, naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, że wyglądasz powalająco?

Powalająco? Jillian na moment przytknęło. Owszem, zdawała się sprawę, że wygląda bardzo ładnie, ale żeby aż tak? Powalająco?

– Mówisz serio?

– Jasne! – Duże męskie dłonie objęły jej twarz i przybliżyły do roziskrzonych oczu czarnych jak węgle. – Absolutnie serio. – Żartobliwie potarł czubkiem nosa o jej nos. – I zastanawiam się, czy smakujesz tak samo kusząco, jak wyglądasz. Chyba pora to sprawdzić... – Kiedy to mówił, pochylał głowę, żeby po raz pierwszy w ciągu ich wieloletniej znajomości pocałować Jillian. Pocałować długo i namiętnie.

Oczywiście, że zakładał różne reakcje z jej strony. Ale to, co go spotkało podczas tego pocałunku, to było coś o wiele więcej niż szok.

ROZDZIAŁ TRZECI

Czerwona jak piwonia Jillian szarpnęła się i gwałtownie odskoczyła. Potem znieruchomiała i wpatrując się w Teda, bezradna i nieszczęśliwa czekała na wybuch. Przecież rewident dostał wtedy białej gorączki. Wrzeszczał, że rozpowie na prawo i na lewo, facetom oczywiście, jaką to beznadziejną zimną rybą jest Jillian Sanders. Zimną jak sople lodu.

Ale Theodore wcale się nie wściekł, tylko uśmiechnął łagodnie.

Jillian z całej siły zagryzła dolną wargę. Bardzo chciała mu teraz powiedzieć o tym, co stało się przed laty. Naprawdę chciała, jednocześnie jednak takie wyznanie było ponad jej siły. A ta wewnętrzna walka, którą toczyła sama z sobą, była straszna i po prostu wykańczająca, bo w rezultacie czuła ból. Normalny ból fizyczny.

Po chwili znów poczuła, jak silne męskie obejmują jej twarz. Ted znów ją pocałował, ale inaczej.

Najpierw musnął wargami czoło, potem półprzymknięte powieki.

– Wszyscy mamy jakąś bolesną tajemnicę, Jake – szepnął. – Pewnego dnia zechcesz mi o tym opowiedzieć, a ja ciebie wysłucham. A teraz... – Ted poderwał głowę – umawiamy się, że jesteśmy kumplami, normalnymi kumplami, z tym że jesteś kumplem w spódnicy. Muszę przyznać, że mam niewielu kumpli, którzy korzystają z damskiej toalety.

Jillian przez kilka sekund wpatrywała się w niego pustym wzrokiem, potem nagle zaskoczyła i wybuchnęła śmiechem.

– O! Tak jest o wiele lepiej – mruknął zadowolony Ted. – Jak już wspomniałem, wyglądasz rewelacyjnie... – Zamilkł, wpatrując się intensywnie w spódnicę i w bluzkę.

Jillian poczuła się nieswojo. Czyżby zastanawiał się, ile cały jej ten strój mógł kosztować?

– Wszystko pożyczone – powiedziała szybko. – Od Sassy Callister.

– Aha.

– Spotkałam ją na mieście. Powiedziała, że ma całą szafę zawałoną ciuchami, których nigdy nie nosi. Trochę się opierałam, ale Sassy w końcu mnie zmusiła. Theodore... – Teraz Jillian spojrzała krytycznym okiem na swego partnera. A było na co spojrzeć. W eleganckim ciemnym garniturze, śnieżnobiałej koszuli i pod krawatem, niebieskim, we wzorek, prezentował się wspaniale. – Wyglądasz super, Theodore.

– Dzięki. Ten garnitur kupiłem na ślub Johna Callistera. Noszę go rzadko, bo i rzadko się zdarza, że muszę wyglądać elegancko.

– Niestety, ze mną jest identycznie – przyznała smętnie.

– Myślę, Jake, że moglibyśmy od czasu do czasu gdzieś się wybrać. Niekoniecznie tylko tam, gdzie powinniśmy wyglądać elegancko. Na przykład na ryby albo na polowanie...

– Tylko nie to! Nienawidzę broni! I to wszelkiego rodzaju!

– Nie? No cóż... Ja na broń jestem skazany. Taką mam pracę.

– Przecież wiem. Przepraszam.

– Drobiazg. A więc... proponuję w najbliższym czasie wybrać się na ryby.

– Może to i dobry pomysł. Wieki minęły, kiedy po raz ostatni zanurzałam w wodzie biednego, bezbronnego robaka.

Ted zaśmiał się.

– Wszystko na tej ziemi służy jakiemuś celowi. Robak stworzony został między innymi po to, by pomóc człowiekowi schwytać smakowitą rybę.

– Nie sądzę, żeby też tak uważał.

– Spytam się go przy najbliższej okazji.

Jillian roześmiała się beztrąsko. Czowała się wspaniale, od wieków nie była w tak dobrym nastroju. A teraz miała powody do radości. Theodore wcale nie uważał jej za beznadziejny przypadek. Wcale się nie wściekał, że jego pocałunek, zamiast roznamiętnić, okropnie ją zmroził. Może więc faktycznie jest nadzieja? Nadzieja dla niej?

Czarne oczy spoglądały na nią bardzo życzliwie.

– Dobrze, że nie nosisz szpilek, Jake.

– Dlaczego dobrze?

Ted spojrzał na swoje duże stopy w czarnych, skórzanych półbutach.

– Te buty nie są tak solidne jak te, które noszę na co dzień, do pracy. Gdybyś w tańcu nastąpiła mi na nogę obcasem... Nie! Wolę o tym nie myśleć!

On udawał przerażonego, ona wielce oburzoną.

– No wiesz! Ja w tańcu nikogo nie uszkadzam! Nie następuję na nogi, raczej o nie się potykam i ląduję na doniczkę z kwiatkiem!

– Słyszałem o tej przygodzie – powiedział roześmiany Ted. – Biedny Harry Twain! Teraz to już na pewno nie będzie w restauracji rozsiadać się z wyciągniętymi nogami. Mówił, że cała byłaś uwalana ziemią. Upadłaś podobno na głowę?

– Tak. I to wcale nie było przyjemne – przyznała z głębokim westchnieniem. – Każdy człowiek został czymś obdarzony przez naturę, a ja otrzymałam od niej wyjątkowo kiepską koordynację ruchów. Naprawdę potrafię potknąć się o własne nogi.

– Dziwne, bo przecież tak ogólnie jesteś bardzo zręczna. Może masz problemy z uchem wewnętrznym?

– A co do tego ma ucho?

– W uchu środkowym jest błędnik. Kiedy jest z nim coś nie tak, ma się

problemy z równowagą.

– Naprawdę? A skąd ty o tym wiesz? Studiowałeś medycynę?

– Nie, ale z racji mojej pracy dość często przebywam w szpitalnej izbie przyjęć, na przykład kiedy przywiozą ofiarę wypadku. Czytam też raporty z obdukcji czy sekcji, dzięki czemu łyknąłem trochę wiedzy medycznej.

– Rozumiem. Ale moje uszy raczej są w porządku. Nigdy w życiu mnie nie bolały. Ted, czy nie powinniśmy już jechać?

– Tak. No to w drogę!

– W drogę! – powtórzyła Jillian i jej oczy rozbłysły. – Do Klubu Tańców Latynoskich w Billings! Fantastyczna nazwa. Brzmi tak egzotycznie!

– Właściciel jest jeszcze bardziej egzotyczny. Spodoba ci się. – Ted, nachyliwszy się ku Jillian, zniżył głos. – Gdy był młody, szmuglował broń.

– Nie mów!

– Wiedziałem, że będziesz pod wrażeniem. Ja zresztą też byłem, kiedy się o tym dowiedziałem.

– Trzeba przyznać, że znasz wielu oryginalnych ludzi – stwierdziła Jillian, kiedy maszerowali do samochodu Teda.

– Fakt. Ale to normalne. Związane jest z moim...

– Zawodem! – dokończyła z uśmiechem Jillian, zatrzymując się przy aucie. – Ale wypucowany!

– Oczywiście! Nie mogę przecież wieźć dziewczyny na tańce w brudnym samochodzie.

– Och! Mnie by to nie przeszkadzało.

Ted spojrzał na Jillian. Była poważna, czyli nie żartowała.

– Wiem – powiedział również z powagą. – Bo ty, Jake, nie oceniasz ludzi według ich konta bankowego. To jedna z wielu cech, które mi się w

tobie bardzo podobają. Kiedyś umówiłem się z pewną prawniczką. Nie była stąd, ale jej klient miał sprawę w tutejszym sądzie. Przyszła na spotkanie, ale kiedy zobaczyła moją pikapę, tego starego, którym jeździłem jeszcze kilka lat temu, zrezygnowała z randki. Powiedziała mi wprost, że nie chce, żeby któraś z miejscowych grubych ryb zobaczyła ją w takim gruchocie.

– Wstrętny babsztyl! – Jillian aż się zarumieniła, tak bardzo była oburzona.

Tą gwałtowną bardzo uradowała Teda.

– Tak, wstrętny. Ty też czasami jesteś szczerą aż do bólu, ale nie wyobrażam sobie, żebyś mi coś takiego powiedziała. A ona tak. Przyznam ci się, że po czymś takim na jakiś czas w ogóle odechciało mi się randkowania. A co do samochodu, to mam taki, jaki mam. Małomiasteczkowy komendant policji raczej nie rozbija się jaguarem. Chociaż ten mój znajomy z Teksasu ma jaguara, ale zarobił na niego wcześniej, jako żołnierz najemny.

– Dla mnie nieważne, czym jeździsz – oświadczyła Jillian. – Jakby trzeba było, mogłabym iść do Billings i na piechotę. A co tam!

Jednocześnie spojrzała na niego tak, że po prostu musiał zacisnąć zęby. Musiał, bo akurat takie spojrzenie Jillian budziło w nim bardzo gwałtowne emocje. Czuł się jakby był jeszcze wyższy, jeszcze bardziej męski i nabierał wielkiej ochoty na Jillian. Złapać ją i pożreć. Oczywiście, w przenośni. Z tym że kończyło się na dobrych chęciach, ponieważ zdawał sobie sprawę, że z Jillian należy obchodzić się bardzo delikatnie. Nic na siłę. Powolutku, ostrożnie i przede wszystkim, zanim do czegokolwiek dojdzie, należy zdobyć jej absolutne zaufanie. A na to trzeba czasu.

Jego spojrzenie musiało być bardzo posępne, bo Jillian wyraźnie się zaniepokoiła.

– Przepraszam za te moje wykrzykniki.

– Dlaczego przepraszasz? Po prostu bardzo energicznie wyraziłaś swoje zdanie. I dobrze. A ja owszem, jestem trochę spięty, ale z całkiem innego powodu.

– A można wiedzieć z jakiego?

– Dobrze, powiem. – Ted westchnął ciężko.

– Prawdę mówiąc, Jake, to bardzo chętnie znów bym cię pocałował. I to nie tylko raz. Zacałowałbym cię na śmierć! – Widząc jej przerażoną minę, uśmiechnął się. – Nie bój się, Jake, na pewno tego nie zrobię. Chciałaś, żebym powiedział, to powiedziałem. I na tym koniec. A powiedziałem szczerze, bo właśnie szczerść bardzo sobie cenię.

– Ja też. Czasami to nawet bez zastanowienia walę prosto z mostu, choć nieraz warto by się zastanowić... – wyznała ponuro.

– Owszem. Ale w końcu to też szczerść, więc nie przejmuj się.

– Tak myślisz? – Rozpromieniła się. – Dzięki!

Ted spojrzał na zegarek.

– Jedziemy.

Otworzył drzwi samochodu, Jillian wsiadła i od razu zaczęła zapinać pasy. Ted obszedł samochód, usadowił się za kierownicą i uruchamiając silnik, pochwalił Jillian:

– Jestem pod wrażeniem, Jake. Wcale nie trzeba ci było przypominać o zapięciu pasów. Ludzie, nagminnie o tym zapominają. A ja nie ruszę, dopóki mój pasażer nie zapnie pasów. W końcu jeżdżę do wypadków. Niektóre z nich to prawdziwy horror, a największe obrażenia odnoszą ci, którzy nie mieli zapiętych pasów.

– Słyszałam o tym.

Gdy wjechali na szosę, samochód pomknął przed siebie. W którymś momencie Ted, skupiony nad kierownicą, nagle uśmiechnął się szeroko.

– No i proszę! Czyli jednak umówiliśmy się! Nasi drodzy wujkowie w zaświatach mają niezły ubaw!

– Nie wątpię – przyznała z głębokim westchnieniem. – Ale to nie było miłe z ich strony, że tak nas załatwili w tych swoich testamentach.

– No cóż... Mile, niemile, stało się. Staruszkowie zawsze lubili dyrygować ludźmi. Wszyscy wiemy, że to oni podpuścili Dana Harpera, żeby ożenił się z Daisy Kane. Dan był święcie przekonany, że Daisy to słodka istota, której największym marzeniem jest spędzenie życia w takiej miejscinie jak Hollister.

– Wiem, słyszałam o tym. Tak myślał, a tymczasem jego żona nagle odkryła w sobie wielkie zamiłowanie do mikroskopów. Poduczyła się tego i owego i umknęła do Nowego Jorku, gdzie dostała pracę w laboratorium naukowym. Dan nie wyobrażał sobie życia poza Hollister, w rezultacie rozwiedli się. Chwała Bogu, że nie mieli dzieci.

Naprawdę chwała Bogu, pomyślał Ted. Tym bardziej że jak powszechnie było wiadomo, Dan znalazł sobie inną, wierną już towarzyszkę. Niestety była to whiskey.

– Ale z drugiej strony – odezwała się po chwili Jillian – czy można winić Daisy? Może niektóre kobiety dojrzewają później i dopiero po jakimś czasie znajdują swoją życiową drogę?

– Ejże! Czybyś też zamierzała odkryć w sobie zamiłowanie do mikroskopów i zwać do Nowego Jorku?

– Ja? Przecież nienawidzę wielkich miast – odparła ze śmiechem.

– Ja też – mruknął Ted.

– No i co by się stało z Sammy? Nie sądzę, żeby w Nowym Jorku znalazło się mieszkanie do wynajęcia, w którym można trzymać cielątko!

– Oczywiście, że tak! Ale tylko w lodówce albo w zamrażarce.

Jillian, oczywiście, od razu się najeżyła.

– Przestań, Theodore! Nie wolno ci tak mówić! Nikt nigdy nie zje mojej krówki! Zapamiętaj sobie raz na zawsze. Moja Sammy jest do kochania, a nie do jedzenia!

– Skoro tak twierdzisz...

– Tak! Innej opcji nie ma!

Ted co i rusz zerkał na nią z największą przyjemnością. Uwielbiał podpuszczać Jill i patrzeć, jak rumieni się ze świętego oburzenia i wybucha słusznym gniewem. Była taka czysta, taka wrażliwa. I bardzo ciekawa świata, który знаła niestety w niewielkim tylko stopniu. Trzeba jej będzie coś niecoś pokazać, zabrać na przykład do...

– Theodore, o czym myślisz? – spytała Jillian.

– A o tym, że lubię z tobą być. Nieraz umawiałem się z dziewczynami, to przecież normalne, ale z żadną nie chodziłem tak naprawdę. Rozumiesz, takie regularne spotkania przez dłuższy czas. A teraz umówiłem się z tobą, jest mi cholernie miło i już myślę o tym, żeby to powtórzyć.

– Czyli robisz to, co kazał ci wujek?

– Ach, daj spokój z wujkami! Ja po prostu... – Ted wyhamował przed światłami na skrzyżowaniu i spojrzał w bok, na Jill. – Po prostu tym razem umówiłem się z dziewczyną, która naprawdę mi się podoba.

Oczy Jillian rozbłysły, głos jednak był doskonale obojętny, gdy odpowiadała na takie wyznanie:

– Na pewno ci się tylko tak wydaje.

– Oj, chyba nie! – Ted zaśmiał się i spojrzał znów przed siebie. Zapaliło się zielone światło, ruszył więc, wjeżdżając na drogę prowadzącą do Billings.
– Rzadko kiedy udaje nam się pogadać ze sobą spokojnie, Jake, a jednak lubię z tobą przebywać. A to o czymś świadczy, nie uważasz? Mimo twojego

ostrego języka po prostu lubię być z tobą.

– Tak bardzo ostry to on chyba nie jest! – zaperzyła się trochę na pokaz.

– Nie rób ze mnie jakiejś awanturnicy. Zresztą gdyby moje słowa miały taką moc rażenia, jaką im przypisujesz, po naszej pierwszej kłótni po prostu byś skonał. A przeżyłeś ich już z milion, czyż nie? – zakończyła z wesołym błyskiem w oczach,

– Jest ostry, zapewniam. Zresztą nie chodzi tylko o moją opinię. Gdyby z twych ust płynęła sama słodycz, tamten facet po wizycie w kwiaciarni, w której pracowałaś, nie złożyłby na ciebie skargi, w której czarno na białym napisał, że używasz w miejscu publicznym słów powszechnie uważanych za obelżywe, a nawet wulgarne! – Widział, jak uśmiech znika z ust Jillian, a policzki oblewa krwisty rumieniec. – Podobno chciał się tylko z tobą umówić...

– Powiedzmy – mruknęła Jillian, skubiąc nerwowo spódnicę. – Ale te jego odzywki... Żaden facet nigdy przedtem nie ośmielił się powiedzieć mi czegoś takiego. Oblesny typ! I jaki pewny siebie! Bredził o wypasionej bryce, o kasie tatusia, o tym, że ma każdą dziewczynę, jakiej zechce. Debil! A ja wcale nie przeklinałam, tylko nazwałam go zgodnie z prawdą właśnie debilem, kretyńcem i napalonym gnojkiem. – Aż fuknęła ze złości.

– Chłopaki przed dwudziestką zwykle tacy są.

Zgrywają się na nie wiadomo kogo, a tak naprawdę są bardzo niepewni siebie. Wiem, bo przecież sam taki byłem. W tym wieku chłopak przypomina żmiję sykliwą.

– Co?!

– Żmiję sykliwą. Nigdy jej nie widziałem, ale opowiadał mi o niej jeden z moich kolegów z pracy, który pochodzi z Georgii. Mówił, że to wąż, któremu brakuje pewności siebie.

– Żartujesz! – Jillian wybuchnęła śmiechem. – Brak pewności siebie jakoś mi nie pasuje do węża!

– A jednak tak podobno jest. Żmije sykliwe, choć są bardzo jadowite, panicznie boją się ludzi. Kiedy napotkają na swej drodze człowieka, unoszą się z ziemi, coś jak kobra w tańcu. Kiwiają się w przód i w tył, a także syczą. Oczywiście człowiek najczęściej daje wtedy nogę.

– A jeśli nie?

– To żmija potrafi ze strachu zemdleć. Mój kumpel zaklina się, że widział to na własne oczy. Kiedyś ze znajomym chodzili po polach i natknęli się na taką żmiję. Żmija, jak to ona, zaczęła tańczyć i syczeć. Znajomy zwiął, a mój kumpel nie. Zaczął podchodzić bliżej i żmija w pewnym momencie klapnęła na ziemię. Okazało się, że zdechła. Kumpel, jak powiedziałem, przysięga, że to prawda, a jego rodzina ma powód, żeby się z niego nabijać. Rozumiesz, facet, na widok którego nawet jadowite żmije umierają ze strachu! Jednak rzadkość, prawda?

– Prawda. I tak sobie teraz pomyślałam, jak ciekawie jest poza Montaną, a ja stąd się nie ruszam. Na przykład nigdy jeszcze nie widziałam kobry.

– Co za problem? Można ją zobaczyć w ZOO, a najbliższe jest w Billings.

– Ale ja nigdy tam nie byłam!

– Co?! Nie wierzę. Nie byłaś jeszcze nigdy w Billings?!

– No... nie. Billings jest daleko od Hollister, a ja nigdy nie miałam porządnego samochodu. Bałam się jechać taki kawał drogi, tym bardziej że droga do Billings jest mało uczęszczana. Gdyby coś się stało z wozem, mogłabym zostać bez pomocy.

– Racja. – Spojrzał na nią z uznaniem. Spodobało mu się, że Jillian mimo młodego wieku kieruje się rozsądkiem. Choć z drugiej strony nie było

w tym nic zaskakującego, przecież życie ją do tego zmusiło, skoro przez długie lata troszczyła się o człowieka w podeszłym wieku, do tego chorego na serce.

– A jak to było między tobą a wujem? – spytał. – Byliście zżyci ze sobą? Mogłaś mu o wszystkim powiedzieć?

– Raczej nie. Nie chciałam go denerwować, a po pierwszym ataku serca to już bardzo uważałam, co do niego mówię. Z tym że w moim przypadku nie było to takie trudne, bo z natury jestem raczej skryta. Przez to nigdy nie miałam prawdziwej przyjaciółki, wiesz, takiej od powierzania najskrytszych sekretów.

– No i wciąż jesteś singielką, a przecież mało która dziewczyna w twoim wieku nie ma jeszcze męża. Pomyśl tylko, ile twoich szkolnych koleżanek już zostało matkami albo wkrótce zostanie. Oczywiście pomijam te, które powyjeżdżały do większych miast albo wstąpiły do wojska.

– Tak... – Jillian pokiwała smętnie głową. – A ja, jak widać, nic z tych rzeczy. Jestem strasznie zacofana, jakbym pochodziła z innej epoki, kiedy kobiety dopóki nie wyszły za mąż, dopóty nie opuszczały rodzinnego domu. Boże, jak ten świat się zmienił...

– Tak, bardzo się zmienił – przyznał Ted. – Kiedy byłem chłopcem, telewizory były wielkie i nieporęczne, stawiało się je w specjalnej szafie. A teraz mamy telewizory płaskie i leciutkie, można wieszać je na ścianie. A mój iPod potrafi to wszystko, co telewizor. Mogę obejrzeć w nim film, wysłuchać wiadomości i prognozy pogody.

– Nie mówię o nowinkach technicznych, tylko o stylu życia. Kobiety w dzisiejszych czasach ze wszystkich sił zabiegają o karierę, a także zaliczają tabuny facetów. – Gdy Ted chrząknął znacząco, Jillian wprowadziła trochę się spieszyła, jednak mówiła dalej: – Kobiety coraz bardziej przejmują męski styl

życia. Za wszelką cenę pragną zrobić karierę, facetów też potrzebują, ale jak ognia unikają stałych związków. W telewizji mówili, że dla współczesnego człowieka małżeństwo staje się przeżytkiem.

– Dzięki Bogu zawsze będą ludzie, którzy nie ulegają ogólnym trendom, Jake. Tacy, którzy żyją po swojemu. W końcu każdy ma prawo wyboru.

– Oczywiście, a ja już wybrałam. Uważam, że kobieta i mężczyzna powinni się pobrać i razem wychowywać dzieci.

– Taki punkt widzenia bardzo mi się podoba.

Jillian błyskawicznie zwróciła się ku niemu.

– Naprawdę chcesz mieć dzieci?

– Oczywiście! – odparł z uśmiechem. – A ty?

Jillian błyskawicznie odwróciła głowę i znów spojrzała przed siebie.

– Ja też. Kiedyś.

– Niestety, ciągle zapominam, że jesteś bardzo młoda. – Ted westchnął ciężko. – Możesz, jak to mówią, jeszcze sobie pożyc.

– Czyli co? – Roześmiała się. – Pokochać mikroskopy i wyjechać do Nowego Jorku?

– Coś w tym rodzaju.

– Niestety, mikroskopy odpadają. Nie sprawdziłam się. Oczywiście w szkole bardzo mnie zaciekały. Byłam cała w nerwach, kiedy na lekcji biologii wypatrzyłam przez mikroskop coś, co moim zdaniem było jakimś mikroorganizmem. Ale nauczycielka powiedziała, że to tylko pęcherzyk powietrza. W rezultacie do zaliczenia biologii zabrakło mi dwóch punktów. W końcu ją zaliczyłam, ale najgorzej z całej klasy.

– Za to gotujesz jak anioł – stwierdził Ted. – I nie przejmuj się. Wiadomo, że każdy z nas ma do czegoś smykałkę. Ty do gotowania, ktoś

inny do badań naukowych. I bardzo dobrze. Świat byłby piekielnie nudny, gdy wszyscy byli we wszystkim dobrzy.

– Fakt.

– Wiem, że potrafisz też szydełkować. Moja babcia bardzo to lubiła. Robiła na szydełku dywaniki, na drutach swetry, robiła też przepiękne patchworki.

– Ale dzisiaj coś takiego nie jest już w modzie.

– Co ty mówisz! Przyjrzyj się dobrze półkom z czasopismami. Więcej jest magazynów o rozmaitych robótkach dla pań niż o gwiazdach rocka! A to już mówi samo za siebie.

– Naprawdę? Jakoś tego nie zauważyłam. Theodore... – Spojrzała w lewo i w prawo na malownicze klify z piaskowca otaczające miasto. – Dojeżdżamy już do Billings, prawda?

– Oczywiście. Przecież tak naprawdę z Hollister do Billings to rzut beretem. Wcale nie jedzie się długo.

– Może i tak, kiedy jedzie się tak szybko jak ty.

– Dlaczego nie, kiedy szosa pusta? Poza tym o tej porze nie natrafimy na żaden patrol.

– I ty to mówisz? Ty, policjant, który wlepia mandaty za przekroczenie szybkości?

– Wlepiam mandaty na tym odcinku drogi międzystanowej, który przebiega przez moje miasto, i najczęściej nie chodzi o szybkość, ale o sposób jazdy. Można jechać bardzo szybko i jednocześnie bardzo bezpiecznie. Można jechać powoli i być zagrożeniem dla wszystkich. Chodzi o przestrzeganie przepisów. A nie brakuje zawodników, którzy nie zauważają czerwonego światła, znaków drogowych i tak dalej.

– Widziałam kiedyś w telewizji, jak policjant z drogówki z wieloletnim

doświadczeniem mówił, że najbardziej boi się kierowców, którzy dłonie na kierownicy trzymają tuż obok siebie i bardzo mocno zaciskają palce na kierownicy.

– Ma rację, bo są to ludzie, którzy boją się samochodu, ale siadają za kierownicą. Na szczęście to rzadkie przypadki.

– Ty na pewno się nie boisz!

– Oczywiście, że nie. – Wzruszył ramionami. – Siadłem za kierownicą, kiedy miałem dwanaście lat. Dzieciaki, które wychowują się na ranczu, dorastają szybko. Muszą nauczyć się jeździć na traktorze czy żniwiarce.

– A na naszym ranczu nie ma żniwiarki...

– Bo naszego rancza na to nie stać. Ale – Theodore uśmiechnął się – zawsze można pożyczyć żniwiarkę od sąsiadów.

– Oczywiście! To następna zaleta, kiedy mieszka się w małym mieście, prawda? Ludzie ze zwykłej życzliwości gotowi są pożyczyć nawet drogi sprzęt.

– W dużych miastach, Jake, jest podobnie. Z tym że nie chodzi tam o żniwiarki.

– Raczej nie! – potwierdziła ze śmiechem.

Ted wjechał na parking obok długiego niskiego budynku z wielkim neonowym szyldem z napisem: Red's Tavern.

– Czy to bar? – spytała Jillian.

– Nie, to właśnie jest ten klub taneczny. Alkohol też podają, ale obowiązku zamawiania drinków nie ma. Oczywiście na parkiecie się nie pije, a ty w ogóle nie pijesz, bo jesteś jeszcze niepełnoletnia. Gdyby ktoś próbował cię do tego namówić, mogę zadzwonić na policję i gościa przymknąć.

– Ty, policjant, musiałbyś zadzwonić na policję?

– Tak, bo to nie mój rewir, choć tak naprawdę każdy obywatel może

pojąć przestępcę. Tobie jednak odradzam, bo takie sytuacje bywają bardzo niebezpieczne. Zdarza się, że z małej pyskówki rodzi się bijatyka i ktoś nawet może zginąć.

Ted wyskoczył z pikapa, obszedł go i otworzył drzwi z drugiej strony. Wziął Jillian pod boki i zestawił ją na ziemię.

– Jesteś lekka jak piórko, Jake – powiedział, zaglądając w jej niebieskie oczy. – I pachniesz bardzo ładnie. A ja, jak ci już mówiłem, jestem wyczulony na zapachy. Do dziś pamiętam, jak pachniała moja babcia. Używała wody toaletowej o delikatnym kwiatowym zapachu.

Dłonie Jillian nadal spoczywały na szerokich ramionach Theodore'a. Wcale nie miała ochoty ich stamtąd zabierać. Miło było trzymać ręce właśnie tam, na szerokich, silnych męskich ramionach.

– Ty też pachniesz ładnie – powiedziała. – Taki ostry, bardzo ładny zapach.

Ted żartobliwie potarł nosem o jej nos.

– Dzięki.

Jillian westchnęła i nagle, pod wpływem impulsu, objęła go i wtuliła twarz w jego szyję.

– Theodore, jesteś taki duży, taki silny – powiedziała cicho. – Przy tobie czuję się całkowicie bezpieczna.

Miłe słowa, ale ku jej wielkiemu zdumieniu Ted zaprotestował.

– O nie, Jake! Jeśli chcesz zrobić facetowi prawdziwą przyjemność, powinnaś powiedzieć mu coś innego.

– Ale co?!

– Każdy facet chce usłyszeć, że jest wielki, groźny i niesamowicie ekscytujący, tak bardzo, że kobieta przy nim cała drży...

– Też lubisz, jak ktoś ci coś takiego mówi?

– Jasne! Ale, Jake, to jest swoista przenośnia. Chodzi o to...

– Nie, nie rozumiem. Naprawdę nie chcesz, żebym przy tobie czuła się bezpieczna? – Jej głos zamierał z każdym kolejnym słowem.

Ted bezradnie potrząsnął głową. No cóż... Przed nimi jeszcze daleka droga. Za wcześnie na śmiałe aluzje, na jakiegokolwiek zbliżenie. Jillian absolutnie nie była jeszcze w stanie drżeć z podniecenia w jego ramionach i nie pozostawało mu nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość. Niemniej był trochę rozczarowany. A także zyskał już pewność, że istnieje jakaś konkretna przyczyna, z powodu której Jillian Sanders w środku jest zimna jak sople lodu.

– Jake... – powiedział miękko, obejmując jej twarz. – Pewnych rzeczy można się nauczyć. Na przykład... namiętności.

Gdy spojrzała na niego pustym wzrokiem, Ted chciał krzyczeć z rozpaczy. No tak! Mów ślepemu o kolorach!

– Jake, czy nikt jeszcze nie pocałował ciebie tak, że potem umierałaś z tęsknoty za następnym takim pocałunkiem? – Widział, jak powoli pokręciła głową, widział jej szeroko otwarte oczy, a w nich czystą niewinność. – Jake, czy całował ciebie ktoś tak, że po tym pocałunku byłaś gotowa znieść najgorsze tortury, byleby tylko to się nie powtórzyło?

– Och... – Teraz jej oczy pociemniały a serce zabiło szybciej. I myślała gorączkowo: A więc jak to? On wie? Skąd?!

– Jake – odezwał się znów miękko Ted, nie odrywając oczu od poblądłej twarzy Jillian. – W twoim życiu musiało wydarzyć się coś złego, coś, co pozostawiło niezatarty ślad. Dlatego uciekasz od świata, od ludzi. Ode mnie też. Przecież tak to się zwykle dzieje. Wystarczy, że cię dotknę, a ty już się odsuwasz! Tak, na pewno coś się wydarzyło, ale tu nie chodzi o przygodę z wędrownym rewidentem.

– Ale... ale... skąd o tym wiesz? – wyjąkała.

– Znikąd. Nigdzie nie węszyłem, przecież ciebie nie śledzę. Tyle że pracuję w policji nie od dziś i nauczyłem się rozszyfrowywać ludzi. Jeśli chodzi o ciebie, dla mnie sprawa jest ewidentna... – Gdy Jillian tak mocno zagryzła dolną wargę, że pokazała się kropla krwi, dodał cicho: – Jake, nie katuj się.

– Musnął palcem jej usta. – Nie mam zamiaru do niczego cię zmuszać, absolutnie! Bardzo bym jednak chciał, żebyś pewnego dnia ufała mi do takiego stopnia, że sama poczujesz potrzebę, by ze mną o tym pogadać. Wiesz, że jestem bardzo wyrozumiały. Nie osądzam nikogo z góry...

– Wiem, wiem. Ale nie o to chodzi.

– Więc... o co? – Gdy odpowiedziała mu cisza, Ted nachylił się i musnął wargami jej powieki. – A więc nie mów, Jake. Przecież mamy przed sobą mnóstwo czasu. Całą wieczność, prawda? Powiesz, kiedy zechcesz, a ja spokojnie ciebie wysłucham.

Jillian głęboko odetchnęła, po czym oparła się czołem o tors Teda.

– Theodore, nie znam człowieka miłszego od ciebie.

Uśmiechnął się gdzieś tam wysoko, nad jej głową.

– Dzięki. Proponuję, żeby to właśnie było dla nas punktem wyjścia.

Jillian też się uśmiechnęła do ciemnej, eleganckiej marynarki.

– Dobrze. Niech tak będzie. Punkt wyjścia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jillian nigdy jeszcze nie była w tak ciekawym i wesołym miejscu, gdzie tyle się działo. Dokładniej znajdowała się w długiej sali z lśniącą drewnianą posadzką. W jednym końcu było podwyższenie, na którym urzędowała kapela. Na lśniącej posadzce nie było pojedynczych stolików, tylko boksy, a w sąsiedniej sali był bar z barmanem i dwiema barmankami.

Muzyka była niesamowita. Latynoska przez duże L, pulsująca i odurzająca. Ludzie na parkiecie poruszali się w jej rytmie, niektórzy w dżinsach i solidnych butach, inni znów ubrani super, w strojach, w których śmiało mogliby się pokazać w ekskluzywnym klubie w Nowym Jorku. Część osób, może i speszonych wysokim poziomem umiejętności demonstrowanych na parkiecie, otoczyła tańczących kołem, przyglądała im się i klaskała do rytmu.

– Theodore, spójrz! Po prostu rewelacja! – Jillian wyłowiła wzrokiem parę wyjątkowo biegłą w tańcu. Mężczyzna był szczupły, miał długie, gęste i siwe włosy związane z tyłu w kitkę, a za partnerkę miał pulchną blondynkę. Uśmiechnięci rozluźnieni, wykonywali różne figury taneczne wyjątkowo lekko i zręcznie.

– To Red2 Jemigan – poinformował ją półgłosem Ted. – Właściciel tego lokalu.

– Red? Dlaczego? – zdziwiła się Jillian. – Przecież wcale nie ma włosów jak marchewka.

– Nie w tym rzecz. Nazwali go tak, bo po każdej walce był cały we krwi, bardziej niż inni. Tak po prostu już miał.

– Och...

– Co, znowu pomyślałaś, że mam dużo dziwnych znajomych? Tak się złożyło. Ale nie martw się, po jakimś czasie przyzwyczaisz się do nich.

Powiedział to tak, jakby ich wspólna przyszłość była już przesądzona. Jillian poczuła się trochę speszona, nie dała jednak tego poznać po sobie. Uśmiechnęła się do Teda promiennie, a po chwili muzyka ucichła.

Wykorzystując krótką przerwę, Theodore wziął Jillian za rękę i poprowadził na środek parkietu do siwowłosego tancerza i tancerki blond.

– Cześć, Red! Miło cię widzieć!

Uśmiechnięci uścisnęli sobie ręce.

– Cześć, Ted! Super, że w końcu zajrzałeś do Billings. – Spojrzenie Red spoczęło na jasnowłosej drobnej dziewczynie stojącej u boku Teda.

Który dokonał prezentacji:

– Poznajcie się, proszę. To jest Jillian – powiedział. – Jillian, pozwól, że ci przedstawię. Red Jemigan.

– A ja jestem Melody, żona Reda – odezwała się pulchna blondynka. – Miło was poznać.

Red objął Melody i przyciągnął do siebie.

– Dobrze, że Ted wreszcie z kimś przyszedł – powiedział z uśmiechem. – Jak dotąd pojawiał się tu sam i nie chciał tańczyć z żadną dziewczyną, tylko z moją Melody, kiedy mu na to pozwoliłem.

– Bo mi naprawdę trudno dogodzić. A Jake... – Ted, uśmiechając się ciepło, spojrzał na Jillian. – Jake to coś wyjątkowego. Bardzo mi się podoba.

Oczywiście Jillian zarumieniła się, a zaskoczony Red spytał:

– Przepraszam, kto? Jake?

– Niestety, on tak mnie nazywa, jak jakiegoś cielaczka – wyjaśniła Jillian. – Od zawsze, a znamy się już bardzo długo.

– Mam prawo tak ją nazywać, bo ona uwielbia cielęta! – oznajmił Ted.

– Cielęta?! – Melody wybuchnęła śmiechem. – akurat ja za nimi nie przepadam, bo pachną dosyć... dziwnie.

– Wcale nie! – zaprotestowała Jillian. – Trzeba tylko o nie dbać, czyścić regularnie. Moja Sammy jest zawsze czyścusięńka!

Ted poczuł się w obowiązku udzielić dodatkowego wyjaśnienia:

– Sammy to jej ukochana jałówka.

Red znów miał pewne wątpliwości, które od razu wyraził słowami:

– Zaraz... Powiedziałaś „moja Sammy”, a przecież sądząc po imieniu, to chyba byczek?

– Nie, to jałówka – uświadomiła go Jillian. – Czarno– biała.

– Aha... A więc... czemu nie? Johnny Cash swoją suczkę rasy border collie nazwał Bob. Nie widzę więc powodu, żeby jałówka nie mogła nazywać się Sammy.

Wszyscy pośmiali się chwilkę, a potem Red jowialnie ich odgonił:

– Nie musicie tak stać z nami, staruszkami. Idźcie do młodych i pokażcie im, jak się tańczy tango!

– Ty, Red, nigdy się nie zestarzejesz – oświadczył Ted. – Może teraz jesteś odrobinę wolniejszy, ale co potrafisz, to potrafisz.

Red spoważniał, po czym powiedział w zadumie:

– Może i tak, ale mam wielką nadzieję, że nie będę się już musiał wykazywać. Przeszedłem do rezerwy.

– Wiem.

Przed tańcami Theodore i Jillian postanowili się jednak trochę wzmocnić, dlatego usiedli w jednym z boksów i zamówili stek z pieczonymi słodkimi ziemniakami. Stek, jak się w trakcie jedzenia okazało, był wspaniały, czyli klub słusznie chwalono i za wspaniałą kapełę, i za znakomitą kuchnię.

Lecz zanim podano steki, Theodore przybliżył Jillian postać siwowłosego tancerza.

– Red służył w jednostce specjalnej, zakończył wojskową karierę w stopniu pułkownika. Znany był z tego, że zawsze świetnie sobie radził z rekrutami. Nie gnębił, tylko zachęcał, no i miał efekty. Oczywiście bywały sytuacje, kiedy musiał być trochę mniej kreatywny.

– Mniej kreatywny? – zdziwiła się Jillian, popijając swoją mrożoną herbatę.

– Tak to można określić. Po prostu czasami trzeba posłużyć się prostszymi metodami, a mówiąc wprost, prymitywnymi. Kiedyś do jego oddziału przydzielono żołnierza rodem z Milwaukee. Było to wielkie chłopisko, któremu wydawało się, że pozjadał wszystkie rozumy, Grał namiętnie w gry wideo, w związku z czym uważał, że o strategii i taktyce wie o wiele więcej niż jego dowódca. Red, żeby dać mu nauczkę, posłał go na wroga. Samego, z tym że Red i inni żołnierze oczywiście szli po cichu za nim. Chłopak wlaźł prosto na wrogi oddział, no i sparaliżowało go. Bo co innego przeżywać wszystko wirtualnie, gapiąc się w ekran, a co innego tak naprawdę stanąć oko w oko z uzbrojonymi facetami, którzy celują do ciebie. Red oczywiście kazał wtedy swoim ludziom ruszyć do akcji, a bohatera z Milwaukee odblokowało dopiero po kilku minutach, to znaczy kiedy wycofał się do swoich. Wtedy okazało się też, że z tego strachu nasz dzielny wojak, mówiąc oględnie, na gwałt potrzebował męskiej toalety, której oczywiście nie było pod ręką. Jednym słowem, kompromitacja na całego. Ale wnioski wyciągnął. Przestał zadzierać nosa, nauczył się wykonywać rozkazy i z czasem zaczęli mieć z niego pożytek. Potem, już w cywilu, został burmistrzem miasteczka gdzieś na północy kraju. Ale przydomek, który nadali mu w wojsku, poszedł za nim. A nazwali go po tej wpadce w dość

oczywisty sposób, a mianowicie Śmierdzielem.

– Och nie! To straszne! – wykrzyknęła Jillian, oczywiście też wybuchając śmiechem.

– W sumie niejednego to spotkało – ciągnął Ted. – Nawet ludzi, jak to się mówi, znamienitych. W pewnej książce o drugiej wojnie światowej przeczytałem, że taką samą wstydliwą przygodę przeżył jeden z naszych słynnych i bardzo zasłużonych generałów, kiedy jego konwój zaatakowali Niemcy... O, niosą nasze steki. No bierzemy się do jedzenia!

Jillian po przełknięciu pierwszego kęsa powiedziała z zapalem:

– Wspaniały stek! Taki delikatny. Nigdy dotąd nie jadłam tak dobrego mięsa. Nawet steki z krów mego wuja nie były takie dobre!

– Bo robią je z wołowiny kobe. Red sprowadza ją z Japonii.

– Kobe? A tak, czytałam o tym. Podobno robią krowom masaże.

– Zgadza się. Chuchają na nie i dmuchają, dlatego ta wołowina jest nadzwyczajna. Jake, spróbuj ziemniaków. Też są bardzo dobre. Przyprawiają je wspaniale. Bardzo ostro.

Jillian, nie wykazując żadnego entuzjazmu, wbiła widelec w ziemniak.

– Zdarzało mi się już jeść bataty. Za każdym razem były kompletnie bez smaku.

– Te to co innego. Skosztuj.

Powoli podniosła widelec do ust, przełknęła i nagle oczy jej rozbliły.

– Ej że! A co oni do nich dodają?!

– Paprykę jalapeno i brązowy cukier. Reklamują to jako prawdziwy rarytas, jedyny w swoim rodzaju.

– I mają rację! Ostre, ale nie za ostre. Poczujesz porządnie, ale wcale nie zwala cię z nóg. I ta głębia smaku... Po prostu boskie! – nie ustawała w zachwytach Jillian. – No zobacz, zawsze mi się wydawało, że znam się na

gotowaniu, a nie miałam pojęcia, że coś takiego można zrobić ze słodkimi ziemniakami.

– Nie szkodzi, Jake. Człowiek uczy się przez całe życie. A ty gotujesz super.

– Dziękuję, Theodore – bąknęła Jillian, która oczywiście się zaczerwieniła.

Ted przekrzywił głowę na bok.

– Boisz się powiedzieć krócej?

– Krócej? Wybacz, ale nie bardzo wiem, o co chodzi.

– O moje imię. Większość ludzi nazywa mnie po prostu Tedem. A więc proszę, mów mi Ted.

– Aha... – Ręka z widelcem na moment zawisała w powietrzu i spojrzenie niebieskich oczu Jillian stopiło się ze spojrzeniem oczu czarnych jak węgle. – Ted...

On zaś poczuł się dziwnie. Po prostu się nie spodziewał, że aż tak to na niego podziała. Ten jej głos, cichy prawie jak szept, taki zmysłowy. Po prostu sama słodycz. Dlatego jego imię w ustach Jillian zabrzmiało jakoś inaczej. Tak szczególnie, jakby usłyszał „Ted” po raz pierwszy w życiu...

Dumał nad tym oszołomiony, aż wreszcie zauważył, że Jillian patrzy na niego z niepokojem.

Wtedy, oczywiście, uśmiechnął się.

– Bardzo mi się podoba, jak wymawiasz moje imię, Jake. I to jest takie... stymulujące.

– Stymulujące?!

No cóż, nie zaskoczyła. Zresztą nie po raz pierwszy.

Theodore westchnął i odłożył widelec.

– Tak. Stymulujące, Jake. Albo może wyrażę się inaczej. Odczułem to

jako coś bardzo pozytywnego, bo może w tej twojej blokadzie psychicznej otworzyła się jakaś klapka. Ja, jak już ci mówiłem, domyślam się, że przeżyłaś coś, co cię zablokowało. Bardzo chciałbym wiedzieć, co to było, jednak widzę jak na dłoni, że nie masz jeszcze ochoty o tym pogadać. A może boisz się, że będę ścigał faceta, który ci to zrobił?

Oczy Jillian nadal były wlepione w Teda. Cała była jak skamieniała, może nawet nie oddychała. Wiadomo – szok.

Ted znów westchnął.

– Jake, po prostu łatwo się tego domyśliłem. Jestem policjantem, już po kilku latach pracy w tym zawodzie człowiek potrafi bezbłędnie zrozumieć mowę ciała. Większość ludzi tego nie potrafi, a policjant od razu pozna, że dziecko jest wykorzystywane. Pozna to po spojrzeniu, po zachowaniu, po tym, jak to dziecko się ubiera.

Twarz Jillian zrobiła się biała jak kreda, górna warga przesłoniła dolną, roztrzęsione palce zaczęły bawić się widelcem.

Kiedy ciepła dłoń Teda zacisnęła się wokół jej dłoni, Jill szybko spuściła głowę.

– Jake – powiedział miękko. – Bardzo chciałbym, żebyś mi o tym opowiedziała. Myślę, że naprawdę będzie ci potem lżej.

Poderwała głowę i napotkała jego wzrok. W jego spojrzeniu było tyle życzliwości.

– Ale ty... ty nie będziesz myślał o mnie źle?

– Na litość boską, dziewczyno! – wykrzyknął głęboko poruszony. – Ja? O tobie?! Czyś ty oszalała? – Gdy Jillian mocno zamruwała, dodał już spokojniej: – Przepraszam, Jake, trochę się uniosłem, ale uwierz mi, że cokolwiek teraz powiesz, w żadnym razie nie zmieni mojego stosunku do ciebie. A jestem pewien, że właśnie tego się boisz i dlatego się ociągasz.

Jillian znów opuściła głowę, ale jej mała dłoń wsunęła się głębiej pod dużą dłoń Teda, który wreszcie mógł odetchnąć. Jest dobrze, pomyślał, ten drobny gest to dowód, że Jill darzy mnie zaufaniem.

Milczała jakiś czas, na koniec zaczęła jednak mówić:

– Ja... miałam wtedy piętnaście lat. Wuj John przyjął tego człowieka do pracy na ranczu. Miał robić różne rzeczy, więcej niż zwykły robotnik. Choć tak naprawdę był włóczęgą, wyróżniał się sporą inteligencją i wieloma umiejętnościami. Do tego był sympatyczny i uczynny, wydawało się, że jest w porządku. Pewnego dnia wuj John poczuł się źle. Poszedł się położyć, a ja zostałam w kuchni. Z tym... człowiekiem...

– No tak... – Ted zacisnął mocno zęby.

– Najpierw koniecznie chciał mi pomóc, zaoferował się, że wyniesie śmieci i umyje podłogę. Pomyślałam, że to bardzo miło z mojej strony. Ale on potem nagle zapytał mnie o rozmiar mojego biustonosza i czy noszę nylonowe majtki. – Po tych słowach w oczach Teda błysnęło, a Jillian przełknęła. – Byłam zszokowana, nie wiedziałam, co powiedzieć. Ale pomyślałam, że to może jakieś głupie żarty. I wtedy on zaczął ściągać ze mnie ubrania, mamrocząc cały czas pod nosem, że potrzebuję kogoś, kto mnie nauczy wszystkiego o mężczyznach. Że on nadaje się do tego jak nikt, ponieważ miał już wiele dziewczyc.

– Jezu!

– Wuj John spał, w ogóle nikt nie mógł mi pomóc, ale przy drodze mieszkała pani Peale z Sassy i adoptowaną dziewczynką. Kopnęłam tego człowieka w brzuch, to znaczy niżej, i wybiegłam z domu. Pędziłam przez las najszybciej, jak mogłam. Byłam prawie goła... – Zadrżała i zamknęła oczy, ponownie przeżywając paniczny strach, który wtedy czuła. Gdy biegła co sił w nogach, słyszała za sobą przekleństwa prześladowcy i cichy trzask gałązek

pod jego stopami. – Nie myślałam o tym, że narażam również panią Peale i obie dziewczynki, ale były moją jedyną nadzieją. Byłam przerażona. Kiedy w końcu dobiegłam do ich domu, zaczęłam z całej siły walić w drzwi. Otworzyła Sassy. Spojrzała na mnie i od razu pobiegła do szafy w holu, gdzie trzymały strzelbę. Kiedy tamten człowiek dobiegał do werandy, Sassy zdążyła załadować broń i wycelowała w jego brzuch... – Jillian popiła herbaty, starając się opanować wzburzenie. Ręka, w której trzymała kubek, drżała. Druga dłoń nadal schowana była w dłoni Teda. – On próbował wszystko zwalić na mnie, mówił, że to ja próbowałam go poderwać, ale Sassy wiedziała swoje. Trzymała go na muszce, a pani Peale zadzwoniła na policję. Przyjechali i zabrali go. A potem... – Jillian odetchnęła głęboko. – Potem wszystko przeniosło się do sądu. Okropność. Okazało się, że ten mężczyzna ma już niejedno na sumieniu. Jednak poszedł na ugodę z prokuratorem, dzięki czemu rozprawa odbyła się przy drzwiach zamkniętych, bez udziału publiczności. No i wynegocjował wyrok. Oczywiście jako recydywista i tak dostał wiele lat. Jego siostra mieszkała w Wyomingu. Kiedy skazano jej brata, przyjechała do Hollister, żeby zobaczyć się ze mną... – Jillian na moment przymknęła oczy. – Powiedziała, że jestem wredną dziwką, przez którą porządny człowiek całe lata spędzi za kratkami. Była wtedy u mnie Sassy i z kuchni wszystko słyszała. Wściekła się, wparowała do salonu i wyrzeszczała, co o tym wszystkim myśli. Wywaliła jej prosto w twarz, że ma brata gwałciciela, który już przedtem napastował niejedną dziewczynę. Ta kobieta nie powiedziała już ani słowa. Wyszła i nigdy więcej jej nie spotkałam. A Sassy... – Jillian powoli podniosła głowę i spojrzała Tedowi prosto w oczy. – Sassy od tamtej chwili jest moją przyjaciółką. Chociaż ja... przykro mi to mówić, ale i tak ciągle się bałam, że ktoś się od nich o tym dowie. Od Sassy albo jej matki. Bałam się też okropnie, że ta jego siostra

rozwowie o całej sprawie i wszyscy będą przekonani, że to ja go podrywałam!

Palce Teda zacisnęły się mocniej na jej dłoni.

– Jake, kiedy to się zdarzyło, mnie tu nie było, prawda?

– Wyjechałeś wtedy na to szkolenie w Akademii FBI. Bardzo prosiłam sędziny, żeby ani tobie, ani w ogóle nikomu o tym nie mówiono. Sędzina zachowała całkowitą dyskrecję, w ogóle była dla mnie bardzo życzliwa.

Ted na moment spojrzął w bok. Gotowało się w nim. Gdyby wtedy nie wyjechał z miasta... Piętnastoletnia Jillian nie interesowała go jako kobieta, to oczywiste, ale zawsze bardzo ją lubił. I gdyby tylko miał ku temu sposobność, pogruchotałby draniowi wszystkie kości. Niestety aż do dziś nie miał pojęcia, co przytrafiło się Jill.

– Na pewno byś go sprął – powiedziała Jillian, bezbłędnie odczytując jego myśli. – Zbił na kwaśne jabłko, a potem włókł główną ulicą miasta.

– Oczywiście! Najpierw załatwiłbym jego, a potem zabrał się do rewidenta!

– Rewidenta? Nie, Ted. W sumie przecież to była moja wina. Nie powiedziałam mu, ile mam lat, no i poszłam z nim, choć był po alkoholu. Zachowałam się potwornie głupio... No, byłam głupia.

– Po prostu byłeś jeszcze dzieciakiem, Jake, a dzieciakom przychodzą do głowy różne pomysły. Słyszałaś kiedyś o jakimś nastolatku, który zanim coś zrobi, głęboko się zastanowi?

Po jej twarzy przemknął nikły uśmiech.

– Dzięki, Ted, za to, że jesteś wobec mnie taki wyrozumiały.

– A dlaczego mam nie być? Tym bardziej że tak ogólnie rzecz biorąc sympatyczny ze mnie facet i życzliwy wobec ludzi. A także wyrozumiały. Co jednak najważniejsze...

– Co?

Ted uśmiechnął się szeroko.

– Najważniejsze, że jestem facetem, który naprawdę potrafię tańczyć tango. Nauczyć cię?

– Mówią, że to bardzo... zmysłowy taniec – powiedziała cicho, umykając wzrokiem.

– Zgadza się, nie zapominaj jednak, że jestem policjantem. Poza tym nie jestem agresywny, absolutnie, pod żadnym względem. Z mojej strony nic ci nie grozi. A więc?

Jillian odetchnęła głęboko.

– A więc... myślę, że każda kobieta powinna choć raz w życiu zatańczyć tango!

– Też jestem tego zdania.

Ted wytarł usta lnianą serwetką, wypił ostatni łyk wspaniałej, choć zimnej już kawy, i wstał. Jillian też otarła usta i wstała. Ted wziął ją za rękę i poprowadził na parkiet, udzielając po drodze instrukcji:

– Jake, podczas tańca uważaj na swoje plecy.

– Dlaczego? – spytała zdumiona, zatrzymując się na brzegu parkietu.

– Dlatego, że kiedy inne panie zauważą, jaki to ze mnie wspaniały tancerz, będą koniecznie chciały ze mną zatańczyć. Wiesz, jak to wygląda. Puk, puk w twoje plecy, „odbijany!” i już któraś mnie porwie.

– O nie! – zawołała rozbawiona. – Tak łatwo nie wypuszczę ciebie z rąk. A poza tym... – Nachyliła się ku niemu i dokończyła konspiracyjnym szeptem: – Zawsze mogę sięgnąć po broń. Przecież masz ją przy sobie?

– Jasne – odparł półgłosem, wskazując dyskretnie kaburę przymocowaną do paska. – W końcu jestem gliną. Z tym że Jake, bez głupich żartów. Nie waż się dotykać tego pistoletu.

– Ja? Dotykać pistoletu?! Ted, przecież wiadomo, że cię podpuszczam!

W życiu czegoś takiego nie dotknę, o czym doskonale wiesz. Dlatego, kiedy przyjeżdżasz do mnie, uwielbiasz rozsiąść się na werandzie i postrzelać do butelek nadzianych na patyki. Tylko po to, żeby mnie wkurzyć!

– Obiecuję, że się zmienię.

– Oho, już ci wierzę!

Ted patetycznym gestem położył dłoń na swoim sercu.

– Jake, przysięgam, że nie kłamię. Toleruję kłamstwo tylko wtedy, kiedy powiedzenie prawdy graniczy z okrucieństwem. Zdarzają się przecież takie sytuacje, prawda?

– Na przykład?

Dyskretnie wskazał kobietę stojącą pod ścianą.

– Gdybym tej pani powiedział, że jej sukienka nadaje się tylko na karnawał w Rio de Janeiro, na pewno nie byłoby jej przyjemnie.

Jillian zagryzła mocno wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem, po czym stwierdziła cicho:

– Jej na pewno się wydaje, że wygląda niesamowicie sexy.

– Tak, a wygląda beznadziejnie – stwierdził bezapelacyjnym tonem Ted. – Naprawdę sexy wygląda kobieta zakryta od stóp do głów, która odsłania tylko jeden kuszący fragment. Na przykład Japonki zawijają się w kimono, zostawiając tylko odsłonięty kark. Dlatego dla Japończyków w kobiecie najbardziej sexy jest właśnie ta część ciała.

– Ted, byłeś w Japonii?!

– Zdarzyło się.

– No i popatrz. Ciebie nosi po świecie, a ja tylko raz w życiu przekroczyłam granice Montany, kiedy wuj John zabrał mnie na zjazd hodowców bydła. Nigdy nie byłam zagranicą. Szkoda. Kiedy podczas podróży poznaje się tyle nowych ciekawych miejsc, nowych ludzi, całkiem

innych, prawda?

Ted uśmiechnął się.

– No... mówią co prawda, że co kraj, to obyczaj i tak dalej, ale jak się dokładnie przyjrzeć, to ludzie są wszędzie tacy sami. Ale samo podróżowanie jest naprawdę super. Bardzo lubię, nawet jeśli jest to wyjazd służbowy.

– Pamiętam, że kiedyś poleciałeś do Londynu razem z detektywem ze Scotland Yardu. I pomyśleć, że nasze małe Hollister zamieszane było w jakąś aferę brytyjską!

– Chodziło o zaplanowane z zimną krwią przez pewne małżeństwo zabójstwo. Facet przyjechał tu na ryby, żeby mieć alibi, a zabiła jego żona, rzucając podejrzenie na nieobecnego w domu męża. Który, jak już powiedziałam, był na rybach w Hollister. W rezultacie i mąż, i żona dostali wyroki.

– A kogo zabili?

– Jej kuzyna, który dostał w spadku dobra rodzinne plus około dziesięciu milionów funtów. Wiesz, Jake, pewnie nigdy nie przestanę się dziwić, do czego zdolni są ludzie, zdawałoby się rozsądni, gdy w grę wchodzi pieniądze. Po co komu tyle kasy? Przecież i tak nie zabierzesz jej do grobu. No i w ilu domach człowiek może mieszkać? Iloza samochodami może jeździć? Do pieniędzy mam podobny stosunek jak Czejenowie i Indianie z plemienia Crow. Jak zresztą większość Indian, którzy największym szacunkiem darzą tego współplemieńca, który posiada najmniej dóbr, bo prawie wszystko oddaje innym, bardziej potrzebującym. Indianie nie rozumieją społeczeństw, w których człowiek im jest bogatszy, tym większym cieszy się szacunkiem. Po prostu nie są kapitalistami.

– Wiem coś o tym – powiedziała Jillian. – Indianie nie rozumieją, co to jest własność prywatna. U nich wszystko jest wspólne.

– Też tego nie rozumiem – z uśmiechem odparł Ted. – Buty czy koszula, i owszem, ale lasy i góry? Coś, co zawsze było, co jest teraz i istnieć będzie aż do końca dziejów naszego globu? Nic takiego nie powinno należeć do jednego człowieka.

– O proszę, teraz mówisz jak prawdziwy Czejen!

– Jednak coś tam w tych genach jest... – Ted delikatnie musnął palcami jasne loki Jillian. – Co robimy, Jake? Gadamy dalej czy wreszcie zatańczymy?

– Tańczymy!

Objął ją jak do tańca i natychmiast się przestraszył. Nie wiedział przecież, jak po tamtych przeżyciach Jillian zniesie bliskość mężczyzny.

Zapytał o to wprost i otrzymał wielce satysfakcjonującą odpowiedź:

– Nie ma problemu. – Jillian spojrzała mu w oczy, a nawet się uśmiechnęła, co prawda bardzo nieśmiało. – Lubię być przy tobie blisko...

I natychmiast zarumieniła się, pewnie z obawy, czy Ted nie pomyśli, że zachowała się zbyt otwarcie i swobodnie.

On zaś ciepło się uśmiechnął, a potem powiedział:

– Jake, błagam, zachowuj się przy mnie swobodnie. Naprawdę bardzo mi na tym zależy. Mów mi wszystko, co chcesz, a ja nigdy nie pomyślę źle o tobie. Nigdy! Teraz na przykład – znowu się uśmiechnął – wcale nie pomyślałem, że udajesz wampa. Powiedziałaś szczerze, co czujesz, a mnie naprawdę było bardzo przyjemnie to właśnie usłyszeć.

Jillian wyraźnie się odprężyła.

– Dzięki... Ted, a jak będzie z tym tangiem? To trudny taniec?

– Owszem.

– No cóż... – Odetchnęła głęboko. – Raz kozie śmierć. Zaczynajmy.

Ted spojrzał w dół, w jej niebieskie oczy, teraz pełne lęku, i uśmiechnął

się bardzo krzepiąco.

– Damy radę. Zaczynamy.

Najpierw pokazał podstawowe kroki. Jillian wyraźnie odetchnęła, kiedy przekonała się, że nie są to skomplikowane figury, jakie widywała na filmach, tylko kroki faktycznie podstawowe. Takie taneczne przedszkole.

Patrzyła bardzo uważnie i pilnie naśladowała jego ruchy. Najpierw nieśmiało, potem coraz odważniej, póki jej ruchy nie nabrały pewności i elegancji.

– Świetnie – pochwalił Ted. – A teraz przechodzimy do kroków bardziej skomplikowanych, to będzie coś w rodzaju takich kopniaczków. Zobaczysz.

Przez ten etap nauki Jillian udało się również przejść efektywnie.

– O wiele łatwiejsze, niż widzi się na filmach – stwierdziła.

– Oczywiście – przytaknął Ted. – Bo na filmach pokazują najbardziej wymyślną wersję tego tańca, często za bardzo odchodząc od oryginału. Najbardziej ujęło mnie tango pokazane w pewnym starym, czarno– białym jeszcze filmie, kiedy tańczyła pewna Angielka.

– Ale tango jest argentyńskie? – upewniła się Jillian.

– Zgadza się. Dokładnych informacji o tangu udzieliłby ci mój kumpel, który nauczył mnie tańczyć. W tej dziedzinie jest chodzącą encyklopedią, chociaż ja też coś niecoś na ten temat wiem. Na przykład to, że w Argentynie jest mnóstwo klubów, gdzie tańczy się tylko tango. Ciekawe, że zwykle tańczy się tam z kimś obcym... A wiesz, mam pomysł! Ty i ja resztę ze sklepu zaczniemy wrzucać do puszki... Nie, lepiej wiaderka. Kiedy będziemy w wieku Reda, może nazbiera nam się na bilety do

Buenos Aires. Polecimy tam i potańczymy tango w Argentynie, czyli u źródła.

Jillian zachichotała.

– Jesteś pewien, że wiaderko wystarczy? Może lepiej beczka. Kto wie, jakie będą ceny biletów za dwadzieścia czy trzydzieści lat.

Ted westchnął.

– A może i za czterdzieści... A ja tak lubię podróżować! Dzięki mojej pracy wiele razy wyjeżdżałem, ale jest jeszcze tyle fascynujących miejsc, które koniecznie chciałbym zobaczyć. Na przykład słynne ruiny w Peru, piramidy, no i pustynię Sonora.

– Pustynię Sonora? Przecież wcale nie jest taka znowu egzotyczna!

– Owszem, jest, bo rosną na niej kaktusy saguaro, jedyne w swoim rodzaju. Czy wiesz, że taki kaktus może żyć nawet dwieście lat? Jego odnogi są niebywale ciężkie. Jeśli spadnie na człowieka, może go zabić. Kaktusy magazynują nieprawdopodobne ilości wody. Załamałyby się pod jej ciężarem, gdyby natura nie wyposażyła ich w zdrewniałe szkielety.

– Skąd o tym wszystkich wiesz?

– Z telewizji. Oglądam Science Channel, Discovery Channel, National Geographic Channel...

– O! Ja też czasami je oglądam.

– A ja nie przepuszcze żadnego programu przyrodniczego. Między innymi z tego powodu moje życie towarzyskie nie jest zbyt bogate.

– Moje również. Prawdę mówiąc, po raz pierwszy jestem na prawdziwej randce.

– Świetnie, że się końcu zdecydowałaś! – rzucił z uśmiechem Ted. – Do tanga, Jake!

W tańcu przycisnął ją do siebie zdecydowanie mocniej. Twarda, męska klata bezceremonialnie napierała na biust Jillian, czego, o dziwo, wcale nie odczuła jak coś bardzo krepującego. Wcale nie. Było po prostu ekscytujące,

jak w ogóle to, że przebywa w męskich objęciach. Nie, nie w jakichś tam męskich objęciach, ale w objęciach Teda. Czuła jego ciepło, siłę, zapach...

– Jake, ale chyba tańczyłaś już kiedyś z facetami? – spytał nagle Ted.

– Oczywiście! – Poderwała głowę, jej spojrzenie było lekko nieprzytomne. – Ale w ogóle nie da się tego porównać, bo teraz jakoś tak to wszystko bardzo mocno odczuwam. Bardzo!

Tym wyznaniem Ted był naturalnie bardzo usatysfakcjonowany. Odruchowo podniósł głowę wyżej, wyprostował się.

Choć jedno zastrzeżenie miał.

– Bardzo mnie to cieszy, Jake, wołałbym jednak, żebyś tańcząc z innym facetem, nie odczuwała tego zbyt intensywnie.

Jak to dobrze, że on potrafi wszystko obrócić w żart! – pomyślała. Jillian, przed sekundą trochę speszona swoim ostatnim wyznaniem, roześmiała się i od razu poczuła się swobodniej.

Cały czas, oczywiście, tańczyli. Jillian miała bardzo dobre wycucie rytmu, radziła więc sobie nieźle, czym zasłużyła na pochwałę:

– Szybko się uczysz, Jake. Podszkolę cię jeszcze trochę i kto wie, czy nie zaczną pokazywać nas palcami. O, patrzcie, to ci, co tańczą tango jak nikt w całej Montanie!

– Ted, czy aby trochę nie przesadzasz?

– A skąd! – zaprzeczył żarliwie, po czym, aby dowieść, że są na najlepszej drodze do sukcesu, wykonali skomplikowaną figurę taneczną. Ted jedną ręką przytrzymał Jillian gdzieś w okolicy krzyża, Jillian bardzo mocno przechyliła się w tył, po czym ręka Teda pomogła jej wrócić do pionu. I na tym nie koniec. Kiedy się wyprostowała, Ted uniósł ich złączone ręce i Jillian wykonała efektowny obrót.

A zaraz potem lekko zdyszana wybuchnęła śmiechem. Po prostu

roznosiła ją radość, bo to było naprawdę cudowne.

– Nie tańczyłem już ładnych parę lat – wyznał w którymś momencie Ted. – Bardzo lubię tańczyć, ale jak już wiesz, nie należę do facetów, którzy biegają z imprezy na imprezę.

– Ja też nie – powiedziała Jillian. – Najwięcej czasu spędzam w kuchni. Cóż, jestem strasznie zacofana, bo zgodnie z duchem czasu powinnam chodzić do pracy, na przykład w jakiejś korporacji, i wspinać się po szczeblach kariery. Albo pójść na studia. A wieczory obowiązkowo spędzać w klubach.

– Chciałabyś zajmować wysoki stołek w korporacji?

– Nigdy w życiu! – zawołała szczerze. – Cóż, taka już się urodziłam, że jestem całkowicie pozbawiona ambicji. Chociaż nie, bo z chęcią dalej bym się uczyła. Tak, marzą mi się studia w college’u.

– A co konkretnie?

– Na przykład archeologia. Bardzo lubię czytać o najdawniejszych czasach, o odkryciach archeologicznych, o tym, czego można się dowiedzieć z zachowanych szczątków. Nie przepuszczę żadnego programu o Egipcie w National Geographic.

– Ja też – odparł z uśmiechem.

– Jestem zafascynowana piramidami, nie tylko egipskimi, także tymi z Meksyku i Azji.

– A wiesz, że w Stanach mamy też coś w rodzaju piramid? Zachowały się wielkie kopce usypane jeszcze przez ludy pierwotne. Większość takich kopców znajduje się w pobliżu rzek, być może usypywano je między osadą a rzeką. Miały stanowić naturalną zapórę, gdyby rzeka wylała.

– Może... Ale w Egipcie takie kopce nie były potrzebne. Im powódź nigdy nie zagrażała.

– Nigdy? Kiedyś być może tak. Istnieje teoria, że wiele tysięcy lat temu na terenie dzisiejszego Egiptu panował inny klimat, nie pustynny, ale wilgotny tropikalny. Z wodą nie było problemu, mieli mnóstwo rzek, rzeczek i lasów.

– Niemożliwe! A skąd to wiesz?

– Czytałem o tym w pewnej książce, bardzo zresztą niezwykłej. Ta książka to „Dzieje” Herodota, zwanego ojcem historii. Pisał w niej też o Egipcie. Przekazał wszystko, co usłyszał od kapłanów egipskich, którzy opowiadali mu o swoim kraju. Zastrzegł jednak, że uzyskane w ten sposób wiadomości niekoniecznie muszą być prawdziwe.

– Z wielką chęcią zajrzałabym do tej książki.

– Nie ma problemu, pożyczę ci. Zresztą zrobiłem kilka kopii „Dziejów”.

– Po co?

– Bo ja, wstyd przyznać, czasami gubię książki.

– Co?! Jak można gubić książki?

– Niestety, Jillian, jestem policjantem, dbam o publiczny ład i porządek, ale w domu jestem potwornym bałaganiarzem. Przekonasz się o tym, kiedy mnie odwiedzisz.

W oczach Jillian zapaliły się wesołe iskierki.

– Aha! Czyli chcesz mnie zwabić do siebie? Kuisz książką?

– Zwabić, i owszem! Ale tę książkę naprawdę ci pokażę. Jest fascynująca, zapewniam.

– Skoro tak... to... może skorzystam z twojego zaproszenia?

– Naprawdę? – Silne ramię objęło ją trochę mocniej. – Może w sobotę? Pokażę ci także moją kolekcję map.

– Mapy?! Interesujesz się nimi?

– A tak. Zbieram mapy topograficzne i plastyczne.

– Nie wierzę... – mruknęła z uśmiechem.

– Nie rozumiem. Co w tym takiego dziwnego? Ludzie kolekcjonują różne...

– Ted, przecież ja też zbieram mapy! – wpadła mu w słowo. – Kiedyś porównamy nasze zbiory. A ja mam się czym pochwalić. Udało mi się już zdobyć co najmniej połowę map, które wydał Rand McNally!

TTLR

ROZDZIAŁ PIĄTY

– No i co? I jak to w końcu z nami jest? Chyba bardzo dobrze! – Rozbawiony Ted zaśmiewał się na głos. – Oboje jesteśmy fanatykami map...

– ... oboje kochamy historię starożytną... – dodała Jillian.

– I oboje uwielbiamy strzelać z werandy do celu! – zakończył wyliczankę.

Za co oczywiście został poczęstowany spojrzeniem bardzo groźnym.

Więc oznajmił z teatralnie ciężkim westchnieniem:

– Poprawię się, przyrzekam.

– Ted, zrozum! Możesz spudłować i postrzelić moją Sammy!

– Nie ma takiej opcji. Jestem strzelcem wyborowym.

– Każdemu zdarza się nie trafić.

– Fakt.

Stali na środku parkietu i rozmawiali, kiedy kapela szykowała się do odegrania kolejnego kawałka. Gdy rozległy się dźwięki muzyki, najpierw powtórzyli efektowną figurę z piruetem Jillian, potem tańczyli, tańczyli, tańczyli. Jillian była w siódmym niebie, czuła się tak zachwycona jak jeszcze nigdy dotąd...

Uśmiechnięty od ucha do ucha Ted odprowadził ją pod same drzwi.

– Moim zdaniem nasza pierwsza randka była bardzo udana – stwierdził.

– Też tak uważam! – oświadczyła uśmiechnięta Jillian.

Na co oczywiście w sercu Teda zrobiło się bardzo ciepłutko. Znał Jillian na tyle dobrze, że ogólne pojęcie o jej charakterze miał. Wiedział, że jest przede wszystkim osobą bezwzględnie uczciwą, a w swoich wypowiedziach bardzo szczerą. Skoro wyjawiała, że jest zadowolona ze wspólnego wypadu, to

tak na pewno było.

Jillian zawsze mówiła prawdę, a takich ludzi naprawdę nie ma na świecie.

– Ted?

– O, przepraszam, Jake, ale się zamyśliłem.

– A można wiedzieć, o czym tak dumałeś?

– Oczywiście, że można. O tym, że nie jestem przyzwyczajony do ludzi, którzy mówią prawdę. Na przykład kiedy kogoś aresztuję, ten ktoś prawie zawsze utrzymuje, że jest niewinny. Ktoś inny mu nabruździł albo trafił do paki przez pomyłkę. Tak twierdzi, choć naoczni świadkowie są innego zdania. Ale jego zdaniem on jest absolutnie niewinny, tylko policja się na niego zawzięła.

– No cóż... W końcu każdy woli być niewinny, prawda?

– Fakt.

– Chciałam cię o coś spytać. Słyszałam od kogoś, że ten złodziej, którego aresztowałeś za napad na bank, ma być zwolniony warunkowo. Czy to prawda?

– Niestety tak. – Spojrzenie Teda stwardniało. – Jego obrońca doszukał się jakichś nieprawidłowości w instrukcjach sędziego dla ławy przysięgłych. Twierdzi, że miało to wpływ na wyrok. W rezultacie facet chyba wyjdzie.

– Ted, ale ludzie mówią też, że ten człowiek ci groził! Zaklinał się, że kiedy wyjdzie na wolność, to zabije ciebie!

Zacisnął wargi, zarazem jednak jego oczy rozbłysły.

– Jake, co ja słyszę! Czyżbyś bała się o mnie?

– Oczywiście, że tak!

– To dobrze. Przyciągnął ją do siebie. – Każdy facet czuje się fantastycznie, kiedy wie, że jakaś słodka kobietka martwi się o niego.

– Nie jestem żadną kobietką – zdecydowanym tonem oświadczyła Jillian. – A już na pewno nie słodką. I na ogół o nikogo się nie martwię.

– Ale o mnie się martwisz, przecież sama powiedziałaś. Bardzo mnie to cieszy, choć przestanie cieszyć, jeśli zaczniesz martwić się przesadnie.

– Ted, sam wiesz najlepiej, że zawód policjanta nie należy do najbezpieczniejszych... – Jakby trochę speszona zaczęła bawić się jednym z guzików przy jego rozpiętej marynarce. – Powiem ci coś. Mój wuj przez jakiś czas był bardzo blisko z wdową po Joem Brownie, który, jak sam dobrze wiesz, był zastępcą szeryfa. Zginął w strzelaninie kilka lat temu. Pani Brown mówiła mi, że kiedy mąż miał służbę, praktycznie nie odchodziła od telefonu. Warowała przy tym telefonie i w dzień, i w nocy, umierając ze strachu. I modliła się, błagając Pana Boga, by mąż wrócił do domu żywy.

Ręce Teda bezwiednie zacisnęły się mocniej wokół szczupłej talii Jill.

– Niestety, Jake, kiedy wychodzi się za funkcjonariusza policji, trzeba brać pod uwagę taką możliwość.

A Jillian oczami wyobraźni widziała już, jak cała rozdygotana przez całą noc nerwowo przemierza pokój z oczami wlepionymi w telefon. Gdyby była żoną Teda, na pewno umierałaby ze strachu. Przecież już teraz martwi się o niego, tak bardzo by nie chciała, żeby kiedykolwiek przytrafiło mu się coś złego! Martwi się o niego ze zwykłej sympatii. Lubi go, ale zakochana nie jest. Co to, to nie. Jest jeszcze bardzo młoda, może coś robić ze swoim życiem. Potem dopiero wyjdzie za mąż... A tak w ogóle to należałoby się nad tym wszystkim porządnie zastanowić. Teraz, absolutnie teraz, bo jeśli zwiąże się z Tedem na poważnie – co nieuchronnie prowadzić będzie do małżeństwa – nie będzie już okazji do rozmyślań. Ani ochoty. Jillian słyszała Jak ktoś tam komuś mówił, że kiedy między kobietą i mężczyzną wytworzy się silna więź fizyczna i psychiczna, nie potrafią już bez siebie żyć.

Czyli lepiej zastanowić się nad tym teraz.

Ted jakby czytał w jej myślach. Powoli wypuścił ją z objęć i cofnął się o krok. Jakby oddalał się od niej, nie tylko fizycznie. Psychiczenie też, tak przynajmniej odczuła to Jillian.

Poderwała głowę.

– Ted... naprawdę nie mam jeszcze całkowitej pewności... Chodzi o... nasze małżeństwo.

Jego twarz stężała.

– Jillian! Przecież dobrze wiesz, że jeśli się nie pobierzemy, pewien deweloper z Kalifornii zrobi z rancza centrum rozrywki z tłumem ludzi, a Sammy skończy na talerzu.

– Oczywiście, że wiem! Nie musisz mi tego bez przerwy powtarzać, ale małżeństwo to poważny krok. Żeby podjąć jakąkolwiek decyzję, muszę mieć czasu do namysłu, a w tej klauzuli wcale nie jest napisane, że mamy wziąć ślub już jutro.

Owszem, istniało coś takiego, jak ograniczenie w czasie, jednak Ted nie zamierzał teraz wyjaśniać tego Jillian, nie zamierzał też na nią naciskać. Wiedział przecież, że Jillian ma istotne powody, by być całą tą sytuacją wystraszona. Znali się od wielu lat, ale to wcale nie oznaczało, że znają się dobrze. Poza tym, co też było oczywiste, Jillian nie dojrzała jeszcze do małżeństwa, przynajmniej jeśli chodzi o współżycie seksualne. Miała na tym tle głęboki uraz, była w tej sferze zahamowana, co było następstwem traumatycznych przeżyć.

– W porządku – powiedział po chwili. – Dajmy sobie trochę czasu, żeby poznać się lepiej. A potem zobaczymy.

– Czyli co? Będziemy się umawiać, spotykać i tak dalej?

– Tak. Umawiać się, spotykać i tak dalej – powtórzył Ted.

Nieco już spokojniejsza Jillian spojrzała na niego. Na mężczyznę, który ma ochotę zostać jej mężem. Był taki przystojny! Bardzo wysoki, zawsze górował wzrostem nad innymi. Zawsze pełen energii, zdecydowanie dążący do celu. Stanowił więc całkowite przeciwieństwo zawsze trochę zagubionej Jillian. Ale mieli też sporo wspólnego, na przykład te same zamiłowania, chociażby książki i mapy. Poza tym, mimo różnicy zdań w pewnych kwestiach, bardzo lubili przebywać ze sobą. Przecież to było oczywiste.

– Ted, chciałabym zobaczyć, jak mieszkasz.

– Świetnie. Czyli tak jak uzgodniliśmy, spotkamy się w sobotę. Podjadę po ciebie rano, zaraz po śniadaniu. Zgoda?

– Zgoda.

– W takim razie jeszcze tylko jedna mała prośba. Mam nadzieję, że nie nosisz bluzek z dekoltem do pępka i dżinsów oblepiających nogi?

– Ted!

– Przepraszam, ale tylko chciałem się upewnić. Bo u mnie, jeśli chodzi o ubranie, obowiązują pewne zasady.

– Zasady? Ciekawe, jakie? Zaraz, niech pomyślę. A, już wiem! – Jillian, udając wielce zadowoloną, pokiwała skwapliwie głową. – To twoi kowboje noszą bluzki z dekoltem do pępka. Goście nie.

Ted roześmiał się, nachylił i pocałował Jillian. Ten pocałunek był w sumie dziwny. Nie tylko błyskawiczny, ale też, choć niewątpliwie był to pocałunek, okazał się jakiś taki bezosobowy. I zaraz potem Ted zbiegł po schodkach, prowadzących na werandę.

Rzucił tylko przez ramię:

– A więc widzimy się w sobotę!

– Tak, ale zaraz! Chwileczkę! – zawołała za nim Jillian. – Czy to coś to miał być pocałunek?! – Oczywiście powodował ją impuls, który zadziwił ją

samą.

Ted też ją zadziwił, bo wcale nie pognał do niej z powrotem, by naprawić swój błąd. A skąd! Nawet się nie odwracając, pomachał ręką i szedł dalej do swojego samochodu.

Byli w kuchni, mówiąc ściślej, w kuchni Theodorem Gravesa. Oboje byli zaangażowani w szykowanie lunchu. Ted robił omlet, Jillian tosty z cynamonem i smażyła bekon.

I buntowała się.

– Przecież to głupie! Jakbyśmy jedli śniadanie na lunch.

– No i co z tego? – obruszył się Ted. – Często mi się zdarza, kiedy jestem długo na służbie, że jem śniadanie na kolację. Przecież nie istnieją żelazne zasady, co masz zjeść na śniadanie i o jakiej porze masz to zrobić.

– No... niby nie.

– A więc sama widzisz. A gdyby nawet istniały, to rozsądek nakazuje w razie potrzeby być elastycznym. Ty, niestety, tego nie potrafisz.

– I dobrze mi z tym. Za to ty, jako stróż prawa, nie powinieneś nikogo podpuszczać, żeby łamał zasady!

– Oczywiście, że nie, ale przecież teraz mówię tylko o posiłkach, a nie o poszanowaniu prawa. A skoro już o posiłkach mowa... Jake, czy przypadkiem już nie pora odwrócić bekon na drugą stronę? Chyba że zaplanowałaś bekon po jednej stronie surowy, a czarny po drugiej.

– Oho, patrzcie go, jaki dowcipny! Jeśli ci się taki bekon nie podoba, to smaź go sobie sam.

– Ja robię omlety, a bekonu i tak nie tknę. Wieprzowiny nie biorę do ust.

– A ja lubię bekon.

– No to zjedz cały, bo ja sobie wezmę z lodówki prawdziwą wiejską kielbasę.

– W kielbasie też jest wieprzowina.

– Nie szkodzi. Kielbasę lubię, dlatego fakt, że zjem stworzonko z zakreconym ogonkiem, w tym przypadku jest dla mnie nieistotny.

Jillian roześmiała się. To wspólne pichcenie było niezłą zabawą. Dogryzali sobie przez cały czas, oczywiście żartem. Ted w swoich czterech ścianach był wesoły całkowicie rozluźniony, w niczym nie przypominał surowego stróża prawa z marsową miną kroczącego ulicą. Tak, teraz to był całkiem inny człowiek...

– Jake! A co tak przycichłaś?

– Właśnie myślałam o tym, że w domu jesteś całkiem inny niż w pracy.

– Oczywiście! – Zręcznie zsunął omlet z patelni na półmisek. – Przede wszystkim dlatego, że zajmuję się czymś innym. Przecież moim aresztantom nie pichcę śniadań w porze lunchów.

– Nie? Czyli nie idziesz za przykładem wielkodusznego komendanta Bamesa. Wuj John opowiadał, że jeśli któryś z aresztantów miał w rodzinie pogrzeb, Bames osobiście go zawoził na tę smutną uroczystość. Co więcej, ponieważ cele były wtedy tuż koło biura, faktycznie się zdarzało, że komendant gotował dla aresztantów. Niestety, jak oboje dobrze wiemy, Bamesa zabił właśnie jeden z więźniów...

– Tak. Ale nie wiem, czy wiesz, Jake, że facet był kompletnie pijany. Kilka tygodni potem, kiedy siedział w celi i czekał na rozprawę oskarżony o morderstwo, popełnił samobójstwo. Zostawił list, w którym napisał, że dość już bólu sprawił rodzinie komendanta i chce jej zaoszczędzić tego procesu.

– Wiem o tym. Wszyscy uważali, że postąpił dziwnie. A ja uważam, Ted, że to w ogóle wszystko razem nie jest takie proste. Człowiek nie rodzi się przecież po to, żeby zabijać...

– W jakimś sensie masz rację, bo większość zabójstw dokonywanych

jest pod wpływem alkoholu, narkotyków albo w afekcie. Są jednak ludzie, dla których zabijanie nie stanowi problemu. Takich właśnie spotkałem, kiedy byłem w wojsku. Na szczęście jest ich niewielu, jednak się zdarzają.

– A ten twój znajomy, ten snajper, też był jednym z nich?

– Nie, skądże. Mój kumpel to całkiem inna historia. Odbył specjalne szkolenie, po którym przestał się w ogóle nad czymkolwiek zastanawiać. Wiedział, że dobrze strzela i ma strzelać, to wszystko. W pewnym jednak momencie doszedł do wniosku, że w ten oto prosty sposób zabija swoją duszę. Wtedy to rzucił.

– Ale jak mu się to udało? Wystąpić z tajnych służb i przejść do policji?

– A jednak się udało! – odparł ze śmiechem. – Dzięki temu, że wuj Sam, a dokładniej jego prawica, często nie wie, co czyni lewica. Tak to można krótko podsumować. I najlepiej już w to nie wnikajmy. Jake, zapraszam do stołu. – Elegancko odsunął dla niej krzesło. – Bardzo proszę. Mam zamiar porazić cię nienagannymi manierami.

Jillian zajęła miejsce, skosztowała omletu i aż westchnęła.

– Już mnie poraziłeś! Z tym że maniere to pestka. Chodzi o omlet! Ted, jest super!

Na taką pochwałę od razu aż się rozpromienił.

– Dzięki za uznanie.

– Czy możesz zdradzić tajemnicę, co do niego dodajesz? W życiu nie jadłam tak pysznego omletu!

– Niestety, to tajemnica zawodowa.

– Ted, proszę... Przecież jesteśmy prawie zaręczeni!

– I właśnie z powodu tego „prawie” nie mogę zdradzić tej tajemnicy.

Powiem ci, a ty kiedyś zrobisz omlet a la Theodore innemu facetowi.

– Mogę złożyć przysięgę.

– Niestety, jestem nieugięty.

– A więc trudno... – Jillian z lubością przeżuła następny kawałek omleta. – Rarytas! Prawdziwy rarytas!

W tym czasie Ted, choć wcześniej tak się wzbraniał, nałożył sobie bekonu. Był głodny jak wilk, dlatego już nie zawracał sobie głowy wiejską kiełbasą.

Przełknął kawałek i również pochwalił:

– Hm... Niezły...

– Dzięki – mruknęła Jillian, zajęta degustacją tosta. – Niestety, o nich nie można powiedzieć nic pozytywnego. Wybacz, nie dopilnowałam, ale tak bałam się przypalić bekon, że w rezultacie załatwiłam tosty.

– Nie szkodzi. W ogóle ich nie jadam.

– A ja tak, choć dzisiaj zrezygnuję!

Jedli, gadali sobie, a potem Ted pokazał Jillian swoją posiadłość. Bydła miał niewiele, na pastwisku pasło się zaledwie kilka byczków przeznaczonych na mięso. Kiedyś Ted i jego wuj kupili stadko bydła rasy angus, ale przebywało na ranchu, na którym mieszkał wuj John z Jillian.

Szła obok Teda w milczeniu, popatrując tu i tam, czasami bezwiednie odłamując z drzewa uschniętą gałązkę. Była głęboko zadumana. A miała nad czym się zastanawiać, między innymi nad tym, co się stanie ze wspianiałym i wielokrotnie nagradzanym bydłem wuja Johna, jeśli nie wyjdzie za Teda? I to szybko?

– Coś cię gnębi? – spytał, trzymając ręce w kieszeniach kraciatej kurtki.

Jednak nie odpowiedziała, bo pochłonęła ją pewna ważna czynność. Kurtka Jillian z kolei była skórzana i ozdobiona frędzelkami, z których jeden zaplątał się w igły sosny i trzeba go było stamtąd uwolnić.

– Ja to zrobię – powiedział Ted, podchodząc bliżej. – Może wiesz, Jake, dlaczego te kurtki zawsze ozdobione są frędzlami?

Najpierw spojrzała na niego, oczywiście w górę, po raz kolejny uzmysławiając sobie, jak wysoki jest Theodore i jaki silny. No i pachniał tak pociągająco kawą, tytoniem i iglastym lasem...

– Nie mam pojęcia.

– Nasi przodkowie wymyślili te frędzle z powodów bardzo praktycznych. Można było na przykład przywiązać do nich worek i już nie musiałeś go nieść. Moja babcia bardzo dużo opowiadała mi o dawnych czasach. Jej dziadek, Francuz, był traperem. Mieszkał w Kanadzie w dzikiej głuszy, a za żonę wziął Indiankę z plemienia Czarne Stopy.

– Chwileczkę! Przecież zawsze podkreślasz, że masz w sobie krew Czejenów!

– Zgadza się, ale po drugiej babce, która była Czejenką.

Spojrzenie Jillian przemknęło po jego oliwkowej twarzy. Pociągłej, o wysoko osadzonych kościach policzkowych. Oczy czarne jak węgle, włosy kruczoczarne...

– Trzeba przyznać, Ted, że twoi przodkowie wyprodukowali bardzo przystojnego faceta.

– Chwileczkę! Czyżbyś mówiła... o mnie?

Musiał być szczerze zaskoczony jej komplementem, w związku z czym Jillian, uśmiechając się promiennie, dodała w ramach dopełnienia wypowiedzi:

– Faceta, który do tego wcale nie jest zarozumiały.

– Dzięki... – Ted lekko wzruszył ramionami, po czym delikatnie musnął czubkami palców policzek Jillian, mówiąc cicho: – Jak aksamit...

Brwi Jillian znalazły się nieco wyżej niż zwykle.

Teraz to ona mruknęła:

– Dzięki...

– Masz piękną cerę po swojej matce, Jake. Kiedy umarła, byłem już całkiem sporym chłopakiem, dlatego pamiętam ją bardzo dobrze. Uważana była za najlepszą z kucharek w dwóch hrabstwach, wszyscy też wiedzieli, że ma bardzo dobre serce. Zawsze była chętna do pomocy, na przykład gdy ktoś zachorował, a kiedy kogoś pochowano, dostarczała potrawy na stypę.

– Wuj John dużo opowiadał mi o mamie. Bardzo ją kochał. Była jego jedyną siostrą, o wiele starszą od niego. A ja urodziłam się późno. Zjawiłam się na świecie niespodziewanie, wiele lat po ślubie rodziców. I wkrótce potem umarli na tę gripę. Wuj mówił, że jeszcze nie umiałam wtedy chodzić. Dopiero raczkowałam... Ted, to straszne, ale ja ich w ogóle nie pamiętam! Bo i jak? Ty przynajmniej pamiętasz swoich rodziców.

– Tak, pamiętam, chociaż też umarli młodo. Moja matka tuż po trzydziestce miała wylew. Ojciec był wtedy zagranicą, pracował w nafcie, przy odwiertach. Zginął podczas bombardowania. Wtedy moja babcia wzięła mnie do siebie, a po jakimś czasie zamieszkał u niej także wuj, żeby jej pomóc.

– Oboje jesteśmy sierotami... – powiedziała ze smutkiem Jillian. – Ale nasi krewni nie dali nam zginąć, obdarzyli miłością. Każde z nas miało prawdziwy dom rodzinny. A tyle osieroconych dzieci jest tego pozbawionych.

– Dlatego jest tyle fundacji, które im pomagają.

Jillian westchnęła.

– Szkoda, że nie jestem bogata. Bardzo chętnie bym wspierała którąś z tych organizacji.

– A ja już to robię! – oznajmił z dumą Ted. – Wspieram, i to niejedną.

– O proszę! – Jillian oparła się plecami o drzewo i przymknawszy oczy, chłonęła leśne zapachy i dźwięki. – Kocham zimę – odezwała się po chwili.
– Chociaż mnóstwo ludzi na nią narzeka. A ja lubię, kiedy jest zimno, kiedy pada śnieg. Lubię palić w piecu i w kominku, lubię, jak z komina leci dym. Zamykam wtedy oczy i przypominam sobie, jak razem z wujem Johnem siedzieliśmy przy ognisku. Wuj zabierał mnie na polowanie, na jelenia.

– Którego nigdy nie ustrzełaś.

Jillian otworzyła oczy i spojrzała groźnie.

– Oczywiście! Miałabym strzelać do jelenka Bambi?! Ludzie w ogóle nie powinni strzelać do zwierząt!

– Czyli w czasach kolonialnych byś nie przeżyła, bo nasi przodkowie nie mieli sklepów spożywczych w zasięgu ręki. Wybór był prosty: albo polować i uprawiać warzywa, albo umrzeć z głodu. Ci, którzy nie chcieli polować ani pracować w polu, wypędzani byli z fortu. W rezultacie konali z głodu i zimna, a gdy próbowali kraść jedzenie Indianom, często byli przez nich zabijani.

– Ted, wciąż się zastanawiam, co ludzi gnało aż tutaj, do Ameryki. Zostawiali ojczyznę, swoich najbliższych, swoje domy, swoje miasta i wsie, kupowali bilet na statek i ruszali w drogę, by osiąść na nieznanym lądzie.

– Wielu uciekało przed więzieniem za długi, których nie byli w stanie spłacić, a tu mogli nająć się na służbę, oszczędzać przez kilka lat i kupić kawałek ziemi. Bywało też, że bogaci posiadacze, u których pracowali, dawali im akr albo dwa ziemi, jeśli byli hojni.

– Ale i tak było ciężko. Co z tego, że masz ziemię, przecież nie zawsze urodzi, na przykład kiedy jest susza...

– Oczywiście, że było ciężko. Wzdłuż naszych wschodnich wybrzeży jest mnóstwo grobów kolonistów, którzy poumierali z głodu. Niestety, wcale

nie było łatwo przeżyć w wielkim kraju, w którym nie było supermarketów i centrów handlowych.

I znów nastąpiła chwila ciszy, w trakcie której Ted odszedł kawałek dalej i zapatrzył się na małe progi w strumieniu płynącym nieopodal.

– Zamarzł – powiedział. – Wygląda pięknie.

– Co?

– Strumień. Tam, zobacz!

– Stąd nie widzę.

– Chodź! – Ted odwrócił się. – Zaprowadzę ciebie.

– Dobrze! – Uśmiechnęła się.

Czarne spojrzenie Teda na moment zatopiło się w niebieskich oczach. Spojrzenie palące, a jednocześnie takie, że Jillian absolutnie nie miała ochoty spojrzeć w drugą stronę. W żadnym razie! Czarne oczy przyciągały jak magnes, patrzyły tak wymownie...

Niestety, potem nie nastąpiło nic szczególnego.

Ted podprowadził ją do zamrożonego strumienia, popatrzyli na progi i wrócili do domu. Zgodnie z obietnicą Ted pokazał Jill ową niezwykłą książkę starożytnego historyka, po czym odwiózł ją do domu.

Była szczerze zadowolona z wizyty. Bardzo jej się podobało, że chociaż tak długo przebywali sam na sam, Ted nie dążył na siłę do fizycznej zażyłości. A tydzień później zabrał ją do teatru w Billings na uwspółcześnioną inscenizację starej sztuki o dwóch morderczych starowinkach i całej plejadzie ich ekscentrycznych krewnych. Przedstawienie było tak bardzo zabawne, że Jillian od śmiechu aż rozboleł brzuch.

– Całe szczęście, że akurat my nie mamy takich krewnych – stwierdziła, kiedy wracali do domu.

– To prawda – ze śmiechem odparł Ted. – Za nic w świecie nie

chciałbym mieć kuzyna psychopaty, do tego z taką okropną gębą.

– A jego kumpel był jeszcze bardziej szalony. – Jillian usiadła wygodniej i przymknęła oczy, ale uśmiech nie zniknął z jej twarzy. – Genialne przedstawienie. Jestem ci bardzo wdzięczna, że mnie na nie zaprosiłeś!

– Tak się złożyło, że mogłem. U mnie w pracy podczas weekendów bywa różnie. Czasami dzieje się aż za wiele, czasami prawie nic i z czystym sumieniem mogę zrobić sobie wolne.

– Ted, a nie myślałeś o tym, żeby rzucić pracę w policji i zająć się czymś innym?

– Na przykład czym? Uczyć w szkole chemii?

Żartował, ale Jillian wcale nie było do śmiechu.

– Praca w szkole na pewno jest bezpieczniejsza.

– Tak uważasz? Czyli nie oglądasz dzienników. W naszych szkołach zdarzają się różne dziwne rzeczy. Nie słyszałaś o tych strzelaninach?

– Wiem, wiem, ale przecież zdarza się to bardzo rzadko, a pracując w policji, masz na co dzień do czynienia z przestępcami i z każdym rokiem przybywa ci nowych wrogów. W końcu któryś z bandziorów posłanych przez ciebie za kratki po wyjściu z więzienia będzie próbował cię zabić!

– Ryzyko zawodowe – skwitował Ted. – Jak dotąd mam szczęście, a poza tym, Jake, nie wolno widzieć tylko tego, co złe. Moja babcia miała raka, chorowała bardzo długo. Siedziałem przy niej godzinami i rozmyślałem, jakie to właściwie życie ona wie. Tylko czekanie na najgorsze, które może nastąpić w każdej chwili. Ale z czasem nauczyłem się, jak należy sobie z tym radzić. Tę naukę dostałem właśnie od babci, która cieszyła się każdą chwilą, która została jej dana. I to jest właśnie to. Żony policjantów i wojskowych, czy też mężowie policjantek lub wojskowych, kierują się właśnie tą filozofią.

Jednak dla Jillian nadal było to niepojęte. Dzień po dniu żyć ze

świadomością, że najbliższej osobie zagraża największe niebezpieczeństwo...
Czy człowiek w ogóle może do tego przywyknąć?

– Jake, jesteś jeszcze bardzo młoda, dlatego to wszystko jest dla ciebie takie trudne.

Jillian nie odpowiedziała. Być może Ted miał rację, ale wciąż była to jego racja, nie jej. Musiała sobie to wszystko porządnie przemyśleć, by dojść do własnych wniosków.

Ted jak zwykle odprowadził ją do samych drzwi. Kiedy żegnali się, nie po raz pierwszy pomyślała, że Ted w garniturze wygląda genialnie. Powiedziała mu to, na co rzucił, wzruszając ramionami:

– Garnitur jak garnitur...

– Garnitur to nie wszystko. Chodzi o całość, Ted. Garnitur i facet, który tkwi w środku! Super!

– Dotarło. Dzięki. A skoro mowa o ubraniu, to twoja sukienka bardzo mi się podoba.

– Naprawdę? Jest strasznie stara, ale bardzo ją lubię. A wiesz, jak nazywa się ten kolor? Brudny róż! Bardzo śmiesznie, co?

Palce Teda musnęły koronkowy kołnierzyk. Nie miał zamiaru mówić Jillian szczerze, co myśli o jej sukience, która bardziej by pasowała do nastolatki idącej na szkolny bal, niż do młodej kobiety, takiej jak Jillian. Ale nie chciał tego mówić, żeby nie sprawić jej przykrości.

Przeciwnie, pośpieszył z pochwałą:

– Bardzo ładny kolor. Choć brudny.

Uradowana Jillian roześmiała się i przekrzywiając głowę na bok, spytała zuchwale:

– I co teraz, po tych komplementach? Masz zamiar mnie pocałować? A może... chcesz czegoś więcej?

– A wiesz, że nawet się nad tym zastanawiałem.

– I co?

Ted najpierw wsunął ręce do kieszeni, potem spojrzął na nią, oczywiście z wysoka.

– Myślę, że na to trochę za wcześnie – stwierdził. – Ustaliliśmy, że będziemy się spotykać, a więc spotykajmy się, spędzajmy wspólnie czas, żeby poznać się lepiej. A co potem, dopiero ustalimy.

– No... niech będzie!

Ted zaśmiał się.

– Nie spodziewałaś się, że wykażę się tak wielką cierpliwością? Przyznam, że sam jestem tym zszokowany. Ale prosiłaś przecież, żeby dać ci trochę czasu, bo chcesz się zastanowić nad naszą wspólną przyszłością. Lepiej więc jeszcze nie posuwać się do większej zażyłości, bo kiedy mężczyzna i kobieta są naprawdę bardzo blisko, zaczynają działać inne mechanizmy. Wtedy nie jesteś w stanie spojrzeć na wszystko z boku i wyciągnąć odpowiednich wniosków.

– Wiem coś o tym... – Jillian z wielką powagą pokiwała głową. – Sassy i jej mąż, John Callister, zaraz po ślubie nie byli w stanie rozstać się ani na minutę. Godzina czy dwie osobno były dla nich tragedią. Zresztą do dziś są prawie nierozłączni. Wszędzie bywają razem, zawsze stoją bliźniutko siebie, tak żeby jedno dotykało drugiego.

– A więc sama widzisz.

– Tak, oczywiście, choć akurat ja czegoś takiego jeszcze nigdy nie przeżyłam... – stwierdziła z posepną miną. – Za to przeżyłam coś całkiem innego.

Szkoda, że nie można cofnąć czasu. Oddałabym wszystko, żeby to nigdy się nie wydarzyło. Dlaczego wuj musiał akurat przyjąć do pracy tego

człowieka? Oczywiście to nie wina wuja, ale i tak nigdy sobie tego nie wybaczył. Zresztą nawet gdyby sobie wybaczył, i tak w niczym by mi to nie pomogło.

– Oczywiście, że nie. – Ted wsunął palec pod brodę Jill, unosząc jej twarz. – Sama musisz sobie z tym poradzić. Jeśli nie czujesz się na siłach, powinnaś pogadać z psychologiem. Znam dwóch całkiem dobrych psychoterapeutów z Billings. Współpracujemy z nimi.

Jillian skrzywiła się.

– Nie wiem, Ted, czy potrafiłabym rozmawiać o tym z kimś kompletnie obcym.

– W takim razie mów o tym ze mną, i to jak najwięcej, kiedy tylko najdzie cię ochota.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jillian, oczywiście rozdartą między tak a nie, przez dłuższą chwilę nie mówiła nic, tylko stała, wlepiając w Teda niebieskie jak niebo oczy.

Gdy jednak w końcu skinęła głową, Ted się rozpromienił, po czym powiedział:

– Super. Wiesz, to jest ogromny krok do przodu.

– Tak sądzisz?

– Po prostu to wiem, Jake.

Wspomniany, czy raczej wspomniana Jake przysunęła się do niego.

– Ted, ja... chcę ci bardzo podziękować za dzisiejszy wieczór.

– Ach tak? – W jego oczach zapaliły się wesołe iskierki. – Też bawiłem się świetnie. – Niespodziewanie odsunął się od Jill. – Dziękuję i za wspólny wieczór, i za to, że pozostałem w stanie nienaruszonym. Przebywanie sam na sam z kobietą wolnego stanu, która do tego mieszka sama, jest bardzo ryzykowne. Wolałbym nie paść ofiarą jej dzikiej żądzy!

Oczywiście Jillian z miejsca podjęła żart. Najpierw westchnęła bardzo wymownie i bardzo tragicznie, po czym spytała rozzalonym głosem:

– Och, dlaczego? — Załkała cicho. — Dlaczego nie chcesz paść ofiarą? Dlaczego pragniesz pozostać w stanie nienaruszonym, gdy zgodnie z moim planem masz być jak najbardziej naruszony...

– Naprawdę?

– Tak, ale o wiele później. I tylko ewentualnie! Bo to załedwie hipotetyczny plan. – Zachichotała.

– No cóż, jakoś to przeżyję. – Rozbawiony Ted ucałował Jillian w czoło. – Idź już spać. Zadzwońię do ciebie w poniedziałek.

– Dobrze. Tylko wolałabym w drugiej połowie dnia, dobrze? – Był ku temu istotny powód, na razie jednak objęty ścisłą tajemnicą. Oczywiście kiedyś Jillian dopuści do niej Teda, ale właśnie dopiero kiedyś.

– W porządku. Druga połowa dnia. Dobranoc, Jake.

– Dobranoc, Ted.

Zbiegł po schodkach werandy i wskoczył do pikapa, ale nie odjeżdżał. Jillian naturalnie zrozumiała, o co chodzi. Uśmiechając się do siebie, weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi i zgasiła światła na werandzie. Wtedy usłyszała, że Ted uruchomił silnik. Sprawa była ewidentna. Ted odczekał, aż ona wejdzie i zaniknie drzwi na klucz.

Będzie bezpieczna. Może i zrobił to odruchowo, jest przecież policjantem. Niemniej naprawdę miło z jego strony...

Następnego dnia rano zaczął padać śnieg. Jillian kochała białe wirujące płatki, niemniej do faktu ich pojawienia się podchodziła rozsądnie. Jechała bardzo powoli, żeby nie wpaść w poślizg i nie wylądować na poboczu. Na szczęście droga była pusta, poza tym do miasta miała zaledwie kawałek. W każdym razie dojechała bez problemu, ale potem, kiedy ruszała w drogę powrotną, sprawa przedstawiała się już inaczej. Dął wicher, a śniegu napadało mnóstwo. Wprawdzie służby porządkowe wkroczyły już do akcji, sypiąc sól i piasek, ale i tak było ciężko, tym bardziej że miejscami drogę pokrywał lód. Samochód z trudem posuwał się do przodu i Jillian po jakiś czasie zaczęła zastanawiać się, czy w taką zamieć, kiedy przed oczami masz tylko oślepiającą biel, jest sens wracać na ranczo.

Lepiej wrócić do punktu wyjścia, czyli do jedynej w miasteczku restauracji.

– Trudno – mruknęła do siebie, parkując samochód. – W najgorszym przypadku, jeśli pogoda się nie poprawi, może pozwolą mi przenocować w

którymś z boksów.

Rozbawiona tą perspektywą, chwyciła torebkę i wysiadła, ciesząc się przy tym, że ma na nogach kowbojskie buty na podwyższonym obcasie. W takich butach o wiele łatwiej brnąć w mokrym śniegu.

Mokrym, czyli idealnym do lepienia bałwana. Stąd decyzja. Zaraz po powrocie do domu Jillian ulepi ze śniegu jakiegoś cudaka. Może cielaczka podobnego do Sammy?

I znów zaśmiała się, kiedy wyobraziła sobie minę Teda na widok Sammy w roli bałwana. Na pewno popukałby się w czoło.

Do restauracji wchodziła więc prawie w szampańskim nastroju, ale kiedy tylko przekroczyła próg sparaliżowało ją.

Koszmar powrócił. Davy Harris, który przed pięcioma laty omal jej nie zgwałcił, siedział przy barze i właśnie płacił rachunek. Davy Harris, tak samo jak wtedy chudy, o nerwowych ruchach, z potarganymi brązowymi włosami.

Jego jasne, prawie bezbarwne oczy spojrzały na Jillian z nienawiścią.

– No proszę, proszę! I kogo my tu widzimy? – odezwał się głosem pełnym jadu. – Ale to dobrze! Miałem nadzieję, że tu cię spotkam, a ty na pewno nie spodziewałaś się, że mnie jeszcze kiedyś zobaczysz. Faceta, który poszedł do pudła tylko dlatego, że chciał cię pocałować!

Właściciel restauracji nie tylko znał Jillian od lat, choć nie była to bliska zażyłość, ale nawet ją lubił, teraz jednak spojrzał na nią dziwnie, tak samo jak jeden z gości, który stał za nim. Był to dawny znajomy wuja Johna.

– Dobrze wiesz, że nie tylko o to chodziło! – rzuciła gwałtownie, gdy już odzyskała głos.

– Oczywiście, że nie – warknął Harris. – Chciałem się z tobą ożenić, czego zresztą teraz nie mogę pojąć. Ty wredna zakłamana świętoszko! Chciałem nauczyć cię życia, a ty posłałaś mnie za kratki!

Jillian zaczerwieniła się. Oczywiście miała w zanadrzu wiele argumentów przemawiających na jej korzyść, nie wyobrażała sobie jednak, by miała dyskutować na ten bolesny temat tutaj i przy świadkach.

Milczała. A Harris wstał, podszedł do niej i wbił wzrok w jej zaczerwioną twarz.

– A tak dla informacji... Przez jakiś czas będę w tym mieście. Po prostu taki mam kaprys. A ty nie waz się podpuszczać tego swojego chłopaka, żeby mnie przyskrzylił. Spróbuj tylko, a ja wtedy powiem mu o tobie kilka rzeczy, o których on nie wie. – Uśmiechnął się do właściciela restauracji, pochwalił jedzenie i ruszył do drzwi.

Jillian, ściskając w rozedrganych palcach kubek z kawą, czuła na sobie wzrok właściciela restauracji. Pan Chaney niewątpliwie wprowadzał istotne zmiany w swojej opinii o Jillian Sanders. Bo tak to już jest. Ludzie, którzy dobrze cię znają, z przedziwną łatwością przyjmują do wiadomości najbardziej nieprawdopodobne informacje, zwłaszcza te negatywne. Chociaż, tak dla ścisłości, pan Chaney nie znał zbyt dobrze Jillian. Owszem, wiedział, kim ona jest, widywał ją przelotnie od lat i w jakimś sensie polubił, a kiedy udowodniła, że dobrze gotuje, zatrudnił ją na godziny. Trudno więc nazwać to bliską znajomością. Jillian zresztą z nikim nie była specjalnie zżyta. Mieszkała poza miastem, na ranczu, do tego z natury nie była zbyt towarzyska..

Teraz bała się, więcej, po prostu drżała ze strachu, że Harris zacznie rozpuszczać plotki i całe miasto weźmie ją na języki. Bo na to właśnie się zanosilo, a to była fatalna wiadomość. Wiadomo przecież, że o wiele łatwiej obronić się przed ciosem pięścią niż przed stugębną plotką. A poza tym jakim cudem ten drań wydostał się z więzienia? Przecież; skazano go na dziesięć lat!

Dopiła kawę, wstała i podeszła do baru. Drżącą; ręką położyła na kontuarze należność plus napiwek.

I dalej stała. Chciała koniecznie coś powiedzieć panu Chaneyowi, cokolwiek, byle tylko jakoś wyjaśnić tę sytuację.

– On... on... opowiada niestworzone rzeczy. Miałam wtedy piętnaście lat... – wyjąkała wreszcie po chwili, a zaraz potem omal nie zemdląła ze szczęścia, kiedy okazało się, że jej pracodawca wcale nie jest w ciemni bity.

– Nie przejmuj się, dziewczyno – powiedział cichym, łagodnym głosem. – Mnie nie tak łatwo coś wcisnąć. Nie jestem głupi, a poza tym znam dobrze Jacka Haynesa z prokuratury okręgowej. To on mi wbił do głowy, że człowiekowi można cokolwiek zarzucić dopiero wtedy, kiedy ma się niezbite dowody, a nie tylko dlatego, że ktoś coś tam o nim powiedział.

– Dziękuję, panie Chaney.

– Nie ma za co – odparł z uśmiechem. – I powtarzam. Nie przejmuj się, Jillian. Chociaż moim zdaniem dobrze by było, gdybyś pogadała o tym z Jackiem Haynesem.

– Ma pan rację. Zrobię to. Panie Chaney, chciałam jeszcze tylko zapytać, czy pan po tym... incydencie zrezygnuje ze mnie?

– Chyba żartujesz! Pracujesz u mnie i basta. Z tym że jutro, jeśli nie przestanie padać i robi się niebezpiecznie, zostań lepiej w domu. Poproszę panią Barry, żeby ciebie zastąpiła.

– Dobrze. I jeszcze raz bardzo dziękuję.

– Już nie dziękuj, nie trzeba. Tylko zmykaj do domu!

Prokurator Jack Haynes miał biuro w gmachu sądu hrabstwa. Jillian wkraczała tam bardzo onieśmielona. Ale wkroczyła i cichym nieśmiałym głosem najpierw się przedstawiła, a potem spytała asystenta, czy mogłaby zobaczyć się z panem Haynesem.

I usłyszała w odpowiedzi:

– Naturalnie, że tak. Jest u siebie. Właśnie przegląda akta, bo w przyszłym tygodniu ma rozprawę. – Asystent zapukał, wsadził głowę do środka i zaanonsował pannę Jillian Sanders.

Gdy weszła do prokuratorskiego gabinetu, pan Haynes powitał ją miłym uśmiechem. Wstał, podał rękę i wskazał krzesło.

Jillian, kiedy tylko usiadła, od razu wyrzuciła z siebie hiobową wieść:

– Davy Harris wyszedł z więzienia! Spotkałam go dziś rano w restauracji!

– Przepraszam, kogo?

Jillian powtórzyła głośniejszym głosem imię i nazwisko swego prześladowcy.

– A tak, Harris... Chwileczkę – powiedział pan Haynes i nacisnął przycisk w interkomie. – Chet, czy dostaliśmy informację o zwolnieniu Davy’ego Harrisa, skazanego za próbę gwałtu?

– Już sprawdzam, proszę pana.

Prokurator cichutko zaklął.

– Nie miałem pojęcia, że on wyszedł! Mówi pani, że widziała go na własne oczy?

– Tak! – Jillian skwapliwie pokiwała głową. – Był w restauracji i specjalnie głośno, by wszyscy usłyszeli, powiedział, że wylądował w więzieniu tylko dlatego, że chciał mnie pocałować!

– Wiadomo, chce się wybielić...

W interkomie zapaliło się światelko.

– Wysłali wiadomość, proszę pana, ale nie było jej na naszym serwerze.

– No proszę! Ta cała elektronika! – wybuchnął prokurator. – Kiedyś szło się na pocztę, odbierało listy i nie było problemów.

– Były, proszę pana – ośmielił się zaprotestować asystent. – Przecież

zdarzało się, że list zaginął. Bardzo mi przykro.

– Mnie też. Teraz powiedz, co z tym Harrisem?

– Zwolnili go warunkowo. Dopatrzone się nieprawidłowości podczas pierwszej rozprawy, chodzi o instrukcję sędziego przekazaną ławie przysięgłych. Harrisa czeka kolejna rozprawa.

– Która może odbyć się za rok lub za dwa – ze złością skomentował Jack Haynes. – No cóż... Dziękuję, Chet! – Wyłączył interkom i zwrócił się do Jillian: – To już druga niepomyślna wiadomość, którą dostałem w tym tygodniu. Zwolnili też, i to z tego samego powodu, Smitty’ego Jonesa. Napadał na banki, poza tym groził naszemu komendantowi policji. Zwolnili go warunkowo, też czeka na nową rozprawę. Wcale bym się nie dziwił, gdyby Harris i Jones mieli tego samego prawnika. Nawet się domyślam, kto to może być. Taki jeden cwaniak z Denver.

– Pan powiedział, że ten Jones groził komendantowi Gravesowi?!

Haynes, widząc przerażenie w oczach Jillian, uśmiechnął się krzepiąco, próbując w ten sposób załagodzić sytuację.

– Tedowi grożono już wiele razy, ale jak go znam, na pewno się nie da. Pracuje w policji nie od dziś, ma niesamowitego nosa i wie, jak zadbać o swoją skórę.

– Tak, tak, ale przecież wszystko może się zdarzyć! Na przykład komendant Graves może wpaść w zasadzkę... – Jej głos się załamał. – A jak było z komendantem Bamesem? Przecież też był bardzo ostrożny, długo pracował w policji i zdobył wielkie doświadczenie. I co mu to pomogło? Nic!

– Ma pani rację. To była wielka tragedia. Taki dobry, porządny człowiek. Doprawdy, niepowetowana strata. – Haynes ze smutkiem pokiwał głową. – Jillian, a jeśli chodzi o panią... Niestety, przynajmniej na razie nie możemy Harrisowi nic zrobić. Proszę nas zrozumieć, nie mamy ku temu

żadnych podstaw. Ale zalecam pani jak największe środki ostrożności. Nigdzie nie powinna pani chodzić sama...

– To niemożliwe, panie prokuratorze. Przecież mieszkam sama.

– Sama?! – Spojrzał na nią z niepokojem. Zbyt wiele znał przypadków, kiedy sprawca po wyjściu z więzienia gwałcił albo nawet mordował osobę, która go oskarżyła. Niewykluczone, że Harris właśnie to sobie zaplanował wobec panny Jillian Sanders.

Która przez chwilę dumiała o czymś intensywnie, wreszcie powiedziała:

– To ja porozmawiam o tym z Tedem.

– Z Tedem? – Haynes uniósł znacząco brwi.

Speszona taką reakcją najpierw umknęła wzrokiem, a potem zaczęła wyjaśniać:

– Dla mnie jest Tedem... Cóż, Ted i ja znaleźliśmy się w dość w szczególnej sytuacji. Chodzi o ranczo, na którym mieszkam. Wuj Teda i mój wuj byli jego współwłaścicielami. Obaj zmarli i obaj w swojej ostatniej woli zrobili pewne zastrzeżenie, zresztą identyczne. Ted i ja mamy się pobrać, bo tylko gdy spełnimy ten warunek, dostaniemy ranczo w spadku. Jeśli się nie pobierzemy, ranczo ma być wystawione na licytację. Ted chce się ze mną ożenić, uważa, że powinniśmy jak najszybciej wziąć ślub. Ja... ja do Teda nic nie mam, ale się... waham.

Pan Haynes, doświadczony prokurator, nie musiał się pytać dlaczego.

– Pani powinna poddać się terapii – powiedział wprost.

– Wiem – odparła, nie kryjąc niechęci do tego pomysłu. – Ale jakoś nie mogę się na to zdobyć. Nie potrafiłabym o czymś takim rozmawiać z kimś całkiem dla mnie obcym.

Haynes spojrzął na nią ze współczuciem. Biedne dziecko, pomyślał. Tak, dziecko, przecież miał córkę w wieku Jillian. Gdyby jej przytrafiło się

coś podobnego...

– Nie trzeba się bać – powiedział łagodnym głosem. – Psychologom ludzie mówią wszystko, roztrząsają z nimi nawet najokropniejsze tematy. Przywykli do tego, przecież na tym między innymi polega ich zawód. A przede wszystkim na tym, że pomagają pacjentom, potrafią doradzić...

– Wiem! – ucięła Jillian, po czym powtórzyła z uporem: – Ale ja nie potrafiłabym o czymś takim rozmawiać z kimś całkiem dla mnie obcym.

– I w ten sposób może pani zmarnować sobie życie, panno Sanders – ze smutkiem powiedział Haynes. – Zamykając się w sobie, dusząc w środku to, co panią boli, krępuje się, podcina skrzydła. Z racji mojej pracy wiem o tym naprawdę sporo, natomiast pani zapewne nie zdaje sobie sprawy, jak wraz z upływem czasu ten stan się nasila. Bywa, że kobieta po takich przejściach w ogóle nie jest w stanie wyjść za mąż. Znam konkretne przypadki. A pani przecież na pewno chce mieć męża i dzieci, prawda?

– Tak, oczywiście! Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej – wyznała szczerze Jillian. – Ale na razie to jeszcze niemożliwe. Cała ta sytuacja jest po prostu beznadziejna. Jak już mówiłam, Ted chce się ze mną ożenić, ja do Teda nic nie mam, naprawdę żadnych zastrzeżeń, ale wciąż się waham się. Niestety czas nagli, bo pewien deweloper z Kalifornii już ostrzy sobie zęby na moje ranczo. A ja naprawdę nie wiem, czy dam radę być żoną... to znaczy dobrą żoną. Ted uważa, że tak, jednak moim zdaniem wiąże się z tym wielkie ryzyko, bo mam tyle zahamowań...

– ... które tylko będą się nasilać – wpadł jej w słowo – jeśli pani czegoś z tym nie zrobi! – mówił z naciskiem. – Panno Sanders, już wspominałem, że doskonale znam ten problem, i tak naprawdę jest. Wciąż się z nim stykam w mojej pracy, znam ofiary, znam prognozy. I proszę mi wierzyć, wcale nie wygląda to dobrze.

– O Boże! – Jillian wlepiła w niego przerażony wzrok. – Niech mi pan powie, dlaczego on to zrobił? Dlaczego?

– Tacy ludzie zwykle działają pod przymusem. Wiedzą, że postępują źle, ale nie potrafią się powstrzymać. Podobnie jest z nałogami. Człowiek szczerze pragnie przestać pić, lecz jakaś siła wewnętrzna każe mu sięgnąć po alkohol. Oczywiście to niczego nie usprawiedliwia. Trzeba walczyć z nałogiem aż do zwycięstwa, choć jest to bardzo trudne. W pracy wciąż się stykam z ludźmi uzależnionymi od alkoholu, seksu czy narkotyków. Marnują nie tylko swoje życie, lecz także życie swoich bliskich, bowiem pozwalają zapanować złu.

– Tak... – Jillian westchnęła. – Jaka szkoda, że nie ma narkotyków, które chroniłyby przed nałogiem!

Haynes, mimo powagi sytuacji, wybuchnął śmiechem.

– Proszę pani! Czy pani wie, co pani mówi? Przecież narkotyki to właśnie jest nałóg!

– Oczywiście... Przepraszam... – bąknęła Jillian, oczywiście już czerwona jak burak. – Głupio powiedziałam, ale jestem bardzo zdenerwowana...

– Nie dziwię się – powiedział prokurator znowu łagodnym głosem. – A wracając do pani sprawy, myślę, że powinna pani o tym zdarzeniu powiedzieć Tedowi. Po prostu nalegam, by wszystko mu pani wyjawiała, i to jak najprędzej. Ted będzie panią chronił, dopóki Harris stąd nie wyjedzie... Aha, właśnie coś mi przyszło do głowy. Może i jest coś na Harrisa, niewiele, ale jednak coś. Są podstawy prawne do usunięcia go z miasta. Chodzi o włóczęgostwo. Proszę koniecznie przekazać to Tedowi.

– Naturalnie, że powiem. – Jillian wstała i dodała z uśmiechem: – Bardzo panu dziękuję, panie Haynes. Jestem panu ogromnie wdzięczna za tę

rozmowę.

Prokurator też wstał i podał jej na pożegnanie rękę.

– Gdyby pani potrzebowała pomocy, a nie mogła skontaktować się z Tedom, proszę zwrócić się do mnie. I to koniecznie. – Podał jej wizytówkę. – Jessica, moja córka, jest mniej więcej w pani wieku. Nic takiego jej się nie przydarzyło, lecz gdyby jednak... to po prostu nie ręczyłbym za siebie. Możliwe, że bym zapomniał, jaki wykonuję zawód...

– Znam Jessicę. Pańska córka jest bardzo sympatyczna.

– Dziękuję.

Jillian doskonale wiedziała, że pan Haynes sam wychował Jessicę, bo jej matka uciekła z kochankiem z Newady. Pracował w public relations i z racji obowiązków służbowych pojawił się kiedyś w Hollister. Gdy państwo Haynesowie rozwiedli się, córka została z ojcem, ponieważ w nowym życiu byłej pani Haynes nie było dla niej miejsca. To życie składało się z podróży i ekscytujących przygód. Natomiast pan Haynes znakomicie się sprawdził w roli samotnego ojca. Jessica wyrosła na bardzo wartościowego człowieka, obecnie studiowała medycynę. Ojciec był z niej bardzo dumny i miał ku temu rzetelne powody.

– A więc niech pani pamięta. Proszę do mnie dzwonić — powtórzył prokurator na pożegnanie.

– Bardzo dziękuję. – Jillian mocno poruszyła jego szczerą życzliwość.

– Ale nie chciałabym panu przeszkadzać...

– Och, niech pani się nie obawia – odparł z uśmiechem. – Czas wolny po pracy zwykle spędzam w domu. Życie towarzyskie prawie w stu procentach zastępuje mi, wstyd przyznać, Internet. Gry komputerowe, moja ulubiona to World of Warcraft. Nie musi się więc pani krępować.

Pożegnali się jeszcze raz. Jillian, gdy wyszła z gabinetu prokuratora,

uśmiechnęła się do młodego asystenta, a kiedy tylko przekroczyła próg, całym impetem wpadła na następnego mężczyznę, a mianowicie na Theodore'a Gravesa. Duży i emanujący siłą, minę miał taką, że na jej widok najbardziej rozjuszony byk natychmiast zaryłby kopytami w ziemię i potulnie opuścił uzbrojony w rogi łeb.

– Co on ci nagadał? – wrzasnął Ted.

– Kto? Pan Haynes? – wyjąkała, wskazując głową drzwi, zza których właśnie wyszła.

– Przecież nie on! Tylko tamten... – Użył takiego wyrazu, że Jillian przytknęło. Gdy jednak dostrzegł na jej twarzy szok i zdumienie, natychmiast się pokajał: – Przepraszam, Jake, nie powinienem był przeklinać przy tobie, ale już mi doniesiono, co się stało, i po prostu szlag mnie trafia. Powiedz mi dokładnie, co się stało.

Jillian najpierw odetchnęła głęboko, nim zaczęła relacjonować:

– A więc... on ogłosił na całą restaurację, że poszedł do więzienia tylko dlatego, że chciał mnie pocałować, bo zamierzał się ze mną ożenić. A z więzienia zwolnili go warunkowo, tak powiedział pan Haynes.

– Wiem. Dzwoniłem już do więzienia.

– Ted, pan Haynes powiedział, że można go aresztować za włóczęgostwo.

– Niestety, niewykonalne. Wyobraź sobie, że ten drań znalazł sobie już pracę!

– Niemożliwe! Gdzie?!

– Stary Harrington zatrudnił go na godziny w swoim sklepie z paszą. Ma rozwozić towar na rancza.

Jillian z trudem łapała powietrze. Z ogarniającego ją strachu zrobiło jej się słabo. Przecież było oczywiste, że Davy Harriss nie zamierza tak prędko

wynieść się z Hollister. Może nawet zapaści tu korzenie, zamieszka na stałe, będzie chodził tu i tam i opowiadał, ludziom niestworzone rzeczy.

W rezultacie wykończy Jillian Sanders. Tak, wykończy ją.

Ted oczywiście widział, co się z nią dzieje, dlatego przygarnął ją do siebie. Objął mocno, ale nie było w tym cienia erotyzmu. Objął jak najserdeczniejszy przyjaciel i szepnął cicho do czubka jej głowy:

– Nie martw się. Znajdę sposób, żeby się go stąd pozbyć.

– Ale jak? Przecież on ma prawo tu być – od– szepnęła, czując, że znalazła się już na dnie rozpacz. – Ted, pan Haynes potwierdził, że mają zwolnić warunkowo też tego Jonesa, którego aresztowałeś za napad na bank.

– Wiem.

– O matko! Więc co teraz będzie...

– Damy radę, Jake – powiedział Ted twardym głosem, jeszcze raz przytulił ją do siebie i opuścił ręce. – Z tym że bardzo mi się nie podoba, że mieszkasz sama. Nie ma co się oszukiwać, jak znam życie, ten drań będzie chciał się na tobie zemścić.

– Przecież wiem. Ale Ted, ja... ja naprawdę nie chcę jeszcze wychodzić za męż.

– Nie chcesz... – Tu Ted wydał z siebie głośne westchnienie człowieka bardzo zirytowanego. – Jake, policja nie siedzi na pieniądzech. Nie mogę dać ci ochrony, także dlatego, że nie ma konkretnego powodu. Ten człowiek przecież, niezależnie od tego, co powiedział, nie groził ci. On po prostu tutaj jest.

– Tak. I znalazł pracę.

– No tak. Mógłbym pogadać z właścicielem tego sklepu i uświadomić mu, kogo zatrudnił. Ale pogadać prywatnie, bo jako policjant nie mam podstaw do takiej interwencji.

– A poza tym, gdyby zwolniono go z tego sklepu, może znaleźć sobie inną pracę! O Boże, ja tego nie przeżyję! On będzie tu się kręcił i każdemu, kto tylko zechce słuchać, wygadywał na mnie. Wiesz, jak mnie nazwał? Głupią świętoszką!

– I niestety, wielu ludzi mu uwierzy – stwierdził

Ted z posepną miną. – Nie brakuje takich, którym można wmówić każdą brednię. Nie, to wszystko razem bardzo mi się nie podoba!

– Mnie też – szepnęła przerażona Jillian. Wiele razy w różnych sytuacjach mówiła sobie, że już gorzej być nie może, a teraz uświadomiła sobie, że jednak może. Życie niestrudzenie pisze bardzo gorzkie scenariusze.

– Ted, chyba najlepiej będzie, jak stąd wyjadę.

– Nawet o tym nie myśl! – zaproponował gwałtownie. – Jeśli stąd uciekniesz, ludzie tym bardziej będą wierzyć w jego kalumnie.

– Masz rację... Ale... – Jillian wlepiała w niego wylęknione oczy. – Ted, mam nadzieję, że ty mu nie wierzysz? On naprawdę nie tylko chciał mnie pocałować!

– Co do tego nie mam żadnych wątpliwości, Jake. Znam cię od pieluszek, wiem, że zawsze mówisz prawdę. A już temu draniowi nigdy nie uwierzę, jak zresztą wielu innych ludzi, łącznie z prokuratorem.

– Pan Haynes jest mi bardzo życzliwy. Powiedział, że jak tylko coś się będzie działo, a ty będziesz nieosiągalny, mam dzwonić do niego.

Ted uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Tak, Haynes jest w porządku. Można bezwzględnie na nim polegać.

– Super. Zupełnie nie rozumiem, jak jego żona mogła go zostawić. I malutkie dziecko.

– Bo niektóre kobiety, Jake, wcale nie chcą mieć normalnych, przyzwoitych facetów. Wolą brutali albo kompletnie nieodpowiedzialnych

typków. Albo kogoś, kto całe życie włości się po świecie...

– O nie. Taki to na pewno nie dla mnie. Nie mam zamiaru ruszać się z Hollister. Tu będę mieszkać przez całe życie.

– I będziesz miała dzieci?

– Tak, ale...

– Rozumiem. Problem w tym, co trzeba przedtem zrobić, żeby te dzieci mieć.

– Ted!

– Przepraszam – powiedział cicho i bardzo łagodnie, jako że Jillian znów stała się czerwona jak burak. – Niepotrzebnie mi się to wyrwało.

– Trudno. Ale wiesz co, Ted? Tak sobie pomyślałam, że może naprawdę jestem świętoszką.

– Wykluczone!

Gwałtowny protest Teda nie wpłynął jednak na zmianę stanowiska Jillian. Bo kto wie, może istotnie jest zakłamaną świętoszką? Kto wie... Niestety, jedna wątpliwość rodziła drugą. Bo w głowie Jillian nagle pojawiło się pytanie: czy wtedy, pięć lat temu, postąpiła słusznie? Może faktycznie Harris poszedł do więzienia za coś, czego nie zrobił i nie zamierzał zrobić? Przecież cała ta nieszczęsna przygoda z rewidentem to była jej wina. Oczywiście! Przemilczała swój wiek, z własnej nieprzymuszonej woli poszła z nim do motelu i wcale się nie opierała, kiedy rewident zaczął ją całować. Spanikowała dopiero wtedy, kiedy uznała, że przestaje panować nad sytuacją. A tak naprawdę to spanikowała dlatego, że nie mogła zapomnieć o tym, co zrobił jej kiedyś Davy Harris.

Ted spojrzał na zegarek.

– O cholera! Muszę wracać do biura. Mam spotkanie z adwokatem, chodzi o kradzież... – Pocałował Jillian w policzek. – Jake, wiadomo, co

masz teraz robić. Trzymać się od niego jak najdalej. Jeśli będzie stwarzać problemy, choćby najdrobniejsze, natychmiast dzwonisz do mnie i koleś idzie do pudła.

– Wedle rozkazu! – Zasalutowała z uśmiechem.

– Dzięki, Ted.

– Nie dziękuj. Od czego w końcu człowiek ma przyjaciół? – Ciepło uśmiechnął się do niej i poszedł.

A Jillian, odprowadzając go wzrokiem, znów przeżywała gonitwę myśli. Bo niby co ma teraz zrobić z tymi swoimi wątpliwościami? Powiedzieć o nich Tedowi? Powiedzieć szczerze, że wcale nie jest już taka pewna, czy wtedy, kiedy miała piętnaście lat, racja była całkowicie po jej stronie?

Ale co to da?

Głęboko zadumana powlokła się do pikapa. Była kompletnie wytrącona z równowagi, a nawet, można by rzec, zdruzgotana, bo uświadomiła sobie, że właśnie musi się zmierzyć z największymi problemami w jej życiu. I chyba nie ma takiego sposobu, by je rozwiązać.

Sytuacja bardzo zła w zastraszającym tempie zmieniała się na jeszcze gorszą. Następnego dnia rano, kiedy Jillian stawiała się w pracy, okazało się, że w jednym z boksów siedzi już David Harris, a ona musiała kilkakrotnie wyjść z kuchni, żeby powstawić do gabloty ciastka i ciasta dla tłumu, który miał się tu wkrótce zwalić na lunch. Co prawda jej zadaniem nie było szykowanie lunchu, lecz śniadanie, ale wypieki też należały do jej obowiązków.

Za każdym razem, kiedy podchodziła do gabloty, czuła na sobie wrogie spojrzenia Harrisa, co kompletnie wytrącało ją z równowagi.

– Może panu coś podać? – spytała kelnerka o imieniu Sandra,

podchodząc do Harrisa.

- Nie, dziękuję – odparł. – Właśnie kończę kawę.
- Śniadania już nie podajemy. Teraz szykujemy lunch.
- Świetnie. Wrócę więc na lunch.
- Zapraszamy.

Kelnerka wypisała rachunek za kawę, położyła na stoliku i podeszła do następnego gościa, zresztą jedyne w tym lokalu. Oprócz Harrisa, oczywiście.

Który zwrócił się do Jillian.

Z pochwałą.

– Twoje ciasta były zawsze wspaniałe, Jilly. Najbardziej smakowało mi to cytrynowe, które piekłaś dla swego wuja.

– Dziękuję... – mruknęła, nie odwracając oczu od gabloty.

– A teraz mieszkasz sama w tym wielkim domu na ranczu, prawda? Nie boisz się w nocy?

Jillian odwróciła się od gabloty i spojrzała prosto w bardzo jasne i pełne nienawiści oczy.

– Nie, nie boję się. Mam strzelbę!

– Naprawdę? – Ta informacja wyraźnie zdumiała Harrisa.

– Naprawdę – odparła, bardzo chłodno. – Jeśli komuś przyjdzie do głowy zakraść się do mnie w nocy, czeka go przykra niespodzianka.

Harris zaśmiał się złowieszczo.

– Czy to ma być groźba, Jilly? – spytał o ton głośniejsze i akurat w tej samej chwili, kiedy kelnerka ponownie przeszła do tej części sali. – Grozisz, że mnie zastrzelisz?

– Powiedziałam, że jeśli ktoś będzie chciał się do mnie włamać, wtedy użyję broni! To normalne, prawda?

– Czyli co? Oskarżasz mnie, że chcę się do ciebie włamać?

To pytanie zabrzmiało jeszcze głośniejsze. Jillian ze zdenerwowania poczerwieniała.

– Przecież tego nie powiedziałam!

– Czyżby? W każdym razie przypominam ci, że niesłuszne oskarżanie ludzi jest również przestępstwem!

W tym momencie kelnerka, która bardzo lubiła młodszą koleżankę Jillian, zdecydowanym krokiem podeszła do stolika.

– Skończył już pan? – spytała głosem o ton głośniejszym niż wymagała tego zawodowa uprzejmość. – Przepraszam, ale musimy sprzątać już ze stołów.

Harris westchnął.

– Tak, skończyłem. – Spojrzał na rachunek i wyciągnął z kieszeni portfel. Sandra otrzymała dziesięć centów napiwku. – Do zobaczenia, Jilly. – Wyszedł.

Jillian czuła, jak cała się odpręża, jednocześnie jednak pod powiekami zapiekło.

– Och, Jilly! – Sandra objęła ją ramieniem. – Nie martw się, on na pewno stąd wyjedzie. I nie płacz! Nie warto! – Niestety, łzy popłynęły, i to bardzo szerokim strumieniem. – Jilly, szkoda łez – powiedziała miękko Sandra, przytulając ją do siebie. – Przecież wiadomo, do czego zdolni są faceci. Miałam okazję o tym się przekonać. Nazywał się Carl, zamieszkaliśmy razem. Za każdym razem, kiedy się upił, bił mnie czym popadnie, a ja głupia i tak go kochałam. Aż kiedyś walnął mnie szklanym naczyniem. Rozbiło się, kawałki szkła poharatały mi twarz. Wtedy oprzytomniałam. Wyprowadziłam się, a on zaczął mnie nachodzić. Chciał, żebym do niego wróciła. Groził mi, straszył, że podpali dom, w którym

zamieszkałam. Ale w końcu, kiedy dotarło do niego, że między nami skończone, opamiętał się. Po jakimś czasie znalazł sobie nową dziewczynę. Słyszałam, że niemal co tydzień odwiedza ostry dyżur w Billings.

Jillian delikatnie wysunęła się z jej objęć i otarła łzy.

– Moja historia jest trochę inna – szepnęła. – Miałam wtedy piętnaście lat.

– Piętnaście?!

– Tak. Mój wuj przyjął go do pracy. Był parobkiem i takim człowiekiem do wszystkiego. A on chciał... rozumiesz...

– A ty miałaś piętnaście lat! Aresztowali go?

– Tak. Oskarżyłam go i poszedł do więzienia, ale niedawno zwolnili go warunkowo, więc postanowił zmienić moje życie w piekło.

– Biedactwo... Jill, koniecznie musisz o tym powiedzieć komendantowi Gravesowi! On na pewno tym się zajmie.

Oczy Jillian znów załśniły od łez.

– Ale co on może zrobić? Nic! Przecież nie można wyrzucić kogoś z miasta bez konkretnej przyczyny! Przecież nie zagroził mi otwarcie, przy świadkach. Po prostu przyszedł tu na kawę do jedynej restauracji w tym mieście.

– Moim zdaniem rzucał na ciebie oskarżenia – oświadczyła zdecydowanym głosem Sandra. – Przy świadkach. Przecież ja słyszałam!

– Tak myślisz? Sama już nie wiem...

– Wyżywał się na tobie, a przecież same słowa też mogą być bardzo bolesne, o czym też miałam okazję się przekonać. Mój ojciec bez przerwy powtarzał, że jestem brzydka i głupia.

– Mój Boże! – krzyknęła Jillian. Rodzony ojciec? To straszne. Ona od swoich bliskich nigdy nie usłyszała złego słowa.

– Mój ojciec nienawidził mnie, bo nie był moim rodzonym ojcem – powiedziała Sandra. – Matka miała romans. W dzisiejszych czasach to niestety prawie standard. Po tym romansie wróciła do ojca, ale nie sama, tylko z dzieckiem. Zmarła w młodym wieku i w rezultacie to on musiał mnie wychowywać. Nienawidził mnie.

– Boże, jaka ty byłaś biedna!

– Cóż, było, minęło. A wracając do tego faceta, to nie martw się. Niech tylko spróbuje wyciąć ci jakiś numer, będzie miał ze mną do czynienia.

– Z tobą? Dzięki, kochana! – Jillian mimo woli roześmiała się. – W takim razie rzeczywiście nie muszę się o nic martwić. Widziałam przecież, jak radzisz sobie z gośćmi, którzy stwarzają problemy.

– Nie dziw się. Służyłam w wojsku, odeszłam stamtąd dwa lata temu. Byłam w żandarmerii wojskowej, więc przeszłam szkolenie walki wręcz.

– Naprawdę służyłaś w wojsku? Jesteś dla mnie prawdziwą bohaterką!

– Bez przesady! – zawołała Sandra, uśmiechając się do niej ciepło. – Jill, skończ z tymi ciastami i zmykaj do domu, a ja stoczę bitwę z tymi, którzy przyjdą na lunch.

– I jak zwykle wygrasz. – Urwała na moment. – Sandro, dziękuję. Dziękuję za wszystko.

– Dobrze już, dobrze. A wiesz co, Jill? Zawsze chciałam mieć siostrę, koniecznie młodszą. Co powiesz na to, jeśli wciśniemy wszystkim kit, że jesteśmy siostrami? Będziemy miały niezły ubaw!

Tak, na pewno byłoby to bardzo zabawne, skoro Sandra, Indianka z plemienia Lakota, była śniada i czarnowłosa, a Jillian miała jasną karnację i blond włosy.

– A komendant Graves jest Czejenem – powiedziała nagle ni z gruszki, ni z pietruszki.

– I niech sobie będzie! – ze śmiechem odparła Sandra. – Nie mam nic przeciwko Czejenom. Nie walczymy już ze sobą, nie rozbijamy sobie czaszek nawzajem jak sto lat temu! Ale... Jill, dość tego gadania. Szef patrzy już na nas złym okiem.

– Dobra! Zabieramy się do roboty!

Po rozmowie z Sandrą nastrój Jillian trochę się poprawił. Cieszyła się, że znalazła w pracy nie tylko bratnią duszę, ale i dzielną sojuszniczkę. Nadal jednak była pełna obaw, bo nie ulegało wątpliwości, że Harris ma jasno określony cel. Wrócił do Hollister, by zemścić się za te lata, które spędził za kratkami. A ona, co gorsza, zaczyna się zastanawiać, czyjej wersja wypadków sprzed pięciu lat nie mijала się z prawdą.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jillian nigdy w życiu nie spodziewała się, że kiedyś padnie ofiarą prześladowania, a właśnie na to się zanosilo, poniewaz Davy Harris zaczął każdego ranka przychodzić na śniadanie do restauracji. Czy można nazwać go prześladowcą? Ted twierdził, że tak, choć w tym konkretnie przypadku prawo nie chroniło osoby prześladowanej. Nie można przecież aresztować człowieka za to, że przychodzi coś zjeść w jedynej w miasteczku restauracji. Davy Harris w świetle prawa nie robił nic złego, niemniej Jillian z każdym dniem była coraz bardziej zdenerwowana. Trzeciego dnia, kiedy Harris znów się pojawił, była już tak spięta, że upuściła na podłogę ciasto. I to nie byle jakie, lecz tort z mnóstwem kremu, a przy takim torcie naprawdę trzeba się porządnie napracować. Harris zaśmiał się szyderczo, po czym wycedził:

– Co z tobą, Jilly? Jesteś strasznie zdenerwowana, a przecież trzymam ręce przy sobie. Wyluzuj, przyszedłem tylko na śniadanie.

Jillian, czerwona jak burak, przykucnęła i zaczęła zbierać z podłogi zmaltretowane ciasto. Sandry tego dnia nie było. Pochorowała się, zastępowała ją jakaś obca kelnerka zajęta wyłącznie pracą. Pozostałe pracownice restauracji traktowała jak powietrze, więc w sytuacji krytycznej Jillian nie mogła liczyć na żadne wsparcie.

Kiedy przykucnęła po raz drugi, żeby wytrzeć podłogę ścierką, Harris znów się odezwał, tym razem głosem cichym i łagodnym:

– Ech, Jill... Przecież chciałem się tylko z tobą ożenić. Nie przypuszczałem, że jesteś taka młoda. A ty polubiłaś mnie, prawda? Przecież starałem się. Pamiętasz, jak urodziły się białe kotki? Chcieli je dać do uśpienia, mówili, że nie możesz ich wszystkich zatrzymać. Wtedy obszedłem

całe miasto, zapukałem prawie do wszystkich drzwi i dla każdego kotka znalazłem nowy dom.

Jillian pochyliła niżej głowę, zawzięcie operując ścierką. Niestety, to, co mówił Harris, było prawdą. Zachował się wtedy nadzwyczajnie.

– A pamiętasz, jak wuj John złapał wirusa? Był taki chory, że nie mógł przełknąć tabletki. Zawiozłem was wtedy do szpitala.

– Tak...

– A ty za moją życzliwość odwdzięczyłaś mi się w przedziwny sposób. Postarałaś się, żebym poszedł za kratki.

Jillian powoli podniosła głowę. Harris wstał z krzesła. Niby dalej się uśmiechał, ale oczy miał jak kobra tuż przed wypuszczeniem jadu.

– A teraz spodziewasz się, że pobędę tu trochę wyjadę? I nigdy więcej już mnie nie zobaczysz?

– Ja... ja... – Jillian skończyła wycieranie. Podniosła się z podłogi i stanęła na lekko chwiejnych nogach. – Nie zdawałam sobie sprawy...

– Że co?! Że mnie wsadzą? Bo trochę przesadziłaś w swoich zeznaniach?! Jak kobieta może zrobić facetowi takie draństwo! Miałem wobec ciebie jak najlepsze zamiary. Chciałem ożenić się, opiekować się tobą i twoim wujem. Nie chciałem cię skrzywdzić! Czy kiedykolwiek zrobiłem ci coś złego?!

Wyrzucał to z siebie pełen żalu, a Jillian czuła, że zaczyna mieć coraz większe wątpliwości. Mogła przecież faktycznie źle zrozumieć jego intencje, w ogóle błędnie ocenić całą sytuację i rzeczywiście posłać niewinnego człowieka do więzienia.

Harris położył obok swego talerza pięciodolarowy banknot.

– Zastanów się nad tym – powiedział cicho, ale bardzo dobitnie. – Zastanów się nad tym, co mi zrobiłaś. Ty nie wiesz, Jill, jak to jest w

więzieniu. Nie wiesz, co faceci mogą zrobić facetowi, zwłaszcza wtedy, kiedy są cholernie silni... – Skrzywił się okropnie. – Ty głupia świętoszko! – syknął. – Przez ciebie znalazłem się w piekle.

– Ale ja... ja tego nie chciałam, naprawdę... – wyjąkała przerażona Jillian. – Bardzo mi przykro...

– Przykro... – Nachylił ku niej pobladłą, wykrzywioną ze złości twarz. – Naprawdę przykro to ci dopiero będzie! Już ja cię załatwię, ty suko! – Wyprostował się. Złość zmiotło z twarzy, teraz pojawił się na niej uśmiech. Harris szczyrzył zęby jak sprzedawca używanych samochodów nakłaniający klienta do kupna. – Śniadanie było bardzo dobre, Jill – powiedział już pełnym głosem i normalnym tonem. – Naprawdę dobre. Jesteś świetną kucharką. Miłego dnia!

Wyszedł, odprowadzany spojrzeniami i Jillian, i pozostałych osób obecnych w sali, czyli właściciela restauracji i kasjerki. Jillian była świadoma, że do uszu tych dwojga mogło coś nie coś dolecieć, a zapewne to, co doleciało, odebrali jednoznacznie: Biedny facet, siedział za nic przez wstrętną babę, wobec której mimo wszystko stara się być uprzejmy.

Tego nie da się odkręcić. Cokolwiek by teraz powiedziała, i tak nie uwierzą. W sumie co się dziwić, skoro sama miała poważne wątpliwości, czy kiedyś postąpiła słusznie. Czowała się z tym wszystkim okropnie. Na dodatek była kompletnie bezradna.

Następnego dnia przyjechał do niej Ted. Słyszała, jak samochód zajeżdża przed dom, więc poszła otworzyć. Powoli, nogi przecież człowieka nie niosą, kiedy jest w tak podłym nastroju. Była zmartwiona i bardzo wystraszona. Trudno jej było uwierzyć, że Ted mógłby stanąć po stronie Harrisa, ale Davy Harris był taki przekonujący...

Ted z marsową miną zbliżał się do schodków werandy, a kiedy zobaczył

stojącą w progu Jillian, zatrzymał się.

– Jake, co się dzieje? – spytał z niepokojem.

Jillian szybko zamruwała, udając wielce zdziwioną.

– Czemu pytasz?

– Bo wyglądasz, jakbyś szła na ścieżce. Jesteś taka biała, po prostu biała!

– Oczywiście, że biała, bo... – Jillian udało się zmusić do uśmiechu. – To mąka! Właśnie piekę placek z wiśniami.

Ted, zwykle skory do żartów, tym razem jakoś się nie uśmiechnął. Pokiwał tylko głową i dalej z tym swoim marsowym obliczem podążył za Jillian do kuchni.

– Może napilibyśmy się kawy? – spytał, kładąc policyjną czapkę na kuchennym blacie.

– Dobrze. Już robię. – Nasypała kawy do ekspresu, włączyła go, potem sięgnęła po garnek, cały czas czując na sobie przenikliwy wzrok Teda.

W chwili, gdy nachyliła się, by schować garnek pod blatem, Ted spytał:

– No i jak to wszystko wygląda? Oczywiście chodzi o Harrisa.

Ręce zdenerwowanej Jillian zadrżały jeszcze bardziej, tak bardzo, że garnek upadł na podłogę.

– A... nic... – bąknęła, czerwona jak burak.

– Tak powiadasz? – Jego twarz stężała.

– A tak. Po prostu codziennie przychodzi do restauracji na śniadanie.

– Codziennie? A skąd ty wiesz, że przychodzi codziennie?

Jillian, zanim udzieliła odpowiedzi, podniosła garnek z podłogi i wsunęła go pod blat. Potem odetchnęła głęboko.

– Wiem, bo w restauracji bywam bardzo często. Pracuję tam. Robię śniadania.

Nie, tą wiadomością zdecydowanie nie był zachwycony.

– Pracujesz tam? Od kiedy? Nic mi o tym nie mówiłaś! Dlaczego?

Jillian milczała, żałując, że nie powiedziała mu o tym od razu. Głupio zrobiła, tym bardziej że Ted i tak mógł dowiedzieć się o tym od kogoś innego. Ale zwlekała, choć mówiąc szczerze, sama tak do końca nie wiedziała dlaczego. I w rezultacie tyle z tego ma, że Ted jest wściekły.

Postawiła na stole kubek z gorącą kawą.

– Ted, na pewno teraz pomyślałeś, że mam swoje sekrety...

– Oczywiście! I to niejeden!

– Przecież miałam zamiar ci o tym powiedzieć. Naprawdę!

– Kiedy?! Ach, nieważne! Ważne, że wzięłaś tę robotę. I nietrudno dojść, dlaczego to zrobiłaś. Z tego, że nie chcesz wyjść za męża, nie robisz tajemnicy. Teraz dodatkowo masz argument w rękę, że nie tylko nie chcesz. Także nie musisz. Przecież pracujesz, zarabiasz, sama zapłacisz za swoje rachunki.

Nawet nie próbował ubywać, jak bardzo jest wściekły.

Kawy nie tknął.

Wstał i wbił wzrok w Jillian.

– I jeszcze jeden drobiazg, Jake! Ktoś, nieważne kto, powiedział mi, że wy sobie z tym Harrisem całkiem miło rozmawiacie. A więc jak to właściwie jest? Bo mnie traktujesz nie tak łaskawie. Wystarczy, że ledwie cię dotknę, a ty już jesteś metr ode mnie. Kiedy zgodziłaś się w końcu umówić ze mną, ubrałaś się jak nastolatka na szkolną potańcówkę w sali gimnastycznej. Idziesz do pracy, ale nie uznajesz za stosowne poinformować mnie o tym fakcie. Jednocześnie miło sobie pogadujesz z facetem, który kilka lat temu podobno do ciebie się dobierał. Można pomyśleć, że z nim flirtujesz!

Nie, to wszystko razem było już straszne. Ted szalał, a ona kompletnie

nie wiedziała, co powiedzieć. Była pewna, że cokolwiek teraz z siebie wydusi, tylko pogorszy sytuację.

– Ja... ja... – zaczęła po chwili drżącym głosem – ... mój Boże, wcale z nim nie flirtuję. To absurd. A nie wydzieram się na niego, bo zaczęłam się tak teraz zastanawiać...

– Zastanawiać? Nad czym?

– Nad tym, że może jednak popełniłam błąd. Może źle oceniłam tamtą sytuację, może przesadziłam. To było tyle lat temu, byłam taka głupia, naiwna... No bo jak było z tym rewidentem? Umówiłam się z nim, a wcale nie powiedziałam, ile mam lat. W rezultacie to on miał problemy...

– Ach tak... – Twarz Teda była nieruchoma, tylko jego pełne niedowierzania oczy intensywnie wpatrywały się w Jillian.

– A Davy Harris zawsze był wobec wuja Johna bardzo życzliwy i uprzejmy. Bardzo usłużny, oprócz swoich normalnych obowiązków robił jeszcze wiele inne rzeczy, których wcale nie musiał. Dla wuja i dla mnie... – Jillian spuściła głowę, jej głos zamierał. – On... on opowiedział, że w więzieniu współwięźniowie zrobili mu coś bardzo złego...

Ted nadal milczał.

Jillian powoli podniosła głowę. Kiedy zobaczyła minę Teda, skrzywiła się, jednak swoją kwestię wypowiedziała do końca:

– On wcale nie był taki z gruntu podły. I w sumie przecież wcale mnie nie skrzywdził.

Ted bez słowa zgarnął z kuchennego blatu policyjną czapkę, nasadził ją na głowę i bardzo szybkim, zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi.

– Ted!

Pobiegła za nim, ale on konsekwentnie parł do przodu, i to o wiele szybciej niż ona. Zbiegł po schodkach i wskoczył do pikapa.

Jillian mogła już tylko odprowadzić wzrokiem odjeżdżający samochód. Stać i patrzeć. Była zdruzgotana poczuciem całkowitej klęski.

Następnego dnia rano Sandra wpatrywała się w Jillian z równie wielkim niedowierzaniem, jak dnia poprzedniego Theodore Graves.

– Czy dobrze usłyszałam, Jill? Powiedziałaś mu, że popełniłaś błąd? Ty?! Przecież byłaś jeszcze dzieckiem, uczennicą szkoły średniej, a do takich dziewcząt dobierają się tylko dewianci!

– Ale on wtedy miał dopiero dwadzieścia jeden lat.

– I co z tego? Powinien przedtem pomyśleć. Żadna ława przysięgłych na całym świecie nie puściłaby mu tego płazem.

– Rozumiem... ale on, kiedy siedział w więzieniu, to ci inni więźniowie...

– Wiem, o co chodzi – powiedziała szybko Sandra. – Ale błagam cię, nigdy nie zapominaj o tym, co w tym jest najważniejsze. Co dla ciebie najważniejsze. Że ten sam facet, wtedy już pełnoletni, kiedy ty byłaś nastolatką, chciał zaciągnąć ciebie do łóżka.

Jillian odetchnęła głęboko.

– No tak.

– Dlaczego więc teraz raptem bierzesz winę na siebie? Kompletnie tego nie rozumiem. Podrywałaś go? Ubierałaś się wyzywająco? A może podczas nieobecności wuja próbowałaś zwabić faceta do swojego pokoju?

– Sandro, co ty mówisz! Nigdy w życiu!

– W takim razie wytłumacz mi, na czym polegał twój błąd?

– Zeznałam przeciwko niemu i dlatego poszedł do więzienia...

– Co absolutnie mu się należało!

– Ale zrozumiem, niezależnie od tego wszystkiego, on był naprawdę dobrym, sympatycznym człowiekiem, przy tym bardzo uczynnym. Na

przykład... O! Kiedy wuj John ciężko się rozchorował, Davy robił dla nas zakupy w sklepie spożywczym.

– Wiesz co? – Sandra spojrzała na nią z politowaniem. – Nie rozśmieszaj mnie. Kilka lat temu był głośny proces o zabójstwo. Facet zabił ot tak, po prostu zabił człowieka, ale pewna kobieta, świadek w tej sprawie, zeznała, że oskarżony często pomagał jej, kiedy wracała do domu obciążona zakupami. Popatrz, co za zbieżność, właśnie ze sklepu spożywczego. Inny znów świadek, też kobieta, zeznała, że oskarżony pomógł jej, kiedy samochód nie chciał zapalić. A ja się po prostu pytam, co ma, jak to mówią, piernik do wiatraka?! Czy to, że pomógł sąsiadce nieść torby, może stanowić dowód jego niewinności?

Zdezorientowana Jillian zamrugła, próbując z tym wszystkim jakoś dojść do ładu.

– Ale zaraz...

– Co? Jeszcze nie zaskoczyłaś? Więc zapytam wprost. Czy ty uważasz, że mężczyzna, który jest miły i usłużny, nie może zabić? Szczególnie jeśli ma motyw?

– Ja... ja o tym nie myślałam...

– A widzisz. A zabić może także człowiek bardzo sympatyczny. Nawet znałam takiego jednego osobiście, miał na imię Harry. Uroczy, uczynny, gotów był ci oddać ostatnią koszulę. Co miesiąc woził starą panią Hotchkiss na wizytę do lekarza. A jednak to on, ten Harry, podczas awantury zabił człowieka i poszedł za to siedzieć. Czy uważasz, że powinni go uniewinnić, bo był usłużny i uprzejmy?

– Nie – przyznała Jillian.

– Ludzie to istoty złożone. Każdy z nas ma dobre i złe strony. Każdy z nas jest zdolny uczynić coś dobrego, ale może też wyrządzić zło.

– Masz rację, Sandro.

– Przemyśl to sobie jeszcze. – Uśmiechnęła się niewesoło. – Przemyśl to wszystko, co usłyszałaś od starszej koleżanki z pracy, aż wreszcie zrozumiesz, że nie jesteś odpowiedzialna za coś, co absolutnie nie stało się z twojej winy. Byłaś za młoda, żeby prawidłowo ocenić sytuację. To on, powtarzam, to on powinien wykazać się rozwagą, wiedzieć, co tak naprawdę zamierza zrobić i przewidzieć konsekwencje. On, człowiek dorosły. – Gdy nieco już odprężona Jillian pokiwała głową. Sandra dodała: – Aha, Jill, na koniec jeszcze jedno pytanie. Tylko proszę o szczerą odpowiedź. Kiedy on zaczął się do ciebie dobierać, od razu dałaś odpór? Bo może na początku wcale ci nie było nieprzyjemnie...

– Ależ Sandro! Co ty mówisz! Byłam przerażona!

– W takim razie już nie ma żadnych wątpliwości, kto wtedy popełnił błąd?

– Nie. Nie ma... – Jillian czuła, że odpręża się coraz bardziej. – Dzięki, kochana. Jak ty wszystko potrafisz tak... celnie wyrazić!

– Wiem – przyznała nieskromnie Sandra. – Może powinnam zostać pisarką? Może... Na razie jednak musi wystarczyć mi restauracja. Jill, dość tego gadania. Zabieraj się do bekonu, nasi goście zaczynają się już niecierpliwić.

– Masz rację. Zabieram się do roboty. I dziękuję, Sandro. Bardzo mi pomogłaś.

– Drobiazg, maleńka. Naprawdę drobiazg!

Pochłonięta bekonem dosłownie nie miała choćby wolnej minuty, dlatego tym razem ciasta i ciastka wstawiła do gabloty Sandra. I ta sama Sandra po powrocie do kuchni przekazała Jillian bardzo interesującą wiadomość:

– Dziwne, ale ten twój... znajomy dziś nie przyszedł.

– Nie?! – Jillian rozpromieniła się. – To cudownie! Może wreszcie postanowił stąd wyjechać.

– Jakoś nie bardzo chce mi się w to uwierzyć...

– A może jednak? Czasami warto mieć nadzieję!

– Jill, tylko nie wpadaj w euforię! – Sandra pogroziła jej palcem. – Znam pewne arabskie przysłowie. Krótkie, ale mądre: Zaufaj Allahowi, ale swego wielbłąda lepiej uwiąż.

Jillian mimo wszystko miała nadzieję, że Davy Harris wreszcie wyjechał z Hollister. Miała również nadzieję, że Ted znów się pojawi na ranchu albo w restauracji i będą mogli sobie wszystko wyjaśnić. Niestety, były to tylko pobożne życzenia. Ted nie

pojawił się ani na ranchu, ani w restauracji. Niestety pojawił się natomiast ktoś inny. Następnego dnia rano w tym samym boksie co zwykle czekał na śniadanie Davy Harris.

Zauważyła go, kiedy wyszła z kuchni, żeby wstawić do gabloty funtowe ciasto. Rzecz jasna Harris zauważył, jak bardzo jest jego widokiem zaskoczona.

– Tęskniłaś za mną, Jill? – spytał złośliwie.

Naturalnie od razu się zaczerwieniła, ale udało jej

się odpowiedzieć w miarę obojętnym głosem:

– A co? Nie było cię tu wczoraj? Bo jakoś tego nie zauważyłam.

– A nie było mnie, nie było... – Bardzo z siebie zadowolony Davy rozsiadł się wygodniej. – Musiałem przekazać ludziom trochę informacji. O tobie, oczywiście.

Jillian czuła, że włos jeży jej się na głowie. Szybko zamknęła gablotę i prawie biegiem wróciła do kuchni.

A po południu stało się coś jeszcze gorszego. Kiedy po pracy szła do swojego samochodu, nagle z całym impetem wpadła na kogoś.

Na Davy'ego Harrisa.

Znów...

Z krzykiem odskoczyła w tył.

Na co Davy zaśmiał się szyderczo.

– Coś ty taka strachliwa? Boisz się mnie? Niby dlaczego? Przecież nigdy nie zrobiłem ci nic złego, ani tobie, ani twojemu wujowi.

– No... nie – wyjąkała, cierpiąc straszne męki, bo cała ta scena rozgrywała się przecież przy świadkach. Stali między restauracją a bankiem, w pobliżu było kilka osób, a wszyscy wielce zaciekawieni tym zdarzeniem.

– Mówiłem twojemu wujowi, że chcę się z tobą ożenić – powiedział Davy gromkim głosem, by gapie nie uronili choćby słówka. Uśmiechał się przy tym całkiem sympatycznie. – A twój wuj powiedział, że nie ma nic przeciwko temu, ponieważ bardzo mnie polubił. I wie, że będę o ciebie dbał. – Już się nie uśmiechał, tylko posmutniał gwałtownie. – A potem nagadałaś o mnie tyle kłamstw! Zamknęli mnie tylko dlatego, że chciałem cię pocałować.

– To nie było tak... nie tak – wyjąkała, oblewając się krwistym rumieńcem.

– Nie? A właśnie że tak. Bo to ja mówię prawdę, nie ty – oznajmił jeszcze głośniejszym głosem. – Po prostu nie chcesz się przyznać, że popełniłaś wtedy błąd. Że skłamałaś!

Ostatnie słowa prawie wykrzyczał. Jillian milczała. Wiedziała, że powinna się bronić, równie donośnym głosem ogłosić wszem wobec, że Davy Harris próbował ją zgwałcić w jej własnym domu! Ale była już ledwie żywa, niezdolna wydusić z siebie choćby jednego słowa.

Resztką sił dopadła do pikapa. Widziała przez szybę, że Davy nadal stoi

na chodniku i po prostu uśmiecha się. A w chwili, gdy odjeżdżała, podeszła do niego jakaś para, kobieta i mężczyzna w starszym wieku. Zagadnęli do niego, on zaczął coś im wyjaśniać. A jej pozostawała tylko absurdalna nadzieja, że to nie ona jest tematem tej rozmowy.

Już następnego dnia Jillian zauważyła, że ludzie zaczynają traktować ją inaczej. Na jej wspaniałe ciasta, ciastka i ciasteczka, zwykle znikające z gabloty w błyskawicznym tempie, jakoś nikt nie miał ochoty i w rezultacie musiała swoje niesprzedane wypieki zabrać do domu. A kiedy poszła do banku, pani w okienku niby była uprzejma, wcale jednak tak nie miła i rozmowna jak zwykle.

Dokądkolwiek poszła, wszędzie wiało chłodem, i to od ludzi, których znała przez całe życie.

Tę bardzo przykrą sytuację wyjaśnił oczywiście Davy. Stało się to kilka dni później, gdy stawiała na kontuarze ciasto. Tylko jedno, ponieważ nadal nikt nie kupował jej wypieków.

– Już wszyscy uważają, że mnie załatwiłaś, Jill – powiedział półgłosem Davy, sadowiąc się w boksie.

– Czyżby? – syknęła Jillian. – Czyli najwyższy czas to i owo sprostować!

– A niby co? – Davy rozsiadł się wygodniej i wbił w nią lodowaty, oskarżycielski wzrok. – Przecież to prawda. Przez ciebie poszedłem do więzienia.

– Czyżby?! – No, udało się. Wcale nie wyjąkała tego, drżąc ze strachu. O nie! Jej donośny głos docierał do każdego zakątka sali. Po prostu miała już serdecznie dość tego nękania, tej kreciej roboty, z powodu której całe Hollister zaczyna traktować ją jak trędowatą. – Byłam dopiero w dziewiątej klasie, a ty próbowałeś zaciągnąć mnie do łóżka! – walnęła bez ogródek,

świadoma, że jakiś mężczyzna przy jednym ze stolików natychmiast poderwał głowę. – A coś takiego w świetle prawa nazywa się próbą gwałtu, prawda?

Davy spurpurowiał, zrywając się na równe nogi.

– Jak śmiesz! – ryknął. – Wcale cię nie zgwałciłem!

– Ale zdarłeś ze mnie ubranie! A nie zgwałciłeś tylko dlatego, że cię kopnęłam i uciekłam. Gnałam przez las, a ty mnie goniłeś aż do domu Sassy! Gdyby Sassy Peale nie miała strzelby, to byś mnie dopadł!

Stał nad nią, ciężko dysząc. Dłonie, przyciśnięte do boków, teraz zacisnęły się w pięści.

– Zamknęli mnie – warknął. – Przez ciebie! Zapłacisz mi za to!

– Jeszcze mi grozisz? Ty?! Ty draniu! – wrzasnęła Jillian i nie panując już nad sobą, chwyciła ciasto i rzuciła mu je prosto w twarz.

Davy klął, pluł i ocierał twarz.

– To nazywa się napaść! – znów warknął.

Jak zwał, tak zwał! – krzyknęła Jillian, wbijając w niego płonący wzrok. – Jeśli chcesz, to bardzo proszę, już dzwonię po policję!

Davy znów zaklął i zrobił krok w jej stronę, ale cofnął się, bo tamten mężczyzna, który siedział przy jednym ze stolików, natychmiast wstał.

– Pożałujesz tego – warknął po raz ostatni Davy i ocierając chusteczką twarz, wyszedł z restauracji.

Rozdygotana Jillian z trudem powstrzymywała łzy, ale nie miała zamiaru się rozryczeć, o nie. Szybko przykucnęła i zaczęła zbierać resztki ciasta z podłogi.

– Myśli pani, że on pójdzie sobie na dobre? – spytał nieznajomy mężczyzna, podchodząc do niej. – Niestety, ale bardzo w to wątpię.

Mówił trochę dziwnie, jak Brytyjczycy, jednocześnie jednak bardzo

wyraźnie wymawiał spółgłoski. Podobnie mówili w filmie „Zabójcza broń”...

Zaskoczona, że po takim przeżyciu zdolna jest jeszcze do takich obserwacji, zebrała do końca ciasto, wyprostowała się i spojrzała na nieznanego. Był bardzo wysoki i dobrze zbudowany, długie, jasne włosy związał z tyłu głowy. Pociągła twarz poznaczona była drobnymi bliznami. Miał jasnobrażowe oczy, z tym że widziała tylko jedno, bo drugie zasłonięte było opaską. Czyli musiał kiedyś odnieść bardzo ciężkie obrażenia. Mimo to ta twarz była pogodna. Nieznajomy na pewno często się uśmiechał, choć akurat teraz był śmiertelnie poważny.

– Powinna pani porozmawiać z prawnikiem.

– A co ja mogę mu powiedzieć? – wyrzuciła z siebie gwałtownie. – Tylko tyle, że ten drań codziennie przychodzi tu na śniadanie, a to jedyna restauracja w naszym mieście.

– Niemniej to jest nękanie.

Jillian westchnęła.

– Owszem, ale przecież nie mogę go zmusić, żeby wyjechał z miasta.

– Powinna pani porozmawiać z komendantem policji, Tedem Gravesem. On go do tego zmusi.

– Niestety, Ted nie rozmawia ze mną. – Gdy nieznanemu uniósł pytająco brwi, wyjaśniła: – Ted jest na mnie wściekły. – Po raz drugi w tak krótkim czasie znów dziwiła się swojej reakcji. Przecież tego człowieka kompletnie nie знаła, a mimo to bez żadnych oporów zdawała mu szczegółową relację. – Powiedziałam mu, że mam wątpliwości, że zaczynam się zastanawiać, czy wtedy nie przesadziłam z oskarżeniami. Pewnie dlatego zaczęłam o tym tak myśleć, bo Harris, który przychodzi tu codziennie, bez przerwy mi to powtarza. I przypomina, ile to dobrego zrobił kiedyś dla mojego wuja i dla mnie...

– Ach tak? Czy wie pani, że Adolf Hitler miał ukochanego psa? Chodził z nim na długie spacery i rzucał mu patyki.

Jillian skrzywiła się nieznacznie. Znów przykucnęła i znów zebrała z podłogi trochę ciasta..

– Jeśli pani faktycznie była taka młoda – ciągnął nieznajomy – i faktycznie udało się go powstrzymać tylko dzięki strzelbie, to ten człowiek popełnił poważne przestępstwo, za które należała mu się surowa kara.

– Wiem – przyznała Jillian z głębokim westchnieniem. – Na szczęście zaczyna to w końcu docierać do mojej tępej głowy.

– Proszę jednak zawsze pamiętać, że tacy jak on nie odpuszczają. Pani na pewno zdaje sobie sprawę, że on wcale nie przychodzi tu na śniadanie. Chce się na pani zemścić. Czy pani ma jakąś broń?

– Skądże! Nienawidzę broni.

– Ja też, to znaczy palnej. Wolę białą broń – powiedział nieznajomy, wskazując na to, co miał w skórzanej pochwie z frędzlami przytroczonej do paska.

Był to wielki nóż typu Bowie.

– Mam nadzieję, że częściej służy do odstraszania... – bąknęła Jillian, wpatrując się w groźnie wyglądający kawałek stali.

– Zwykle tak jest.

Jillian znów przykucnęła przy resztkach ciasta.

– Moje ciasta bardzo źle się teraz sprzedają. Miałam nadzieję, że akurat to ktoś kupi. No, ale stało się inaczej... A nie kupują, bo Harris bez przerwy wciska ludziom, jaki ze mnie potwór. Dlatego w końcu nie wytrzymałam.

– Opowiadanie ludziom nieprawdziwej wersji wydarzeń to też jest nękanie.

– Przecież Ted nie może aresztować kogoś za to, że coś o kimś

wygaduje.

– Może, zależy tylko, co ten ktoś wygaduje. A ja doskonale słyszałem, co on mówił, i jeśli pani będzie potrzebowała świadka, służę swoją osobą.

– Bardzo panu dziękuję, mam jednak nadzieję, że uda mi się samej rozwiązać ten problem.

– Bardzo cenię w kobietach samodzielność, jednak w tym przypadku uważam, że sama pani sobie nie poradzi. Ma pani do czynienia z facetem, który swoje przeszedł i ma o to do pani pretensje. Więcej, on chce pani krwi, i dopnie swego, jeśli pani nie będzie ostrożna. Już zaczął panią niszczyć, nastawiając ludzi przeciwko pani. No i ludzie mu wierzą, bo uwielbiają sensacje, a właśnie z sensacją mamy tu do czynienia. Sympatyczna dziewczyna, którą zna się od lat, nagle okazała się czarnym charakterem.

Jillian zebrała z podłogi jeszcze kilka okruszków i zaczęła wycierać podłogę ścierką.

– Ale dlaczego ja? Nigdy nie uważałam siebie za złego człowieka.

– To nie ma nic do rzeczy. On przedstawia panią w najgorszym świetle, bo taki jest jego cel. I nie przestanie.

– O matko... – Podniosła głowę i przerażona spojrzała na nieznanego. – Więc będzie najlepiej, jak stąd wyjadę. Poszukam jakiejś pracy w Billings.

– Z całym szacunkiem, ale to kompletnie nie ma sensu, bo on i tak za panią pojedzie. Kiedyś zetknąłem się z podobnym przypadkiem. Jedna z moich bliskich znajomych zeznawała przeciwko pewnemu facetowi, który po odsiedzeniu wyroku chciał się zemścić. Śledził moją znajomą, na koniec napadł na nią i zaczął katować. Popułnił jednak błąd, bo ona nie była sama. Jej chłopak i kilkoro przyjaciół odeszli tylko gdzieś na chwilę, a kiedy wrócili, dopadli drania, który znów wylądował w więzieniu. Jednak gdyby moja

znajoma rzeczywiście była sama, mogłaby nawet stracić życie. Tacy faceci są strasznie zdesperowani, absolutnie konsekwentni w swej nienawiści i nieprzewidywalni. Dlatego zamiast wmawiać w siebie, że jakoś to się samo rozwiąże, należy podjąć konkretne kroki.

– Ale... – Jillian odłożyła na bok ścierkę. – Ale Ted nie chce ze mną gadać...

– Trzeba z nim się pogodzić, i to jak najszybciej – powiedział z naciskiem nieznajomy. Uznał, że już wystarczająco wiele przekazał tej dziewczynie, by więc nie wystraszyć jej jeszcze bardziej, powstrzymał się przed przekazaniem jej pewnej informacji. A mianowicie takiej, że mina prześladowcy, gdy wychodził z restauracji, nie pozostawiała żadnych złudzeń. Ten facet na pewno nie odpuści. Jedyne, co go może powstrzymać, to więzienie albo śmierć.

– Cóż, wygląda na to, że ma pan rację. Powinnam to zrobić. – Jillian uśmiechnęła się. – Bardzo panu dziękuję, panie...

Nieznajomy też się uśmiechnął, i to bardzo szeroko.

– Po prostu Rourke. Tak mówią do mnie prawie wszyscy.

– A ja jestem Jillian. A więc... Rourke, przyjechałeś tu do kogoś w odwiedziny, prawda?

– Nie wyglądam jak facet stąd? – Znow uśmiechnął się szeroko.

– No... niestety nie.

– A więc nie zaprzeczam, faktycznie nie jestem stąd. Przyjechałem tu w pewnej sprawie, a przy okazji chcę spotkać się z Tedem, ale już prywatnie. Chcę przekazać mu pozdrowienia od naszego wspólnego kumpla, który teraz jest komendantem policji w Teksasie.

– Czy to ten, który nauczył Teda tańczyć tango?

Rourke ze zdziwienia aż zamrugał oczami. To znaczy tym jednym.

– Niemożliwe! Zabawiał się w nauczyciela tańca?

– A tak. Mówił, że ten komendant z Teksasu tańczy tango rewelacyjnie.

Ted moim zdaniem też tańczy bardzo dobrze.

– Czyli jednak cuda się zdarzają – skomentował rozbawiony Rourke.

– A tak. W każdym razie ja w to wierzę.

– Jillian, a wracając do twojej sprawy. Koniecznie pogadaj z Tedem.

Powinnaś mieć obstawę, tak napędzany furią desperat może zaatakować w każdej chwili.

– Na pewno porozmawiam z Tedem. I dziękuję bardzo ci dziękuję za życzliwość i za to, że mnie oświeciłeś. Dzięki tobie pozbyłam się resztek wątpliwości. Wiem, że w tej sytuacji obwinianie same siebie było bezsensowne.

– Dobrze, że już właściwie oceniasz sytuację

I jeszcze raz proszę, nie lekceważ tego, co powiedziałem. Bądź bardzo ostrożna, Jillian. Jestem przekonany, że Harris już niebawem wykona następny krok. A u takich każdy następny krok jest bardziej radykalny od poprzedniego. To się nazywa eskalacja przemocy.

Pożegnali się.

Jillian miała cichą nadzieję, że proroctwa Rourke'a się nie spełnią, choć oczywiście nie zamierzała zlekceważyć tego, co powiedział. Pogada z Tedem jeszcze dziś, zaraz po pracy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jillian wciąż była zajęta swoją robotą, kiedy w restauracji pojawiła się Sassy Peale Callister. A gdy już się pojawiła, to od razu zaciągnęła Jillian do kąta, gdzie mogły spokojnie pogadać.

– Jill, czy wiesz, co ja przed chwilą usłyszałam? Nie, to po prostu niepojęte! – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – Czy to prawda, że zastanawiasz się, czy nie pomyliłaś się wtedy i Davy Harris nie powinien był iść do więzienia?

Jillian zaczerwieniła się aż po nasadę włosów.

– Co ty... Sassy... – wyjąkała. – Kto ci naopowiadał takich bzdur?

– Dobrze wiesz, że nasze Hollister jest miastem mikroskopijnym. Powiesz coś jednej osobie i za chwilę wiedzą już o tym wszyscy. Jill, na litość boską, mów! Czy to prawda?

– Sassy, ja tylko przypomniałam sobie, jak on, niezależnie od swoich obowiązków, tyle razy pomagał wujowi Johnowi i mnie. Kiedy się pochorowaliśmy, opiekował się nami, robił zakupy i jeździł do apteki.

– I co z tego? – spytała Sassy z kamienną twarzą. – To tylko dowód, że facetowi, oprócz tego, że jest wredny, czasami udaje się zachować przyzwoicie. Nic poza tym.

– Przecież wiem! Ale jakoś tak zaczęło mi to chodzić po głowie, bo on, wyobraź sobie, zaczął przychodzić tu codziennie i wciskać mi, że wtedy przesadziłam. Więc ja...

– Wystarczy, Jill – przerwała Sassy kategoriycznym tonem. – Teraz ty mnie posłuchaj. To absolutnie nie był zakochany w tobie facet, który chciał poprowadzić cię do ołtarza. To wstrętny śmierdzący skunks, który stwarza

tylko pozory, żeby inni mieli go za co pochwalić. A tak w ogóle to psychol, i to bardzo niebezpieczny. Psychopata czy socjopata, tak się mówi o takich typach. Mam absolutną pewność, że gdybym nie trzymała palca na spuście, on by mi wyrwał strzelbę i zaprowadził swoje porządki. Mnie i mamę by zastrzelił, ciebie zgwałcił i też zamordował... Na pewno by tak było! – mówiła gorączkowo. – A pamiętasz, co nam wtedy powiedział?

Jillian nerwowo rozejrzała się, jednak na szczęście w sali nie było żadnych gości. Ale właściciel restauracji kręcił się w pobliżu i pewnie słyszał każde ich słowo.

– Sassy, ciszej...

– W porządku. – Natychmiast przeszła prawie do szeptu. – Powiedział, że i tak nas dopadnie, ciebie i mnie. Mój mąż uważa, że mówił serio, bo dokonanie zemsty jest dla niego najważniejsze. Dlatego John, nie uwierzysz, wynajął mi ochroniarza. O, to on!

Sassy wskazała na mężczyznę, który właśnie pojawił się w sali restauracyjnej. Wysokiego mężczyznę z długimi, jasnymi włosami związanymi w kitkę i opaską na jednym oku.

– On? – zwołała zdumiona Jillian. – Przecież to Rourke!

– Tak. Znasz go?

– Właściwie nie, choć raz z nim rozmawiałam. Był tu tamtego ranka, kiedy rzuciłam ciastem w Davy'ego...

– Coś ty! Nie wierzę!

– A tak! Rzuciłam, bo wkurzył mnie na maksa. Oczywiście potem mi groził, ale szybko się wyniósł, bo w restauracji był Rourke, który pogadał ze mną, za co jestem mu ogromnie wdzięczna. Jasno oznajmił, że próba usprawiedliwienia Harrisa to zwyczajna głupota. Oczywiście ma sto procent racji. Powiedział też, że powinnam jak najszybciej pogodzić się z Tedem, bo

Davy Harris jest naprawdę niebezpieczny. Tak samo jak John uważa, że nigdy nie odpuści.

– Ja też, kochana, ja też. I nie wyobrażam sobie, żebyś ty w tej sytuacji mieszkała na ranchu sama. Proszę, przeprowadź się do nas. Pomieszkasz u nas, aż to wszystko jakoś się rozwiąże. Zgoda?

Propozycja była bardzo kusząca, Jillian jednak nie zamierzała z niej skorzystać. Nie chciała zostawiać Sammy bez opieki, poza tym nie wiadomo przecież, co Harrisowi strzeli do głowy. Mógł na przykład podpalić zabudowania rancha.

– Dziękuję, Sassy, ale muszę pilnować domu. Dam sobie radę, mam przecież dubeltówkę wuja Johna.

– Której nigdy nawet nie dotknęłaś! Jestem pewna, że po śmierci wuja nikt jej nie czyścił.

Jillian zaczęła nagle bardzo pilnie wpatrywać się w podłogę.

– No... nie. Ale Ted, gdybym go poprosiła, na pewno by to zrobił.

– No to go poproś, i to jak najprędzej! Mam też nadzieję, że powiesz mi, dlaczego go o to prosisz.

– Sassy, nie panikuj. Nie sędzę, żeby Davy tak naprawdę chciał zrobić mi coś złego.

– Co ty gadasz! Przecież już kiedyś ciebie napastował. A ty co, znowu usprawiedliwiasz tego łajdaka?

– Może po prostu za bardzo się podniecił, rozumiesz, i...

– To ty zrozum! On ciebie nie podrywał, tylko napastował!

Jillian westchnęła.

– Boże, jak ja mam już tego wszystkiego dość! Tego ciągłego roztrząsania tych okropnych spraw!

– Nikt tego nie lubi, Jill, ale nie wolno ci zapominać, że Harris to nie jest

człowiek, który potrafi wszystko puścić w niepamięć. On nie odpuści. Specjalnie przyjechał do Hollister, poszukał pracy i codziennie nachodzi cię w restauracji. Musisz koniecznie obgadać to z Tedem.

– Pomyśli, że wszystko wyolbrzymiam.

– Jill! Przecież Ted jest policjantem! John rozmawiał już z nim o Harrisie, nalegał, żeby go jak najszybciej aresztować. Powiedział, że pięć lat temu Harris zapowiedział, że się zemści. Ale Ted twierdzi, że nie może aresztować kogoś za to, co ten ktoś powiedział ponad pięć lat temu. Musi mieć niezbite dowody... Jill, już wiem! To jedno przynajmniej możemy zrobić. Podzielę się z tobą moim ochroniarzem. Będzie cię pilnował, kiedy ja będę w domu razem z Johnem, czyli całkowicie bezpieczna, tym bardziej że na naszym ranczu pracuje bardzo wielu kowboi. Tak zrobimy. Jill. Przynajmniej to. Aha, a odnośnie naszego ochroniarza... – Sassy znów zniżyła głos prawie do szeptu. – Ludzie mówią, że on może być synem ojca chrzestnego szwagierki Johna, no wiesz, tego co to kiedyś był żołnierzem najemnym i dorobił się milionów...

– Chodzi o K. C. Kantora?

– Tak! A skąd wiesz?!

– Podśluchałam, naprawdę przypadkiem. Kiedy pojechałaś na zakupy do Los Angeles, twój mąż jadał na mieście, czyli w tej restauracji. Któregoś razu przy jedzeniu opowiadał komuś o K. C. Kantorze, a ja akurat byłam w pobliżu. No i podśluchałam. Wybacz.

– Przecież nic się nie stało. Jillian, muszę już lecieć. Pamiętaj, możesz dzwonić do nas o każdej porze dnia i nocy. A Rourke'a, jak powiedziałam, będę tobie wypożyczać.

W tym momencie z tyłu rozległ się męski głos:

– Przepraszam, z oczami może u mnie nie najlepiej, ale uszy mam w

porządku. – Obie jak na komendę zrobiły w tył zwrot, zaś Rourke mówił dalej spokojnym, lecz dobitnym głosem, wyraźnie wymawiając każde słowo: – Poza tym chciałem poinformować, że K. C. Kantor nie jest moim ojcem. To wstrętne, złośliwa plotka, wymierzona w mego zmarłego ojca. Mój ojciec służył w wojsku w Południowej Afryce i tam, wykonując swoje obowiązki, narobił sobie wrogów. To oni rozpuścili tę plotkę.

– Och, przepraszam. Bardzo przepraszam – powiedziała speszona Sassy. Tym bardziej speszona, że po raz pierwszy widziała zwykle pogodnego Rourke’a w całkiem innej wersji. Twarz miał surową, w jedynym oku pojawił się groźny błysk.

Zaraz się jednak zorientował, że jego deklaracja wywołała wrażenie piorunujące, więc szybko rozładował sytuację, mówiąc z rozbajającym uśmiechem:

– To ja przepraszam, bo teraz ja podsłuchiwałem bezwstydnie. Pomyślałem, że może usłyszę o sobie coś miłego z ust tak pięknych kobiet.

Piękne kobiety też się uśmiechnęły, lecz Sassy wcale nie uznała sprawy za zamkniętą.

– Przepraszam jeszcze raz, Rourke. Naprawdę nie chciałam cię urazić.

– Przecież wiem. I dodam jeszcze tylko, że ludzie nie bez powodu łączą mnie z Kantorem. Mój ojciec i Kantor byli przyjaciółmi, a kiedy zostałem sierotą, Kantor wziął mnie na wychowanie. A wracając do Jillian... Masz sto procent racji, Sassy. Jillian nie powinna mieszkać sama. To zbyt wielkie ryzyko, gdy ma się zdolnego do wszystkiego wroga. Ty, Sassy, w nocy przy mężu jesteś całkowicie bezpieczna, więc rzeczywiście mógłbym w tym czasie pilnować ciebie, Jillian. O ile sobie tego życzysz.

– Tak byłoby najlepiej! – poparła go gorąco Sassy.

Jillian jednak nie wykazała entuzjazmu.

– To bardzo miłe z waszej strony, ale nie – powiedziała. – Bardzo dziękuję. Jakoś sobie poradzę.

Rourke uniósł znacząco brwi.

– Czyżby chodziło o moją wodę po goleniu? Faktycznie, czasami kobiety kręcą na nią nosem.

– Ależ na pewno nie! – odparła rozbawiona Sassy. – Chodzi o konwenanse.

– Przepraszam, o co?! – spytał zaskoczony Rourke.

– O to, że Jillian czułaby się bardzo niezręcznie pod jednym dachem z obcym mężczyzną, i to w nocy. Ja zresztą, gdybym była singielką, czułabym się tak samo. My, kobiety z małych miast, jesteśmy wychowywane według sztywnych zasad, które wpaja się nam od najmłodszych lat. A ty pewnie wychowałeś się w jakimś dużym mieście?

– Urodziłem się w Afryce – poinformował Rourke.

– W Afryce?! – wykrzyknęły chórem, jakby usłyszały prawdziwą sensację.

– Tak. Mieszkałem już w kilku miejscach, ale zawsze w wioskach. Bywałem jednak tu i tam, jednak o życiu w amerykańskim miasteczku nie mam bladego pojęcia, choć wydaje mi się, że istnieją pewne podobieństwa. Z tym że na pewno u was nie kupuje się żony.

– Co? – Jillian wlepiła w niego zdumione oczy.

– Kupować? Żonę?

– Tak. Mężczyzna, który chce się ożenić, musi ojcu, przyszłemu teściowi dać określoną liczbę sztuk bydła.

– Niepojęte...

– Takie po prostu mają odwieczne obyczaje. Za ciebie, Jillian... – Rourke uśmiechnął się – ojciec mógłby zażądać nawet tysiąca krów.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Mój ojciec nigdy by mnie nie sprzedał nawet za milion ton złota! Nie mówiąc już o krowach.

– Co kraj, to obyczaj – stwierdził Rourke. – Wędrowało się tu i tam, miałem więc okazję poznać to i owo. A krowy to tak samo dobra waluta jak każda inna.

– Wędrowało się... – powtórzyła z wolna Sassy.

– Czy w związku ze swoją pracą? John mówił, że handlowałeś bronią. Handlowałeś... legalnie?

– Powiedzmy, że handlowałem. – Rourke nieznacznie wzruszył ramionami. – W końcu człowiek musi z czegoś żyć między jedną stałą robotą a drugą. A w tamtych latach w tej części Afryki niewiele się działo, nie było więc większego zapotrzebowania na najemników.

– A teraz pracujesz jako ochroniarz? – spytała Jillian.

– Czasami. Nie jestem już żołnierzem najemnym, skończyłem z tym. Teraz po prostu jestem jednoosobową firmą. Wszystko legalnie – dodał szybko, kiedy zauważył ich podejrzliwe spojrzenia.

– Aha... – mruknęła Sassy. – Jak na przykład w Oklahomie, kiedy pomagałeś odbić kobietę z rąk porywaczy?

– A tak. Pomagałem kumplowi z agencji federalnej, która czasami coś mi tam zleca.

– A jak z obywatelstwem? – spytała Jillian. – Urodziłeś się w Afryce...

– Ale obywatelstwo amerykańskie już mam.

– Oczywiście – mruknęła niepoprawna Sassy. – Skoro pracował pan dla pana Kantora, łatwo je zdobył. W końcu pan Kantor na pewno znał odpowiednie osoby w departamencie stanu... – Gdy Rourke tego nie skomentował, podniosła obie ręce na znak, że się poddaje. – W porządku!

Przepraszam, nie powinnam tak drażnić. To twoje sprawy, a ja powinnam tylko się cieszyć, że podjąłeś się pilnowania mojej skromnej osoby. Jillian... – Sassy skierował spojrzenie na przyjaciółkę. – Ochronę już ci załatwiłam, teraz wracamy do strzelby, która po śmierci twego wuja ani razu nie była czyszczona. Ta strzelba absolutnie powinna być zdolna do użytku!

– Ted ją wyczyści.

– Przecież nie rozmawiacie ze sobą.

– W takim razie może ja, kiedy pojedę do Jillian, zajmę się tą strzelbą – zaofiarował się Rourke. – Wyczyszczę broń, mogę też nauczyć Jillian strzelać.

– Mnie? Nigdy w życiu! – zaprotestowała natychmiast. – Nienawidzę broni! Nigdy nie lubiłam, kiedy Ted przyjeżdżał do mnie, siadał na werandzie i strzelał do celu. Boję się tego huku, mam wrażenie, jakby dynamit rozsadzał mi głowę.

– A nikt ci nie mówił o czymś takim jak zatyczki do uszu? – spytał Rourke.

– Przepraszam, o czym?

– O zatyczkach. Na strzelnicy każdy wsadza je sobie do uszu, chyba że chce ogłuchnąć już w młodym wieku. Ochraniacze są niezłe, ale tylko na strzelnicy, bo kiedy jesteś w akcji i musisz działać szybko, lepsze są zatyczki. Po prostu wkładasz je szybciej.

– Ale jak to jest z tymi zatyczkami? – dopytywała się zaciekawiona Jillian. – Wsadzasz je i nic nie słyszysz?

– Nie, słyszysz dźwięki, ale pewne częstotliwości są wygłuszone. – Rourke spojrzał na Sassy. – Dziś wieczorem nie będziesz mnie potrzebować. Słyszałem, jak twój mąż mówił, że oglądacie w telewizji jakiś film o wilkołakach.

Sassy roześmiała się.

– Tak! Ale nie o wilkołakach. To drugi film z trylogii o wampirach. Genialne!

– Więc życzę dobrego odbioru – rzucił Rourke dowcipnie i spojrzał znów na Jillian. – W takim razie o szóstej wieczorem będę już wolny. Mogę przyjechać, wyczyścić strzelbę i sprawdzić dom. Jeśli chcesz zainstalować nowe zamki czy czujniki, też mogę to zrobić.

Niestety, o nowych zaniakach i czujnikach Jillian nie miała co marzyć. Z tego, co zarobiła w restauracji, ledwie starczało na zapłacenie rachunków.

W tym momencie podszedł do nich pan Chaney, właściciel restauracji, który, rzecz oczywista, cały czas nadstawiał ucha.

– Jillian, w każdej chwili mogę ci wypłacić zaliczkę. A co do tego Harrisa, to wierzcie mi, gdybym mógł, dawno bym mu zabronił tu przychodzić. Niestety, nie mam do tego prawa.

– Bardzo dziękuję panu za życzliwość, panie Chaney. – Jillian uśmiechnęła się do niego promiennie. – Prawdę mówiąc, byłam przekonana, że pan mnie zwolni, bo to przede mną są te wszystkie problemy.

– Zwolnić ciebie? Nigdy, Jillian. Drugiej takiej kucharki ze świecą szukać!

– A ten Harris to drań! – rzuciła gniewnie Sassy.

– Jak śmie przychodzić tu i nękać Jill! Powinien mieć wstęp wzbroniony, panie Chaney!

– Zgadza się z tym całkowicie, niestety, jak już mówiłem, niczego nie mogę zrobić. Restauracja to miejsce dostępne dla wszystkich. Nie mogę zakazać komuś wstępu bez konkretnej przyczyny. A do Harrisa nie ma jak się przyczepić. Przyjdzie, zje coś, przy okazji zamieni kilka słów z Jillian...

– Bo on nie jest głupi – powiedziała ze złością Jillian. – Nie krzyczy,

nie awanturuje się, tylko szepcze do mnie, żeby nikt niczego nie podsłuchał. Bez przerwy wpiera we mnie, że z mojej winy za nic poszedł do więzienia! O Boże, czemu go wypuścili...

– Niestety, wypuszczają ich warunkowo – stwierdził ponurym głosem Rourke. – W rezultacie na wolność ma wyjść też facet, który ma na sumieniu napad na bank. Aresztował go wasz komendant policji, a ten bandzior chce się na nim zemścić. Z kolei mojemu kumplowi z FBI z Teksasu depte po piętach facet, którego wysłał za kratki. Zdawało się, że na całe życie, a jednak znów jest wolny jak ptak. Łazi za moim kumplem i podobnie jak w przypadku Harrisa, jest bezkarny.

– O Boże! Jakie to życie bywa trudne – stwierdziła z ciężkim westchnieniem Sassy.

– Owszem, niełatwe. Człowiek się namęczy, a potem i tak idzie do piachu – przyznał Rourke z ponurą miną, ale dokończył z uśmiechem: – Oglądałaś może ten brytyjski serial o glinach, Sassy? Nie, chyba nie, byłaś wtedy za mała.

– Ale oglądałam, oczywiście! John ma to na płycie. Uwielbia ten serial.

– Ja też – wtrącił Chaney. – Czego oni tam nie wyprawiają, ta dobrana para. Brytyjska policjantka I gliniarz z Ameryki!

– Szkoda tylko, że skończyli kręcić przed doprowadzeniem do końca wątku miłosnego. Brakowało mi takiego ładnego, szczęśliwego zakończenia... – rozmarzonym głosem stwierdził Rourke. – Gdy wszyscy, to znaczy Chaney, Sassy i Jillian zrobili wielkie oczy, Rourke uznał, że należy się drobne wyjaśnienie: – W gruncie rzeczy jestem bardzo romantyczny. – Teraz wszyscy jak na komendę wlepili oczy w jego luźną marynarkę, pod którą, rzecz oczywista, znajdował się pistolet w kaburze zwisającej na pasku przewieszonym przez ramię. – To nie ma nic do rzeczy! – zaprotestował

gwałtownie Rourke. – Mogę strzelać do ludzi, a jednocześnie mieć romantyczną duszę. Wierzę, że gdzieś tam w świecie jest kobieta, która nie może się doczekać, kiedy zostanie moją żoną i urodzi mi dzieci! – Ponieważ wszyscy nadal gapili się w niego jak w obrazek, Rourke nerwowo przestąpił z nogi na nogę, po czym oznajmił: – A więc... zdaję sobie sprawę, że facet wykonujący mój zawód nie bardzo nadaje się na ojca. Ale mogę sobie pomarzyć, prawda? Bo mam święte prawo znaleźć sobie jakąś kobietę, która zechce mi ugotować czy uprać moje skarpetki, kiedy w przerwie między jedną robotą a drugą pojawię się w domu.

– Rourke, to nie romantyzm – powiedziała Sassy. – To złudzenia.

Jednak Jillian była innego zdania:

– A ja uważani, że jest to romantyczne, tylko Rourke powinien żyć w innej epoce.

Spojrzał na nią groźnie.

– Bo co? Bo nie żyję z jakąś laską z korporacji w kostiumie w jodelkę?

– O nie! Takiej szkoda dla ciebie – stwierdziła Sassy. – Ale teraz tak serio, Rourke. Przy twoim trybie życia na pewno bardzo trudno ci znaleźć drugą połówkę.

– Jest problem – przyznał, spoglądając w okno.

– Weźmy na przykład tę waszą miejscinę. Dowiedziałem się już, że na pewno są tu dwie kobiety niezamężne. Niestety, obie po sześćdziesiątce.

– No to może skusić los! – zawołała Jillian. – Rozpuścimy wici, niech każdy, kto może, zaprosi tutaj ładną kuzynkę albo znajomą i Rourke będzie miał w czym wybierać.

– A ja tak sobie myślę – powiedział z uśmiechem – że tobą warto by się zainteresować, Jillian. Masz ranczo, słyszałem, że gotujesz rewelacyjnie...

– Ale za mąż się nie wybieram, o nie! – oświadczyła stanowczo.

– I niestety, to prawda – przyznała ze smutkiem Sassy. – Powiem szczerze. Obawiam się, że po tej przygodzie z Harrisem Jillian wykreśliła mężczyznę ze swego życia. Nie chce nawet wyjść za Teda, choć wtedy ranczo przejdzie w ręce dewelopera!

– Dewelopera?! – Rourke był wyraźnie tym poruszony. – Ale dlaczego?!

– Z powodu klauzuli w testamentach mojego wuja i wuja Teda, którzy byli współwłaścicielami rancza – poinformowała go Jillian. – Obaj w swojej ostatniej woli zastrzegli, że jeśli Ted i ja nie pobierzemy się, nie dostaniemy rancza, tylko zostanie wystawione na licytację. I mamy tu już niestety pewnego dewelopera z Kalifornii, który ostrzy sobie pazury na ranczo. Nie może się doczekać, kiedy zrobi z niego ośrodek rekreacyjny.

– Ośrodek rekreacyjny?! Baseny, hotele? Tutaj?! – wykrzyknął z oburzeniem Rourke. – Przecież to taki piękny kawałek ziemi!

– No właśnie. – Jillian ze smutkiem pokiwała głową. – Ale niestety niebawem ten kawałek ziemi będzie wyglądać jak na Zachodnim Wybrzeżu. Powycinają drzewa, wszędzie asfalt, chodniki, zabudują każdy skrawek ziemi. Luksusowe apartamenty do wynajęcia. A w samym środku ma być centrum handlowe! Aha, i oczywiście park rozrywki!

– Szkoda, wielka szkoda... No cóż... Sassy, a więc u Jillian mogę być już około szóstej?

– Zgadza się. – Sassy zerknęła na Jillian, która nie odzywała się ani słowem. – Jill? O szóstej? Jill, powiedz coś! Nie zapominaj, że strzelba może okazać się niezbędną. Trzeba ją wyczyścić, a z Tedem podobno nie rozmawiasz.

– No nie... – bąknęła Jillian.

– Właśnie ten brak entuzjasm zapoczątkował epokę kolonizacji –

stwierdził złośliwie Rourke.

Jillian uśmiechnęła się w tym momencie w zdecydowanie wymuszony sposób.

– Przepraszam. Owszem, zastanawiam się, co wcale jednak nie oznacza, że ten pomysł mi się nie podoba. Ja po prostu nie wiem, co pomyśli sobie Ted. Boję się awantury. Przecież już jest na mnie wściekły, bo zaczęłam się zastanawiać, czy nie przesadziłam z tym oskarżaniem Harrisa...

– Ależ jak to! Przecież facetowi jak najbardziej się należało – zaprotestował bardzo energicznie pan Chaney. – Też jestem wściekły, bo nie mogę przegonić tego typka z mojej restauracji, ale jak tylko znajdę na niego jakiś haczyk, zaraz tak zrobię.

– Dziękuję, szefie, bardzo dziękuję – powiedziała Jillian.

– Nie ma za co, dziewczyno. – Zerknął w stronę drzwi. – Przepraszam was, mam gości.

Odszedł, a Jillian wyjaśniła z uśmiechem:

– Pan Chaney zawsze wita każdego, kto tu wchodzi. Poza tym bardzo często chodzi po sali, sprawdza, czy wszystko w porządku, i obsługa, i jedzenie. Jest świetnym szefem.

– To naprawdę dobra restauracja. – Rourke uśmiechnął się do Jillian. – A więc o szóstej?

– Tak, o szóstej. – Odwzajemniła uśmiech. – Kto wie, czy nawet cię nie nakarmię.

– Super! – ucieszył się Rourke. – To może dostarczę surowców? Mięso na steki, sałatę?

– Świetnie! Steków nie jadłam już całą wieczność.

– Nie rozumiem. Tyle tu dookoła chodzącego mięsa, a ty nie jadasz steków? Widziałem u ciebie cielaka, chyba byczek.

– Mówisz o Sammy?! O nie! Ona nie jest do zjedzenia.

– Ona? Więc dlaczego Sammy?

– Sammy i już. To jałówka. Kiedyś będzie krową.

– Krowa Sammy... Jak facet. Ale to się zdarza. Czy Parks z Jackobsville w Teksasie nie miał suki, która ma na imię Bob.

– Nie on pierwszy, nie ostatni – stwierdziła Jillian i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Sassy serdecznie objęła przyjaciółkę.

– Jadę już do domu. A więc ustalone. O szóstej Rourke jest u ciebie. Nie zapomnij, żeby wyczyścił strzelbę.

– Nie zapomnę. Sassy, Rourke, jeszcze raz dzięki za wszystko.

– Drobiazg – odpowiedział Rourke.

Sassy natomiast uśmiechnęła się.

– Aha, Jillian, tylko przypadkiem niech nie przyjdzie ci do głowy dać mu się namówić do małżeństwa, bo wtedy Ted przestanie także rozmawiać ze mną i z Johnem.

– Nie ma takiej opcji – oznajmiła stanowczo, po czym już łagodniej powiedziała do Rourke'a: – Bardzo mi przykro, stary...

– Jeszcze nic straconego – stwierdził pogodnie, wyraźnie rozbawiony tą pełną przekory rozmową. – Jestem facet w porządku, uwierz mi. Mam wiele zalet, wieczorem wszystkie ci wyliczę. Będziesz porażona. A więc do zobaczenia o szóstej!

Sassy i Rourke wyszli z restauracji. Jillian została sama, niby bardzo im wdzięczna, jednocześnie jednak pełna wątpliwości. Bo faktycznie, co na to wszystko powie Ted?!

Rourke zjawił się punktualnie o szóstej, obładowany, jak to sam określił, surowcami. W licznych torbach, które postawił na stole, znajdowało

się mięso na steki, zielona sałata, warzywa na sałatkę plus sos do niej, poza tym kruche ciasto z wiśniami, a na koniec waniliowe lody.

– Wiem, że wspaniale pieczesz ciasto – zastrzegł od razu Rourke. – Ale pomyślałem sobie, że może jesteś ciekawa, jak wychodzi to innym. To ciasto upiekła nowa kucharka Callisterów. Pochodzi z Billings, a to miasto podobno znane jest między innymi z tego ciasta.

– Wiem. I świetnie, że je przywiozłeś. Uwielbiam ciasto z wiśniami.

– Ja też.

Rourke najpierw przygotował mięso, potem, używając specjalnych noży Jillian, w błyskawicznym tempie pokroił warzywa na sałatkę.

Operował tymi nożami po mistrzowsku. Jillian patrzyła jak urzeczona.

– Musiałeś długo ćwiczyć, żeby robić to tak szybko i bez wysiłku.

– Owszem. Ćwiczyłem na ludziach.

Jillian oczywiście wlepiła w niego przerażone oczy, a dowcipniś Rourke wybuchnął śmiechem.

– Przecież żartowałem! Z tym że kiedy trzeba, robię z niego użytek.

– W twoim życiu jest wiele przemocy, prawda?

– Tak się złożyło. Nauczyłem się strzelać z AK– 47, kiedy miałem dziesięć lat.

– Co?!

– Przecież wychowałem się w Afryce, a tam zawsze jest jakaś wojna. A wtedy, kiedy miałem dziesięć lat, muzułmanie próbowali zająć ziemie, które należą do plemion murzyńskich. Byłem w sierocińcu, nie miałem żadnej rodziny. No i po raz pierwszy poszedłem na wojnę. – Rourke zaśmiał się. – I tak już zostało. Znalazłem sposób zarabiania na życie. Dużo się nauczyłem o strategii i taktyce od wojowników, niektórych bardzo już starych. Przekazywali mi nauki samego Zulusa Czaki.

– Zulus Czaka? A któż to taki?

– Najślawniejszy z zuluskich wojowników. Strateg najwyższej klasy. Zrewolucjonizował uzbrojenie i styl walki swoich ludzi, w rezultacie pokonali Brytyjczyków, którzy dysponowali nowoczesną bronią.

– Niemożliwe! A ja w ogóle o nim nie słyszałam!

– W telewizji było o nim sporo programów, powstał też film – powiedział Rourke, zajęty krojeniem selera i ogórków na wążutkie paseczki.

– Wszystko obejrzałam.

– A ja widziałam przepiękny film o Afryce. Nazywał się „Pożegnanie z Afryką”.

– Znam – odparł z uśmiechem. – Masz rację, bardzo piękny.

– I niesamowity! Grać Mozarta, za słuchaczy mając małpy...

– Przepraszam, a co masz przeciwko małpom? – Rourke przestał kroić i spojrzał przed siebie, gdzieś w dal. – Afryka... To najpiękniejsze i najciekawsze miejsce na ziemi. Między innym dzięki zwierzętom. Przykro patrzeć, jak jest ich coraz mniej. Za mojego życia wyginęło wiele gatunków.

– Ale są też ludzie, którzy starają się te gatunki uratować, prawda? Wychowują młode i potem wypuszczają je na wolność.

– Gdzie czekają już kłusownicy. Bo niestety kość słoniowa i róg jednorożca nadal sprzedawane są nielegalnie na całym świecie. Czasami łapią takich handlarzy, ale całkowite zlikwidowanie tego handlu jest niemożliwe, przynajmniej na razie. Okropnie jest patrzeć, jak coś ginie bezpowrotnie. Ludzie też. Na przykład ci mali Buszmeni. Europejczycy przetrzebili ich, zniszczyli ich kulturę, podobno prymitywną i bezwartościową, wypędzili ich z ziemi praojców. W rezultacie widzisz ich czasami w jakimś mieście, w najgorszych slumsach. Ilu z nich się rozpiło...

– Podobny los spotkał naszych Indian.

– Zgadza się. – Uśmiechnął się gorzko. – Bo jesteśmy strasznie pyszni, potwornie zarozumiali.

Każdą kulturę, która jest inna od naszej, określamy jako prymitywną, lekceważymy, tępimy, uważając ją za kompletnie bezwartościową. A przecież taka kultura rodziła się tysiące lat temu! Zadziwiające, ile wtedy człowiek już potrafił. Czy wiesz, że w Ameryce Środkowej kiedyś istniały potężne cywilizacje zajmujące się rolnictwem? A Indianie Hohokam w Arizonie, cierpiącej na brak wody, kopali kanały nawadniające pola. Majowie znali się na astronomii, a Inkowie przeprowadzali trepanację czaszki, żeby obniżyć ciśnienie w mózgu. Używali do tego skalpeli z obsydianu, który do dziś używany jest do produkcji narzędzi chirurgicznych.

– A skąd ty to wszystko wiesz?

– Jak powiedziałem, nosi mnie po świecie, to i dowiaduję się ciekawych rzeczy. To jedna z zalet mojej pracy. Mam okazję poznać bardzo ciekawych ludzi. Między innymi naukowców, takich z pierwszej ligi. Kiedyś na przykład złapałem robotę w Egipcie jako ochroniarz pewnego archeologa, który ma opinię jednego z najlepszych na świecie fachowców w tej dziedzinie.

– Nie mów!

– Przecież nie kłamię. A jak tam z tobą, Jillian? Masz na swoim koncie jakieś ciekawe podróże?

– Ja... Tak. Byłam w Oklahoma City. Jechało się tam naprawdę długo.

– W Oklahoma City... – Ręka Rourke'a z nożem znieruchomiała w powietrzu.

Jillian zaczerwieniła się.

– Tak, Oklahoma City. Tylko ten jeden raz byłam poza Montaną.

– Nigdy nie byłaś zagranicą?! – spytał zdumiony.

– No... nie. Na dalekie podróże zawsze brakowało pieniędzy... – Jej

głos zamierał, spojrzenie pomknęło ku oknu.

Na podwórze wjeżdżał pikap. Nie, nie zajechał spokojnie, kulturalnie, tylko wparował z wielką szybkością. Kierowca wyhamował gwałtownie, wyskoczył z samochodu i walnął drzwiami. Musiał być wściekły.

Ręka Rourke'a natychmiast znalazła się na kaburze pistoletu ukrytego pod marynarką.

– O matko – jęknęła Jillian i jak to ona z tych nerwów zagryzła dolną wargę.

– Harris? – spytał Rourke.

– Nie. Gorzej. – Westchnęła ciężko. – To Ted.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po chwili na schodkach zadudniło. Jillian nie miała najmniejszych wątpliwości odnośnie nastroju Theodore'a Gravesa. Gdyby nie był wściekły, wszedłby tu prawie bezszelestnie, nawet gdyby na nogach miał buty najbardziej solidne. A teraz po tych schodkach wchodził wyjątkowo głośno, co Jillian słyszała bardzo wyraźnie.

Zapukał do drzwi, też oczywiście głośno.

Jillian otworzyła i odskoczyła na bok.

Czarny wzrok Teda płonął.

– Słyszałem, że masz gościa!

Jakby na potwierdzenie tych słów z kuchni wyszedł Rourke. Luźną marynarkę miał rozpiętą, kabura z pistoletem automatycznym kaliber 45 była doskonale widoczna.

– Owszem, ma. – Długimi posuwistymi krokami podszedł do Teda i wyciągnął prawicę. – Jestem Rourke. Pracuję dla Callisterów. Wypożyczyli mnie, żebym popilnował Jillian.

Ted uścisnął jego dłoń.

– Theodore Graves. – Nie tylko się przedstawił, ale oczywiście uzupełnił informacje o sobie: – Komendant policji.

– Wiem. – Rourke uśmiechnął się szeroko. – Szukałem cię w mieście, ale byłeś zajęty. Służbowo, jak mi powiedziano. Cash Grier prosił, żebym ci przekazał pozdrowienia od niego.

– Znasz Casha?

– Pracowaliśmy kiedyś razem w Afryce, w warunkach... powiedzmy, że nietypowych.

Ted wyraźnie zaczynał się odprężać.

– Rourke... O ile dobrze kojarzę, Cash wspominał mi o tobie.

– Może i tak. W każdym razie zjawilem się tu po to, by wyczyścić strzelbę po wuju Jillian. Przy okazji zająłem się też pichceniem, mając nadzieję, że jeśli porażę pannę Sanders moim kulinarnym kunsztem, to od razu po kolacji zgodzi się wyjść za mnie.

Koniec z odprężaniem się. Ted wbił w Rourke'a swój czarny wzrok, po czym ryknął:

– Co?!

– O matko! Ted! – zawodziła czerwona jak burak Jillian. – Nie widzisz, że to podpucha? Przecież on się zgrywa!

– Ja?! – spytał urażonym głosem Rourke. – Żadna podpucha. Najpierw steki, potem oświadczyzny, a na koniec...

– Stop! – znów ryknął Ted, nie dając mu dokończyć. – Żadne takie! Może jeszcze tego nie wiesz, ale Jillian zaręczona jest ze mną.

– Ja?! – spytała zdumiona Jillian. – Wcale nie jestem z tobą zaręczona!

Rourke cofnął się nieco i podniósł ręce na znak, że się poddaje.

– To wy już między sobą ustalcie, kto jest zaręczony i z kim, a kto nie jest zaręczony, bo ja wracam do kuchni. – Po czym dodał z bezczelnym uśmiechem: – Wybaczcie, ale nie będę się wtrącał do rodzinnej kłótni.

– Ted i ja nie jesteśmy rodziną – zaprotestowała Jillian, po czym dodała podniesionym głosem: – I wcale się nie kłócimy!

– Ale zamierzamy być rodziną! – zagrzemiał Ted, kończąc wypowiedź z niejaką emfazą: – To najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

W tym momencie Rourke definitywnie znikł w kuchni.

A Ted od razu wyłożył Jillian, o co ma do niej pretensję:

– Gdybyś mnie poprosiła, sam bym wyczyścił tę strzelbę!

– A niby kiedy miałam cię poprosić?! – odparła równie gromko. – Uciekłeś stąd, jakby się paliło, a potem nie dawałeś znaku życia! Jak więc miałam cię poprosić? Może listownie?

Usłużny głos z kuchni podsunął inne rozwiązanie:

– Mejm! O wiele szybciej!

– A ty się zamknij! – ryknął Ted. – To rozmowa prywatna!

– O, przepraszam! – znów dobiegło z kuchni. – Tylko jej nie przeciągajcie, bo stek na zimno to już nie to samo.

Ted chyba już nie mógł ryknąć głośniejsze, gdy wyłożył kolejny zarzut:

– Co?! Karmisz go stekiem?! A co, zarznął może Sammy?

I znowu z kuchni:

– Paskudnych cieląt nie zarzynam!

Na co rozległ się bardzo głośny i wprost ociekający oburzeniem protest Jillian:

– Moja Sammy nie jest paskudna! – Druga fraza tej wypowiedzi miała już zabarwienie liryczne. – Moja Sammy jest śliczna.

Głos z kuchni tym razem zdecydowanie szedł na ugodę:

– Skoro tak mówisz...

– Białe– czarne też są piękne!

– Tak mówisz, bo nie widziałaś cielaka rasy Brahma. Prawdziwy cud natury!

– Brahma – powtórzył Ted z niesmakiem. – Najbrzydsze cielaki pod słońcem.

– Co ty gadasz! – zaperzyła się Jillian.

Rourke znów pojawił się w progu, dzierżąc w dłoni argument, czyli widelec.

– Wcale nie są brzydkie – oświadczył autorytatywnym tonem. – Wiem

to najlepiej, bo sam mam kilka takich cielaków.

– A co, też hodujesz bydło? – spytał Ted. – Może gdzieś w tej w okolicy?

– Nie, w Afryce. Mieszkam w Kenii.

Ted zmrużył oczy.

– Aha... To dlatego znasz się z Cashem.

– No właśnie. Zostałem kiedyś zatrudniony do pomocy w poskramianiu pewnego wodza, który w swoich wodzowskich zapędach zabrał się od rzezi niewiniątek. Nic nie przesadzam, bo ten psychol mordował dzieci.

– Dobrze, że pomogłeś Cashowi – stwierdził Ted.

– Czyli co? Już się dogadaliście? – spytała złośliwie Jillian.

– Tylko w kwestii bydła – oznajmił Rourke, odsłaniając w uśmiechu piękny garnitur zębów.

– Bo wcale nie zrezygnowałem z moich planów matrymonialnych. Nadmieniam przy tym, że naprawdę potrafię i sprzątać, i gotować. Nawet piec! Na przykład strudel zapiekany z jabłkami to moja specjalność. Nie przechwalam się, po prostu stwierdzam fakty. – Z góry spojrzał na Teda.

Który cierpiał męki, przecież powszechnie było wiadomo, że nie potrafi nawet zagotować wody.

Cierpiał, i owszem, ale wcale nie miał zamiaru się poddać. Spiorunował jasnowłosego intruza wzrokiem i wysyczał:

– A ja, koleś, potrafię z mojego pistoletu trafić do centa położonego na butelce!

– Ja też to zrobię, strzelając z uzi – oznajmił Rourke.

– Nie w moim mieście! U nas ten pistolet maszynowy jest zakazany – triumfalnie oznajmił komendant Graves.

– W porządku, choć trochę szkoda, że nie zmierzę się z gliniarzem.

– Nie jestem gliniarzem, tylko komendantem policji!

– Nie widzę wielkiej różnicy. – Rourke przezornie umknął do kuchni.

Ted spojrzał na Jillian, która miała nieco dziwny wyraz twarzy. Dziwny, ale zarazem jednoznaczny. Po prostu tłumiła śmiech.

Pomyślał, że nie szkodzi, niech się pośmieje, choćby i z niego. Miał większe zmartwienie na głowie. Tego typka, który lata po mieście i wygaduje na Jillian, a im kto większy dureń, tym bardziej mu wierzy. Na domiar złego nie było podstaw prawnych, żeby tę kreaturę wyrzucić z miasta. Wszystko to razem doprowadzało go do białej gorączki. Jillian chodziła blada, zdenerwowana, potem on się na nią wściekł i zaczął jej unikać z jednego prostego powodu. Wolał już niczego z nią nie roztrząsać, bo się bał, że powie jej coś przykrego. Tak, bał się, bo jak dotąd, choć to on parł do małżeństwa, w kwestii uczuć miał jeszcze pewne niejasności. A kiedy tak się na nią wściekł, nagle dotarło do niego, że ranczo jest sprawą drugoplanową. Przede wszystkim zależy mu na Jillian.

– Jake... – Ted wyprostował się i oparł rękę na kolbie automatu ulokowanego w kaburze przytroczonej do paska. – Słyszałem, co wydarzyło się w restauracji. Wiesz, z tym ciastem. Powinnaś posłuchać Sassy i przeprowadzić się do niej. Nie możesz siedzieć tu sama. Ten drań w każdej chwili może zaatakować.

– Hej, hej! Ona nie jest sama! – wydarł się z kuchni Rourke. – Ja też tu jestem!

– Ale nie całą dobę na okrągło! Ten drań na pewno się o tym dowie! – odparł Ted podniesionym głosem, nie kryjąc złości. Bardzo mu się nie podobało, że jakiś inny mężczyzna przejmuje obowiązki, które powinien wypełniać on i tylko on.

– Sassy Callister prosiła ją, żeby zamieszkała u nich, na ich ranczu! –

zawołał Rourke. – Ale Jillian nie chce.

Dla Teda ten pomysł nie był do końca idealny. Jillian na ranchu Callisterów byłaby pod jednym dachem z tym całym Rourkiem. Z drugiej jednak strony tam właśnie byłaby naprawdę bezpieczna.

Z tym że na pewno będzie bezpieczna, jeśli w końcu zdecyduje się wyjść za Theodore'a Gravesa.

– Jake, pobierzmy się – powiedział, zniżając głos.

Niestety, Rourke dosłyszał i oczywiście się rozdarł:

– A potrafisz gotować? Bo ja tak! No i wszystkie zęby mam swoje!

Ted, skupiony na Jillian, nie skomentował powyższych informacji.

– Jake, Harris wczoraj kupił wielki nóż typu Bowie.

– Każdy ma prawo kupić sobie taki nóż! – przekazał mu z kuchni Rourke.

– Niby tak – przyznał Ted. – Ale nie ma prawa paradować z nim po mieście, ponieważ długość ostrza przekracza osiem centymetrów. Ale teraz co innego jest najistotniejsze, a mianowicie po co on kupił ten nóż.

– Po to, żeby pewna osoba nie miała wątpliwości co do jego zamierzeń – oświadczył Rourke, znów pojawiając się w progu.

– Być może. W każdym razie sprawił sobie krwawe narzędzie, a ja, dopóki on nie pokaże się z tym nożem w miejscu publicznym, nadal mam związane ręce. Nie ma powodu, żeby go przyskrzynić.

Rourke oczywiście nie pisał ani słowa, że akurat on ze swoim nożem typu Bowie obnosi się po całym miasteczku. Za to spytał:

– Ted, a może po prostu przymkniesz oczy i ja z nim pogadam? Wiadomo jak?

– I co? Będę musiał ciebie aresztować! Przecież on od razu wezwie swojego prawnika. Nie, dzięki, Rourke. To tylko by pogorszyło sytuację.

– W takim razie może wyjadę do innego stanu? – zaproponowała Jillian.

– To nic nie da, bo on i tak pojedzie za tobą.

Będzie zagrożeniem nie tylko dla ciebie, lecz także dla osoby, u której się zatrzymasz. A poza tym, o ile mi wiadomo, raczej nie masz żadnych znajomych poza naszym stanem.

– No... nie. Och, tylko żartowałam, bo tak w ogóle to nie mam najmniejszego zamiaru przed nim uciekać. Absolutnie!

Bardzo stanowcza deklaracja Jillian zyskała pełną aprobatę ochroniarza i komendanta.

– Czyli nie boisz się zaryzykować. Podoba mi się to – pochwalił Rourke.

– Nie. Jake przede wszystkim myśli racjonalnie – oświadczył Ted. – Wie, że w tym mieście, gdzie jest pod moją opieką, nikt nie waży się jej tknąć! – zakończył z mocą.

– Jasne – przytaknął Rourke. – A jeśli chodzi o noc, mogę tu przyjeżdżać. Na ranczu Callisterów w nocy nie jestem potrzebny.

Oboje, i Ted, i Jillian, jednocześnie spiorunowali go wzrokiem.

– Dobrze już, dobrze! Dotarło! – zawołał Rourke, podnosząc ręce. – Zapomniałem, że wy tu żyjecie jak w średniowieczu.

– Rourke, zrozum, to naprawdę małe miasto – powiedziała Jillian. – Nie chcę dać następnego powodu do głupich plotek. Przecież już i tak co najmniej połowa miasta uwierzyła w brednie Davy’ego i uważa mnie za głupią podrywaczkę bez serca, przez którą niewinny człowiek poszedł do więzienia. Tylko dlatego, że chciał się ze mną ożenić!

– Czyli ta połowa to idioci – podsumował Rourke, czym zasłużył sobie na okraszone promiennym uśmiechem miłe słowa Jillian:

– Dzięki, Rourke. Jesteś kochany.

Natomiast Ted bezradnie potrząsnął głową, po czym zawołał:

– Cholera jasna! – Zmełł w ustach prawdziwe przekleństwo. – Oddałbym wszystko, żeby znaleźć w końcu jakiś przepis, w świetle którego mógłbym wreszcie wywalić tego bydlaka z naszego miasta! Włóczęstwo odpada, przecież znalazł sobie robotę.

– Kompletnie tego nie rozumiem! – gniewnie wyrzuciła z siebie Jillian.
– Że nie ma takiego przepisu! Facet przyjeżdża do miasta, nęka mnie, rujnuje mi życie i jest zupełnie bezkarny! Ted, proszę, tylko nie bierz tego do siebie. Przecież rozumiem doskonale, że w tej sytuacji nic nie możesz zrobić.

– A niech to... – Rourke westchnął ciężko. – Nie ma to jak dawne czasy w Afryce – rzekł z rozmarzeniem. – Tam to my stanowiliśmy prawo. Własne prawo, każdy po swojemu.

– Bez sensu – obruszył się Ted. – Porządne prawo służy całej społeczności. Jest podstawą każdej cywilizacji!

– Dobrze, dobrze, niech sobie będzie. A teraz małe pytanko: zostajecie na kolacji? Przywiozłem mięso na trzy steki.

– Trzy? – zdziwiła się Jillian.

– Oczywiście, że trzy. Przecież było do przewidzenia, że będziemy mieli gości. – Uśmiechnął się.

Także Ted. Wreszcie! I nie tylko się uśmiechnął, lecz również wystąpił z propozycją:

– A po kolacji usiadzimy na werandzie i postrzelamy do celu.

Oczywiście Jillian natychmiast spojrzała na niego złym okiem, natomiast Rourke przyjął propozycję wręcz entuzjastycznie.

– Super! Przy okazji nauczymy Jillian strzelać.

– Mnie? Wykluczone! – padła szybka odpowiedź. – Poza tym mam

tylko dwa naboje.

Rourke podszedł do półki, na której stała jego torba.

– To też przewidziałem – powiedział z uśmiechem, podając Tedowi całe opakowanie naboji. – A teraz udaję się do kuchni, by przewrócić steki na drugą stronę.

– I tak będzie najlepiej – podsumował Ted.

Kiedy Rourke wreszcie znikł z horyzontu, Ted wziął Jillian za rękę i poprowadził do salonu. Weszła do środka, on za nią i bardzo starannie zaniknął drzwi.

– Jillian, nie chcę, żebyś była tu z nim sama – oświadczył. – Ani w dzień, ani w nocy.

– Ależ Ted, przecież nie mam wyboru. Nie widzę tu tłumów, które chciałyby mnie bronić przed prześladowcą.

Spojrzał w bok.

– No tak... Wybacz.

– Ted, powiedz mi wreszcie, dlaczego tak się wtedy na mnie wściekłeś.

Spojrzenie Teda natychmiast spoczęło znów na Jillian.

– Przecież to jasne! Próbowałam usprawiedliwić tego drania, zaczęłam robić sobie wyrzuty, mieć wątpliwości. A ja wątpliwości nie mam, chociażby dlatego, że przeczytałam protokół z tamtej rozprawy... – Widział, że Jillian zarumieniła się po nasadę włosów, dlatego dokończył ze szczelnym naciskiem: – I jestem na sto procent pewien, że to nie twoja wina.

– Ale on powiedział wtedy sędziemu, że ubierałam się prowokująco...

– Ty? Ty nigdy w życiu nie włożyłabyś na siebie nic wyzywającego, Jillian, a co dopiero wtedy, kiedy miałaś piętnaście lat! A poza tym... Powiedz, co byś zrobiła, gdyby teraz, kiedy masz dwadzieścia jeden lat, zaczął podrywać ciebie jakiś piętnastolatek?

– Przede wszystkim powiedziałabym o tym jego matce.

– A widzisz! Jesteś dziewczyną, która ma zakodowane pewne zasady i od nich nie odstąpi. Tak było zawsze.

– Tak... Jesteś więc pewien że, odwracając sytuację, nigdy by mi nie przyszło do głowy związać się z mężczyzną starszym ode mnie o sześć lat?

– Absolutnie. Świadczy o tym chociażby właśnie to, że nigdy nie wkładałaś niczego prowokującego.

– Och, nawet gdybym chciała, i tak nic z tego. Wuj by mi na to nie pozwolił.

– A Harrisowi tak naprawdę było wszystko jedno, jak się ubierasz. Był drapieżcą. Nadal zresztą taki jest, ale tacy faceci zawsze są święcie przekonani, że nic złego nie robią. Dlatego tu teraz jest. On naprawdę nie rozumie, dlaczego go aresztowano.

– Czyli to wariat!

– No, w pewnym sensie... A ciebie, Jake, ogarnęło podobne szaleństwo, kiedy starałaś się go usprawiedliwić. Ty, która byłaś napastowana i uciekałaś przez las do sąsiadów!

Jillian natychmiast zaczęła przeżuwać dolną wargę.

– Tak... – szepnęła. – Och, Ted, umierałam ze strachu. Mężczyźni są tacy silni! Nawet tacy chudzi jak Davy Harris. Nie wiem, jakim cudem udało mi się wyrwać z jego łap! A on wpadł w szał. Kiedy biegł za mną, przez cały czas wykrzykiwał okropne rzeczy. Jestem przekonana, że gdyby mnie dopadł, na pewno by mnie zabił. Szczęśliwie Sassy złapała strzelbę... Mógł zabić też Sassy, i to z mojej winy, przecież to ja ją w to wszystko wciągnęłam. Ale do kogo miałam biec? Oprócz Peale'ow nikt inny tu nie mieszkał.

– Jestem pewien, że Sassy nie ma do ciebie o to pretensji. To bardzo porządna dziewczyna.

– Wiem... Ted, ty też jesteś super – powiedziała cicho Jillian, spuszczać głowę. – Przepraszam, że w ogóle wtedy zaczęłam z tobą dyskutować.

– To ja przepraszam. Powinienem okazać ci więcej zrozumienia, a nie wściekać się jak wariat. Ale... ale powiem szczerze. Mnie w ogóle nie jest teraz łatwo.

Jillian poderwała głowę.

– Dlaczego, Ted?

– A jak może być mi łatwo, Jake, kiedy umawiam się z dziewczyną, która podoba mi się, której pragnę, a nawet nie mogę jej dotknąć? Bo ona boi się... Rozumiesz, o co mi chodzi? – Nie, nie rozumiała. Spojrzenie niebieskich oczu było jednoznaczne. Jillian absolutnie nie zaskoczyła. – No tak, nie rozumiesz... – W głosie Teda słychać było rozpacz. – Szkoda słów... A niech to...

Chwilę stał nieruchomo, a potem nagle i zdecydowanie, jakby powiedział sobie w duchu: „Raz kozie śmierć”, przygarnął Jillian silnym ramieniem i pochylił głowę. Najpierw pocałował delikatnie, jakby chciał ją do tego całowania przekonać. A kiedy wyczuł, że Jillian poddaje się chwili, pocałunek zaczął zyskiwać na intensywności. Wargi Teda zaczęły leciutko skubać jej wargi, prosząc, by się rozchyliły.

Najpierw zeszywniała, ale po sekundzie sztywność ustąpiła i Jillian, tak jak on, kompletnie zatraciła się w tym pocałunku.

Był całkiem inny niż dotychczasowe pocałunki. Owszem, Ted już ją całował, ale inaczej, tak jakoś leciutko, powierzchownie, zawsze była w tym odrobina żartu.

Teraz było inaczej. Całkiem inaczej. Tak jakoś... bardzo poważnie.

Jedną ręką obejmował ją przez plecy, druga przesunęła się po jej talii w

górze i zaczęła głaskać małą, jędrną pierś. Bardzo delikatnie, tylko z boku, ale zawsze była to pierś, dlatego przez głowę oszołomionej Jillian przemknęło, że może jednak zaprotestować. Przemknęło tylko raz i poszło w zapomnienie, ponieważ Ted całował ją bez przerwy, cudownie, w sposób coraz bardziej... skomplikowany, aż Jillian poczuła, że z jej ciałem zaczyna coś się dziać. Przede wszystkim temperatura niewątpliwie wzrosła, zaczęło też jakby leciutko nabrzmiwać. A po chwili to rozgrzane ciało jakoś tak samo się wygięło, mocniej przywierając do Teda. Jillian nagle poczuła, że czegoś bardzo chce. Czegoś, bo czego dokładnie, nie, tego nie wiedziała.

Ted oczywiście doskonale wiedział, jakiego rodzaju są to pragnienia i jak je zaspokoić, dlatego nie odrywając ust od ust Jillian, dalej głaskał pierś, teraz już całą, koncentrując się głównie na sutku, który zaraz stwardniał. A stwardniały sutek, rzecz powszechnie wiadoma, robi się nieprawdopodobnie wrażliwy. Jillian drgnęła i próbowała odsunąć się od Teda, jednak bez większego przekonania. A Ted, jakżeby inaczej, nie puścił jej, tylko szepnął:

- Wystraszyłaś się? Nie trzeba, Jake. Jesteśmy przecież sami.
- Drzwi... są zamknięte?
- Oczywiście. Inaczej bym tego nie zrobił...

Tego, co teraz, kiedy błyskawicznie podciągnął bluzkę i stanik.

Gorące wargi Teda przywarły do piersi Jillian, a ona zadrżała. I to wcale nie ze strachu, tylko z przyjemności, zresztą tak ogromnej, że można by ją nazwać rozkoszą. Przymknęła oczy, a paznokcie, oczywiście krótkie jak u człowieka pracy, wbiły się w twarde ramiona Teda, a całe ciało, spragnione pieścizot, jeszcze bardziej się wygięło, żeby Ted miał łatwiejszy dostęp.

Kiedy wargi objęły sutek i Jillian poczuła na nim miękki wilgotny język, Ted wziął ją za rękę. Jillian krzyknęła cicho, potem jęknęła wielce

wymownie, co dla Teda miało znaczenie fundamentalne. Przecież to dowód, że Jillian, mimo swoich urazów, nie tylko nie ucieka przed jego pieszczotą, ale wręcz się nią rozkoszuje.

Wargi Teda stały się jeszcze bardziej zachłanne.

– Och, Jake... – szepnął. – A ty ciągle powtarzasz, że nie chcesz wyjść za mnie...

Paznokcie Jillian wbiły się teraz w jego plecy.

– Och, Ted, a czego to ja ci nie mówiłam... – odszepnęła półprzytomnie, ponieważ naprawdę była zajęta. Z zamkniętymi oczami chłonęła zapach męskiego ciała zmieszany z zapachem wody toaletowej. Upajała się cudną pieszczotą warg Teda na jej piersi, tak intymnej części kobiecego ciała.

Ale Ted, niestety, miał jeszcze coś do powiedzenia.

Poderwał głowę i spoglądając na jej obrzmiałe piersi, znów szepnął.

– Ale kiedy ty tak ciągle mówiłaś nie i nie, bardzo to brałem sobie do serca. Myślałem już, że ci się po prostu nie podobam.

– Ted! Nie! – Gdy natychmiast cofnął rękę, którą zaczął głaskać jej drugą pierś, szepnęła: – Ted... nie o to chodzi... Tylko to, że mi się podobasz, oczywiście... zawsze... och!

Krzyknęła cicho, ponieważ Ted jej słowa potraktował jako zachętę. Jego ręka poczyniała sobie coraz śmieiej, przesuwając się po najprzeróżniejszych zakamarkach jej ciała.

– Jake, mówisz serio?

– Oczywiście! A mówiłam, że nie chcę, bo po prostu bałam się samego małżeństwa...

– A nie trzeba się bać, Jake. Podobno małżeństwo to prawdziwa uczta najprzeróżniejszych przyjemności, jakich dostarcza sobie nawzajem dwoje kochających się ludzi – powiedział cicho Ted, spoglądając z wielkim

zadowoleniem, jak bardzo już pobudzone ciało Jillian reaguje na jego pieścizoty. – Coś mi się zdaje, że to prawda...

Znów pochylił głowę, gorące wargi i język znów zaczęły rozkosznie dręczyć sutek. Jillian drżała i cichutko pojękiwała, a zadowolenie Teda sięgnęło zenitu, gdy zauważył, że drżące palce Jillian zaczynają operować guzikami jego koszuli.

Znieruchomiały, kiedy Jillian zauważyła, że Ted jej się przygląda.

– Jake, w porządku – szepnął do małego, zaróżowionego ucha. – Mężczyźni uwielbiają, kiedy ich się dotyka.

– Aha...

Rozpięła koszulę i ostrożnie położyła dłoń na poletku kręconych włosów na kłacie Teda.

– O nie... – szepnęła zachwycona, czując na plecach rozkoszny dreszczyk, zresztą nieświadoma, że Ted poczuł to samo. – Podoba ci się, jak tutaj trzymam rękę? – spytała.

– Jasne!

Uśmiechnęła się zachwycona swoim odkryciem. Zachwycona w ogóle wszystkim. I Tedem, który miał zwichrzone włosy i bardzo błyszczące oczy, no i przede wszystkim tym, co właśnie robią. Jak to powiedział Ted, nawzajem dostarczają sobie największych przyjemności. Jakie to cudowne, tym bardziej że dotąd była święcie przekonana, że czegoś takiego nigdy nie doświadczy. Ani z Tedem, ani z jakimkolwiek innym mężczyzną.

Jego usta znów odszukały jej usta, rosłe męskie ciało przygniotło Jillian, co też było cudowne. Tak cudowne, że jej ręce same się uniosły i oplotły szyję Teda. Jednocześnie czuła, jak jedna z długich, umięśnionych nóg Teda wsuwa się między jej nogi, całe ciało Teda poruszyło się, uniosło, opadło...

Z ust Jillian znów wydobył się cichy jęk.

I wtedy ktoś zastukał do drzwi.

Ted natychmiast poderwał głowę. Jego zszokowane spojrzenie przemknęło po zaróżowionych piersiach Jillian oznaczonych czerwonymi cętkami, śladami po jego wybuchu namiętności, po zaróżowionej z emocji twarzy Jillian.

I huknął:

– Co jest?!

– Steki gotowe! Pośpieszcie się, zimne są niedobre – poinformował uprzejmie Rourke.

Wykazał się przy tym przezornością, bo zaraz potem usłyszeli szybkie kroki oddalające się od drzwi.

Chwila uniesienia minęła. Jillian, czując się nagle bardzo niezręcznie, że Ted ogląda ją w takim stanie, błyskawicznie ściągnęła w dół stanik i bluzkę, czyli tam, gdzie było ich miejsce.

– Przepraszam, Jake – szepnął Ted. – Po prostu straciłem głowę.

– Nie przepraszaj... – odszepnęła z nikłym uśmiechem. – Przecież też straciłam głowę. Wiesz, nigdy bym nie przypuszczała, że coś takiego przeżyję. Co prawda jestem po raz pierwszy w takiej, sytuacji z mężczyzną, ale zawsze wydawało mi się...

Ted z uśmiechem położył palec na jej ustach.

– Wszystko w porządku, Jake. I cieszę się, bardzo się cieszę, że w tej właśnie sytuacji pasowaliśmy do siebie, prawda?

– No... myślę, że tak.

– W takim razie myślę też, że naprawdę warto, byśmy wzięli ślub, a potem po ślubie zamieszkamy na moim ranczu. I wreszcie rozwiążemy problem z Harrisem. Co o tym sądzisz?

Zapadła cisza. Wiadomo, że Jillian musiała się jeszcze nad tym

zastanowić.

Na szczęście cierpliwość Teda nie została wystawiona na ciężką próbę, bo już po chwili Jillian powoli skinęła głową i powiedziała:

– Dobrze.

Ted aż poczerwieniał z emocji. Był szczęśliwy i dumny, że Jillian wreszcie powiedziała tak. Dumny, że stało się tak nie w wyniku kolejnych, męczących, wkurzających dyskusji. Nie. Słowa były zbędne, wystarczyło kilka chwil namiętności.

– Tylko nie pęknij z tej dumy! – powiedziała, uśmiechając się już odrobinę szerzej.

No cóż... zanościło się na to, że będzie miał żonę, która potrafi czytać w nim jak w otwartej księdze.

– Bez obaw! Do ślubu na pewno dotrwam.

Jillian zaśmiała się, teraz już całkiem swobodnie.

Była taka szczęśliwa. Przeżywała przecież coś niebywałego, skoro tak nagle cała się zmieniła, w tak krótkim czasie i tak diametralnie. Odeszły wszystkie jej zahamowania, wszystkie, co do jednego. W chwili gdy Ted... ruszył do akcji.

Stan ducha Teda był absolutnie porównywalny.

– Jestem szczęśliwy – wyznał. – Nie wiedziałem przecież, jak ty, po tych swoich przeżyciach, zareagujesz na mężczyznę.

– Też tego nie wiedziałam. – Przysunęła się do niego położyć dłonie na jego piersi. – Teraz rozumiesz, dlaczego bałam się dopuścić do takiej sytuacji. Bałam się, że sprawy zajdą tak daleko, no, jak dziś, a potem ucieknę z wrzaskiem. Bez sensu, prawda? Ale... ale i tak chciałam ciebie o coś prosić. Kiedy pobierzemy się, nie śpieszmy się, dobrze? Dasz mi trochę czasu, a ja spokojnie przyzwyczaję się do tych nowych okoliczności.

– Oczywiście, Jake.

– Ted, powiedz mi jeszcze, gdzie weźmiemy ślub. W urzędzie?

– Nie. W kościele, tylko w kościele. Ty w białej sukni, z pięknym bukietem, a ja w moim jedynym garniturze. – Uśmiechnął się. – W końcu zamierzam żenić się tylko raz. Dlatego chcę, żeby było naprawdę uroczyście.

Taką postawą Jillian była zachwycona, przecież pragnęła tego samego. Ponieważ jednak nie chciała sprawiać wrażenia osoby, która nie może już się doczekać, kiedy dobiegnie do ołtarza, skwitowała to krótkim:

– Dobrze.

– W sukni ślubnej na pewno będziesz wyglądała rewelacyjnie – powiedział cicho Ted, nachylając się, żeby ją pocałować. – Z tym że w dzinsach też wyglądasz bardzo ładnie.

– E tam... Nie wierzę.

– Ale to prawda. Moim zdaniem zawsze i we wszystkim wyglądasz ładnie. – Spojrzał na nią roziskrzonym wzrokiem. Radość go rozpieła. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy jak teraz, kiedy wreszcie klamka zapadła. Jeszcze kilka dni i rozpocznie się ich wspólne życie. Życie z Jillian...

Rozczulony pocałował ją jeszcze raz... przy akompaniamencie okrzyków Rourke'a, dobiegających tym razem nie spoza drzwi, lecz z miejsca bardziej oddalonego.

– Hej! Hej! Za pół minuty steki będą miały już temperaturę pokojową!

Ted z uśmiechem odsunął się od Jillian i powiedział:

– Nie bądźmy sadystami. Chłopak się postarał, chodźmy więc na te steki. Aha, zanim zaczniemy jeść, powiemy mu, że jesteśmy zaręczeni. Tak dla porządku.

– Dobrze, Ted. Z tym że naprawdę trochę przesadzasz. Absolutnie nie

interesuję Rourke'a jako kobieta. To tylko żarty, sam widzisz, jaki on jest wesoły.

Ted miał jednak pewne wątpliwości. Jego zdaniem Jill zbyt nisko oceniała siebie. Nie docierało do niej, że i ona może zrobić wrażenie na facecie. Chciał jej coś na ten temat powiedzieć, ale nie zdążył, bo nagle spotkało go coś równie przyjemnego, jak nieoczekiwanego.

– Idziemy! – powiedziała Jillian i wsunęła małą dłoń w jego dłoń.

Czyli szok, bo Jillian zdecydowała się go dotknąć. Nic do tego jej nie zmuszało, nie była to sytuacja bez wyjścia. Wzięła go za rękę z własnej, nieprzymuszonej woli. Owszem, przedtem też czasami go dotykała, ale to, co stało się teraz, było bardzo znamienne. Był to taki pierwszy krok ku zażyłości.

– Idziemy – powtórzył, splatając palce z jej palcami.

Uśmiechnął się do Jillian, ona uśmiechnęła się do niego. Jej serce wystukiwało w piersi nieprawdopodobnie szybki rytm, wszystkie zmysły były wyostrzone. Była ogromnie przejęta. Przecież to właśnie jest początek nowego życia. Cudowny początek ich wspólnego życia.

Rourke oczywiście domyślał się, co robili za zamkniętymi drzwiami, stąd bardzo znaczący uśmiech zdobiący jego jednooką twarz, kiedy zapraszał ich do stołu.

Ted już po przełknięciu pierwszego kęsa wyraził swoje uznanie:

– Naprawdę dobry stek – powiedział szczerze.

I wtedy Rourke ich zaskoczył, gdy oznajmił:

– Przecież nie mogło być inaczej! W przerwie między niebezpiecznym zajęciem a drugim lubię popracować w knajpie. Konkretnie w jednej z lepszych restauracji w Jo'burgu. – Jak każdy rdzenny mieszkaniec Johannesburga pieszczotliwie skrócił nazwę miasta.

– Czyli stek między jedną walką a drugą? – spytała rozbawiona Jillian.

– Zgadza się, z tym że zdecydowanie wolę walkę. W końcu urodziłem się w Afryce.

– A Afryka zawsze była jednym wielkim miejscem przestępstwa – stwierdził komendant policji, czyli Ted. – Cash dużo mi o tym opowiadał.

Rourke pokiwał smętnie głową.

– Cóż, tak to można określić, niestety. Państwa afrykańskie, jak wiemy, na ogół są zwaśnione, choć wszystkie grzecznie należą do Organizacji Jedności Afrykańskiej, liczącej w sumie pięćdziesięciu czterech członków. Ale prawda jest taka, że bez przerwy wybucha jakaś krwawa wojna. Żołnierz najemny nie musi szukać pracy, zawsze jest jej pełno. Ale to nie jest robota lekka, łatwa i przyjemna... Najgorsze jest patrzeć na to, co oni wyprawiają z dziećmi. Dzieciakom z podstawówki dają automat do ręki, uczą, jak korzystać z różnych materiałów wybuchowych. W ogóle nie mają pojęcia, czym jest prawdziwe dzieciństwo.

– To straszne... – szepnęła Jillian.

– Ale niestety tak jest – powiedział Ted. – Nigdy nie podróżowałaś, Jake, a świat w zdecydowanie większej części wygląda trochę inaczej niż Hollister.

– Domyślam się. A mówiłam ci już, że nie podróżowałam nie dlatego, że mnie to nie pociąga. Po prostu nie było na to pieniędzy.

– U mnie też z kasą było nie najlepiej – przyznał Ted. – Dlatego zresztą wstąpiłem do wojska. To był jedyny sposób, żeby zobaczyć kawałek świata.

– Też od małego marzyłem o podróżach – wtrącił Rourke. – W pewnym sensie moje marzenia się spełniły, ale tego, co przy okazji zobaczyłem, nie pokazują w turystycznych czasopiśmiech i folderach.

– Masz też ranczo, tak? – spytał Ted. – Chyba o tym wspominałeś...

– Tak, mam. – Rourke uśmiechnął się. – Na szczęście w tej części

Afryki, gdzie jest spokojnie. Nie muszę się obawiać, że w razie jakiejś wojennej zawieruchy stracę swoją ziemię.

– I hodujesz brahmy – powiedział Ted, nie kryjąc niesmaku. – To prawdziwe brzydactwa.

– Ale są nieocenione. Warunki życia w Afryce są niezwykle ciężkie. Nasze bydło musi być bardzo dzielne, wytrzymałe na upały i suszę. Z tego zresztą powodu niektórzy amerykańscy ranczerzy włączają je do swoich stad.

– Wiem, widziałem ich bardzo dużo w Teksasie – powiedział Ted.

Rourke pokiwał głową. Skończył stek, popił mocną kawą, którą zresztą sam zaparzył i poruszył inny temat, zresztą bardzo aktualny:

– Harris jest sfrustrowany, ponieważ Jillian poprosiła jedną z kelnerek, żeby zamiast niej wstawiała ciasta do gabloty.

– I co z tego, że wkłada – odezwała się ponurym głosem Jillian. – Moich ciast prawie nikt już nie kupuje. Przedtem rozchodziły się błyskawicznie, teraz rzadko kto prosi o kawałek. To przez tę krecią robotę Davy’ego. Wciska każdemu, kto tylko chce słuchać, że nie powinien jeść wypieków tak wrednej osoby jak ja. On...

– Chwileczkę... – przerwał jej Ted. – A nie słyszałaś o konkursie?

– Nie. A co to za konkurs?

– Nie wiesz? Czyli nie czytasz miejscowych gazet – stwierdził Rourke. A Jillian wcale nie zaprzeczyła, co więcej, powiedziała:

– Nie czytam, bo i po co. W tak małym mieście człowiek błyskawicznie dowiaduje się od innych, co się dzieje. A gazetę czyta się na przykład wtedy, kiedy chce się wiedzieć, kogo ostatnio aresztowano. Ja nie muszę, bo Ted i tak mi powie. Czy jest więc sens, żebym wydawała pieniądze na gazetę?

Została za tę przemowę nagrodzona śmiechem.

– Ale o konkursie i tak nie wiesz – powiedział Ted. – A przecież

burmistrz ogłosił, że mieszkańcy Hollister przez najbliższe dwa tygodnie mają się powstrzymać od słodyczy każdego rodzaju. W konkursie biorą udział osoby pracujące. Po dwóch tygodniach każdy uczestnik konkursu ma się zważyć. Pracownicy danej firmy, którzy najwięcej stracili na wadze, mają otrzymać nagrodę pieniężną, z tym że nagrodę wypłaca właściciel danej firmy. On sam ustala wysokość nagrody, natomiast pracownicy decydują, co się zrobi z tymi pieniędzmi. Mogą potraktować ją jako dodatek do pensji, można je też spożytkować na poprawę warunków pracy.

Jillian rozpromieniła się.

– Więc wcale nie chodzi o mnie. Boże, co za ulga!

Ted roześmiał się.

– Oczywiście, że nie o ciebie. Wczoraj czy przedwczoraj, kiedy wpadłem do restauracji, słyszałem, jak dwóch facetów żaliło się, że z powodu tego konkursu nie mogą zjeść ani kawałka wspaniałego ciasta wystawionego w gablocie.

– O, jak dobrze! – ucieszyła się Jillian. – Czyli niebawem problem ciasta się rozwiąże.

– Tak. Nie wiadomo jednak, jak to będzie z innym twoim problemem – powiedział Rourke. – Jak wiemy, Harris, choć nikt nie widział, żeby polował, kupił sobie duży nóż typu Bowie. Wiemy też, że jeśli podczas kolejnej rozprawy znowu zostanie uznany winnym, dostanie co najmniej dziesięć lat, może nawet piętnaście. Dużo kręcę się po mieście, często zaglądam do restauracji, i słyszałem, jak Harris mówił komuś, że dobrowolnie nie wróci do tego piekła. Czyli, krótko mówiąc, Davy Harris nie ma nic do stracenia. Ty, Ted, oczywiście, o tym wszystkim wiesz.

– Wiem... – Uśmiechnął się do Jillian. – Dlatego weźmiemy ślub już w najbliższą sobotę.

Zaskoczona Jillian najpierw cicho coś krzyknęła, potem posypały się protesty:

– W sobotę? Najbliższą sobotę? Niemożliwe! Zostało tak mało czasu. Jak ty to sobie wyobrażasz?

– Poradzimy sobie – oświadczył Ted. – A przez tych kilka dni, które dzielą nas od ślubu, zamieszkasz u Sassy, dobrze?

Jillian miała wielką ochotę podyskutować na powyższy temat, ale jednak pełne powagi spojrzenia obu mężczyzn skutecznie ją od tego odwiódły. Westchnęła więc tylko i powiedziała to, co Ted chciał usłyszeć:

– Dobrze.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Callisterowie byli wyjątkowo gościnni, ponadto Sassy mimo protestów Jillian od razu zajęła się przygotowaniem do ślubu.

– Nigdy tego nie robiłam, Jill, nawet kiedy sama wychodziłam za mąż. John wynajął profesjonalistów, ponieważ na nasz ślub miało przyjechać bardzo wiele bardzo ważnych osób. A teraz wreszcie mam okazję się wykazać. Jestem zachwycona. Zajmę się wszystkim. Tak, Jill. Koniec dyskusji!

W związku z powyższym pewnego pięknego dnia Sassy i Jill pojechały do sklepu z sukniami ślubnymi, by kupić, wiadomo, suknię ślubną.

Oczywiście bez protestów ze strony Jillian się nie obyło:

– Sassy, zrozum, ale naprawdę nie mogę sobie pozwolić na zakupy w tym sklepie! Przecież na metkach nawet nie ma ceny!

Sassy uśmiechnęła się promiennie.

– John i ja uzgodniliśmy, że suknia ślubna i wszystkie dodatki to będzie nasz prezent ślubny. Dlatego nie krępuj się, tylko wybierz naprawdę coś ładnego. Może będziesz miała córkę, a ona kiedyś będzie chciała iść do ślubu w sukni, w której kiedyś szła do ślubu jej matka.

Córkę... Jillian nie myślała jeszcze o tym. O tym, że może będzie miała dzieci, na przykład dziewczynkę. Słodkie maleństwo, które będzie uczyła chodzić, będzie nosiła na rękach i tuliła do siebie. Będzie czytała jej bajki. Tak, tak to będzie. Przecież kiedy jest się żoną, zostaje się też i matką. I to jest cudowne.

– Jillian, nie marudź, tylko zacznij oglądać suknie.

Ona jednak, zanim przystąpiła do oglądania, objęła serdecznie

przyjaciółkę.

– Dziękuję, Sassy! Za wszystko. Dziękuję i za suknię, i za to, że mogę do ślubu mieszkać u was.

– Nie musisz dziękować, Jill. Od tego ma się przyjaciółki. Gdybym znalazła się w podobnej sytuacji, postąpiłabyś tak samo. Jestem tego pewna.

– Tak, jasne, ale wiesz, często myślę, że jednak kiepska ze mnie przyjaciółka. Mam ogromne wyrzuty sumienia, że wtedy, kiedy przybiegłam do was, naraziłam ciebie na wielkie niebezpieczeństwo. Przecież mógł cię zabić! Teraz też nie jesteś bezpieczna...

– Jill, nie katuj się tym. Przecież wtedy poradziłam sobie z nim bez trudu, a teraz mam przy sobie Johna, czyli naprawdę mogę spać spokojnie.

– No, męża, trzeba przyznać, masz super.

– Oczywiście. Jill, proszę, zacznij wreszcie oglądać te suknie!

– Dobrze... O Boże, ale jak tu wybrać! One wszystkie są takie piękne...

Nagle obie drgnęły, kierując wylęknione spojrzenia w tył, tam, skąd dobiegał zniechęcony głos:

– Słyszałem, że wychodzisz za mąż, Jill – cedził Harris. – Już w sobotę.

– Tak. Wychodzę za mąż – potwierdziła chłodno Jill.

– A ja kiedyś miałem nadzieję, że wyjdiesz za mnie. Wszystko już zaplanowałem, jak ubierzemy się do ślubu, gdzie zamieszkamy. Dogadałem się też z pewnym ranczerem, że wezmę u niego robotę w pełnym wymiarze godzin. Tak, wszystko zaplanowałem, a kiedy chciałem wyznać, co do ciebie czuję, ty wszystko zepsułaś.

– To może ja ci teraz wyznam, co do ciebie czuję! – krzyknęła Sassy już wcale nie wylękniona, za to na maksa wściekła. – Tylko chwilka. Gdzie jest moja strzelba?

– Zachowujesz się jak terrorystka. Grozisz mi! Warto by powiadomić o

tym media.

– A przy okazji może udostępnić im protokół z rozprawy, co?!

Twarz Harrisa stężała.

– Nie bądź taka cwana – warknął. – Wszystkie baby to idiotki. Mój ojciec zawsze to powtarzał.

Moja matka była do niczego, nie umiała nawet gotować. Zawsze coś przypaliła.

Jillian wbiła w niego wzrok.

– I co z tego? To jeszcze o niczym nie świadczy!

Harris zignorował ją, tylko patrząc na Sassy, mówił dalej:

– Zawsze była taka nerwowa. Raz wezwała policję, ale potem ojciec zrobił tak, żeby nie miała już takiej możliwości. Wsadzili go do więzienia. Nie miałem pojęcia, za co, ale wiadomo było, że z powodu matki.

Sassy i Jillian spojrzały po sobie. A Harris spojrział teraz na Jillian.

– Ojciec umarł w więzieniu, ale ze mną tak nie będzie. Ja tam nigdy nie wrócę. Nigdy! Ale szkoda gadać, ty teraz przecież pochłonięta jesteś tylko swoim ślubie. Inaczej być nie może. Miłego dnia!

Odwrócił się i odszedł.

Wspólna wyprawa do sklepów straciła cały urok. Sassy oczywiście nalegała, żeby Jillian postarała się jednak skoncentrować na zakupach, okazało się to jednak niewykonalne. Była przerażona, bo zyskała już absolutną pewność, że Harris zamierza ją zabić. Potem może zabije siebie, ale to nie było przecież żadnym pocieszeniem. A Harris jest potworem, z takim człowiekiem nie ma co dyskutować. On swoje wie. Człowiek, który uważa, że jego rodzona matka krzywdziła jego ojca, bo wezwała policję, kiedy mąż najprawdopodobniej ją maltretował...

– Niestety, wariatów nie brakuje – mruknęła w którymś momencie

Jillian, kiedy wracały już na ranczo. – Gdyby wuj John przed przyjęciem Harrisa do pracy dowiedział się o nim czegoś więcej, nigdy by go nie wpuścił pod swój dach. Moim zdaniem Harris jest po prostu chory psychicznie. Niby zachowuje się normalnie, ale to wychodzi z niego, kiedy zaczyna mówić o sobie.

– Masz rację... – Sassy odetchnęła głęboko. – Dobrze, że był z nami Rourke.

– Rourke? Nie widziałam go.

– Właśnie o to chodzi. A on kręcił się cały czas w pobliżu, w każdej chwili gotowy do interwencji. Gdyby Harris zachował się gwałtownie albo ewidentnie groził, byłby już w drodze do aresztu. Z tym że podczas tej drogi musiałyby zajrzeć na ostry dyżur. Nigdy nie widziałam Rourke'a w akcji, ale John mówi, że chwala Bogu, bo czegoś takiego naprawdę nie powinnam oglądać.

Jillian zaśmiała się.

– A ja widziałam Rourke'a w akcji. Smażył steki!

– Słyszałam o tym, słyszałam. Ted był zazdrosny?

– Oczywiście! Ale kiedy dotarło do niego, że Rourke jest w porządku, od razu ochłonął. Mają zresztą wspólnego znajomego, pewnego komendanta policji z Teksasu, którego Ted poznał podczas szkolenia w Akademii FBI.

– Rourke to niezły numerant. Bardzo lubi się wygłupiać, ale podpatrzyłam, że kiedy jest sam, przechodzi metamorfozę. Jest bardzo poważny, wiesz, powiedziałabym nawet, że smutny. Szkoda mi go. Życie na pewno nie raz dało mu popalić.

– Może nie jest tak źle. Opowiadał nam o Afryce, o tym, że ma tam ranczo...

– Ale na przykład o tym K. C. Kantorze nikomu nie opowiada, a ludzie

jednak gadają, że matka Rourke'a i ten Kantor byli kiedyś ze sobą bardzo blisko.

– A więc jednak zastanawiasz się, czy to nie jego ojciec? Nie, Sassy. Moim zdaniem, niemożliwe. Z tego, co ludzie opowiadają o Kantorze, to nie był facet, który bawiłby się w ojca.

– Ja jednak myślę, Jill, że wszystko jest możliwe.

– A ja tak sobie myślę, że gdybym była ojcem Rourke'a, byłabym bardzo dumna z takiego syna. Moim zdaniem to świetny facet.

– Fakt – przytaknęła Sassy, zajeżdżając już przed dom. – Właśnie dlatego John go zatrudnił.

John, mąż Sassy, człowiek bardzo sympatyczny, beztroski i szalenie otwarty, absolutnie nie pasował Jillian na milionera. Przyjaciółkę żony traktował po prostu jak młodszą siostrę. Jillian bardzo lubiła też matkę Sassy, niestety bardzo schorowaną, i Selene, dziewczynkę zaadoptowaną przez panią Peale. Selene uczęszczała do szkoły podstawowej, była rewelacyjna w naukach ścisłych. John, człowiek o złotym sercu, bardzo dbał i o teściową, i o małą szwagierkę. Był wobec nich tak samo troskliwy jak wobec żony.

Ten sam jednak John, kiedy dowiedział się, że Sassy i Jillian natknęły się w Billings na Harrisa, natychmiast przestał być beztroski. Zdenerwował się, a podczas kolacji, którą jedli razem z Rourkiem, był z kolei zamyślony.

– On jest bardzo niebezpieczny – powiedział w pewnej chwili.

– Oczywiście – przytaknął Rourke. – Przede wszystkim nie powinien wychodzić na wolność. Moim zdaniem wasze prawo jest do bani.

– No... nie przesadzajmy. Na pewno jest rozsądniejsze niż te drakońskie przepisy, jakie mieliśmy kiedyś.

– W przypadku Harrisa takie właśnie przepisy by się przydały – stwierdził Rourke. – To chory facet. Niby zachowuje się normalnie, ale jak

zaczyna gadać, od razu widzisz, że ma nie po kolei. To tego rodzaju typ, co uważa, że zawsze jest w porządku, tylko wszyscy wokół go prześladują.

– Niestety, to się zdarza – powiedział John. – Znałem kiedyś faceta, który był absolutnie pewien, że rząd nasyła na niego szpiegów, żeby go obserwowali. Szpiegdy niewidzialni, to znaczy on ich widział, ale reszta ludzi już nie. Pracował kiedyś dla nas, na ranchu. Gil i ja zatrudniliśmy go, bo był świetny do koni. I to był wielki błąd.

– To znaczy?

– Facet miał psa. To był naprawdę zły pies, ale nie chciał się go pozbyć. Któregoś dnia przyszedł z nim na werandę i zaczął straszyć córeczki Gila, więc Gil uderzył go i wyrzucił z pracy. Wtedy on zaczął się mścić. Zaczął przecinać ogrodzenia, zabijać nasze bydło, na koniec próbował zabić i nas. W końcu wylądował w więzieniu.

– John, to straszne! – wykrzyknęła przerażona Jillian. – Teraz rozumiem, dlaczego od razu wynająłeś ochroniarza dla Sassy.

– No tak. – Nie wspomniał, że jego żonę napastował właściciel sklepu z paszą, gdzie Sassy kiedyś pracowała. Teraz napastnik odsiadywał wyrok.

I w tym samym sklepie John poznał Sassy...

Jego pełne czułości spojrzenie spoczęło na żonie.

– Nie pozwolę, żeby Sassy spotkało coś złego. Tak samo jak... – uśmiechnął się do Jillian – jak jej najlepszej przyjaciółce.

Rourke zaśmiał się.

– Dopóki tu jestem, nie ma takiej opcji! Jillian, skarbie, może jednak byś wyszła za mnie? Naprawdę większość zębów mam swoich. Poza tym, jak wiesz, potrafię gotować. A o twoim narzeczonym słyszałem, że nie potrafi nawet zagotować wody.

– Dobrze słyszałeś – przyznała Jillian z uśmiechem. – Ale i tak już

wybrałam. Bardzo mi przykro, Rourke. Teda znam od zawsze i tak ogólnie rzecz biorąc, zgadzamy się. Myślę, że będziemy dobrym małżeństwem.

Co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Ted na pewno będzie miły i cierpliwy, pomoże jej pozbyć się urazów, które pozostawiła w jej psychice ta historia z Davym.

Gdy ona sobie tak dumiała, Rourke się rozżalił.

– To niesprawiedliwe! – oświadczył zboliałym głosem. – Kiedy wrócę do domu, czekać na mnie będą tylko czworonogie brzydactwa. I dalej będę żył w brudzie, sam jak palec.

– Nie trać nadziei, Rourke – powiedziała Jillian, uśmiechając się do niego ciepłutko. – Jesteś świetnym facetem, na pewno znajdzie się dziewczyna, która cię pokocha, która marzy o tym, by spędzić życie na małej farmie w afrykańskiej głuszy.

John prychnął, krztusząc się swoją kawą.

Rourke spojrział na niego bardzo chłodno.

– John, już w porządku? – spytała zaniepokojona Sassy.

– Tak, tak... – Otarł usta serwetką, nadal tłumiąc śmiech. – Myślę, że powinna być to dziewczyna, która potrafi szyć rany – oznajmił po chwili.

Rourke poczęstował go kolejnym lodowatym spojrzeniem, po czym wycedził:

– Nie ma takiej potrzeby. Rzadko kiedy jestem postrzelony. Potrafię w porę pochylić głowę!

– A to fakt – przyznał John, wbijając widelec w następny kawałek steka. – W głowę dostał tylko raz, na szczęście dość powszechna opinia głosi, że nie wpłynęło to negatywnie na jego szare komórki. – O utracie oka nie wspomniał, wiedział bowiem, że Rourke na tym punkcie jest bardzo drażliwy.

Teraz zaś powiedział:

– Dostałem tu. – Dotknął bardzo małej blizny tuż nad skronią. – Ale... – Jasnobrazowe oko spojrzało na Johna ze złością. – Ale wcale mnie nie postrzelili, tylko dostałem nożem.

– Nie, to straszne...

Jillian popatrzyła na niego niemal z czułością. John omal się nie udławił kolejnym kęsem steka.

– Może już zejście ze mnie? – spytał chłodno Rourke.

– Jasne – powiedział skwapliwie John. – Nie gniewaj się, stary. – I popił kawą.

Jillian zdawała sobie sprawę, że ten dialog między Rourkiem a Johnem pełen był podtekstów. Nie miała jednak zamiaru niczego dociekać, to przecież ich sprawa, a ona miała swoje. Mnóstwo, w tym jedną najważniejszą.

Ślub.

Suknia ślubna była przepiękna. Jillian trudno było oderwać od niej oczy, od białego cuda rozwieszonego na drzwiach pokoju gościnnego. Spoglądała tam co chwilę. I także co chwilę – no, może co godzinę, dwie – na ranczo Callisterów wpadał stęskniony za narzeczoną Ted. Za którymś razem zabrał Jillian na długi spacer do lasu, by mogli trochę pobyć sami i spokojnie pogadać.

Był to bardzo przyjemny spacer. Ted trzymał Jillian za rękę i prowadząc ją ścieżką dokumentnie zasypaną śniegiem, co jakiś czas mówił narzeczonej coś bardzo miłego.

Jak na przykład to:

– Nie wyobrażam sobie, żebym mógł ciebie nie widzieć przez cały dzień!

Jillian z wrażenia aż przystanąła.

– Szczerze?

– Oczywiście! – Objął ją i przyciągnął do siebie. – Oczywiście...

Po czym nastąpił słodki, ciepły i wilgotny pocałunek, podczas którego Ted dodatkowo rozkoszował się faktem, że Jillian bez żadnych oporów reaguje na tę pieśczoć. Była też aktywna. Jej ciepłe wargi odpowiadały. Poza tym Jillian od razu objęła go za szyję, bez żadnego ociągania, jakby było to dla niej chlebem powszednim.

W rezultacie Ted podczas całowania jednocześnie się uśmiechał, a po zakończeniu pocałunku oświadczył:

– Wiesz, jestem naprawdę dobrej myśli. Wierzę, że z czasem przyzwyczaję się nawet do tego, że Sammy chodzi za ludźmi jak pies. A ty przyzwyczaisz się do mojego strzelania z werandy.

I tu czekał go maleńki wstrząs, bo Jillian, uśmiechając się słodko, spytała:

– A może nauczysz mnie strzelać?

– Ciebie?! Strzelać?!

– Czemu nie? Może złapię bakcyła i będziemy mieli takie samo hobby. Z wielką chęcią zaczęłabym chodzić z tobą na strzelnicę. Bo widzisz, ja... – Wyraźnie zakłopotana schyliła głowę i zaczęła bawić się guzikiem przy jego koszuli. – Ja bardzo nie lubię, kiedy ciebie przy mnie nie ma.

Kiedy jestem sama... no to jest, jak jest. Ale z tobą... z tobą jest cudownie.

Nic dziwnego, że po takiej deklaracji Ted omal nie zmiażdżył jej w uścisku, a pocałunek, który potem nastąpił, był wyjątkowo żarliwy. Ted przyciskał ją przy tym tak mocno do siebie, że Jillian nie mogła nie wyczuć, jak bardzo jest podniecony.

Ona też. Była okropnie pobudzona, dlatego jęknęła cicho. I nie był to protest. Ależ skąd! Tylko wtuliła się w Teda jeszcze mocniej. I wtedy Ted też jęknął, po czym wyrzucił z siebie chrapliwym, lekko zadyszczanym głosem:

– Nie wiem, czy dam radę powstrzymać się do soboty. Nie wiem! Chyba do tej soboty nie dożyję!

– Ja też nie wiem – wyznała drżącym głosem Jillian. – Och, Ted...

Gdy tak się całowali i gadali, Ted zdążył błyskawicznie rozpiąć jej kurtkę, podciągnąć bluzkę i stanik. Kiedy jego wargi przywarły do nagiej piersi Jillian, już zaczął tracić poczucie rzeczywistości. W rezultacie nie wiedział, jak i kiedy oboje znaleźli się raptem w pozycji leżącej. Na śniegu. On na niej, ona pod nim. I całowali się zapamiętale.

Kiedy poderwał głowę, Jillian drżała, czuł jednak, że to nie chłód ani strach. Jej oczy były półprzymknięte z pożądania.

– Ja też chcę tego – wyszeptała. – Chcę, chcę...

Przez długą chwilę leżeli nieruchomo w topniejącym śniegu, starając się ochłoniąć. Jillian czuła, jak jej ubranie na plecach i nogach przesiąka wodą.

Nad sobą widziała Teda, widziała, jak uniósł się, opierając się na rękach, na moment zastygł, zamykając oczy, a potem jego głowa opadła.

Czoło Teda dotknęło czoła Jillian.

Był potwornie pobudzony, wyczuwała to doskonale. Dla ukojenia pogłaskała go po kruczoczarnych włosach, a potem drobnymi, niewinnymi pocałunkami obsypała twarz, na koniec całując przymknięte powieki, nawet rzęsy, czarne, krótkie i bardzo gęste.

– Już w porządku... – wyszeptała. – Już dobrze.

Ted był zdumiony, że kilka drobnych pieszczot

i słów podziałały na niego jak balsam. Dzięki tej nieskomplikowanej, lecz czulej metodzie zaczął się wyciszać, krew w jego żyłach krążyła już

wolniej.

– Uczysz się poskramiać dzikie bestie – szepnął do jej ciepłutkiej, aksamitnej szyi.

Usłyszał cichy śmiech.

– Poskromić? A po co? Tylko troszkę uspokoić. A wiesz co? Coś mi się zdaje, że nasze małżeństwo będzie niezłą przygodą.

– Też tak myślę. – Wstał i pociągnął ją za sobą, potem pomógł doprowadzić do porządku ubranie. – Będzie dobrze – oświadczył. – Oboje kochamy mapy i tango. Będziemy co tydzień jeździć do tego klubu.

– Super! – Oczy Jillian rozbłyły.

Ted objął ją. Przez chwilę stali nieruchomo wśród jedynej w swoim rodzaju ciszy. Ciszy lasu zaszypanego śniegiem.

– Nawet w niebie nie jest lepiej – szepnął po chwili wyraźnie wzruszony Ted.

Pewnie nie... – odszepnęła Jillian. – Jestem tak szczęśliwa, Ted. Chyba umrę z tego szczęścia.

– A ja z tobą. Chociaż nie, doczekajmy przynajmniej do soboty.

– Mhm... A ta suknia, którą kupiła mi Sassy, jest przepiękna. Panu młodemu wolno ją zobaczyć dopiero na ślubie, ale tak sobie myślę, że może zrobić wyjątek...

– Jasne! Bardzo chciałbym ją zobaczyć.

Trzymając się za ręce, wrócili na ranczo. Byli zachwyceni, szczęśliwi, w euforii. W takim stanie ducha Jillian była po raz pierwszy, tak samo jak Ted.

I te złączone ręce... Wyglądali, jakby od wieków chodzili ramię w ramię. I pomyśleć, że tak już będzie zawsze...

Sassy, która krzątała się po kuchni, na ich widok uśmiechnęła się od

ucha do ucha.

– Ted, oczywiście zostaniesz na lunch? Będzie papryka chili i chleb meksykański.

– A naprawdę wystarczy dla mnie? – spytał dowcipnie Ted.

– Naprawdę. Mam tego mnóstwo.

– A więc skorzystam z zaproszenia. Dzięki. A teraz idę obejrzeć suknię ślubną Jillian.

– Nie! – wykrzyknęła dramatycznie Sassy, chociaż oczy jej się śmiały.

– To może przynieść pecha.

– Nie nam! Prawda, skarbie? – Ted spojrzał czule na przyszłą małżonkę.

Ona równie czule spojrzała na niego i leciutko ścisnęła jego palce.

– Prawda... kochanie – szepnęła przyszła małżonka, oczywiście czerwona jak burak.

Trzymając się za ręce, powędrowali do pokoju gościnnego. Jillian otworzyła drzwi i nagle stanęła jak wryta. Rumieniec znikł, twarz Jillian zrobiła się kredowobiała.

Tuż za progiem na podłodze leżała jej ślubna suknia, kiedyś przepiękna. Kiedyś, bo ktoś pociął ją na wążutkie paski.

Najprawdopodobniej nożem typu Bowie.

– Jake, nie wolno ci tam wchodzić – powiedział Ted, zagradzając jej drogę ramieniem. – Teraz jest to miejsce przestępstwa. Wezwę śledczego z biura szeryfa i techników z laboratorium stanowego. Wiadomo, kto to zrobił, ale potrzebujemy dowodów.

Rozdygotane ręce Jillian objęły go kurczowo w pasie. Wcisnęła twarz w jego pierś i drżała jak liść targany wiatrem. Boże jedyny, jakim cudem Davy Harris mógł wejść do tego domu? I nikt go nie zauważył, nawet Rourke! To

było przerażające.

Po jakimś czasie pojawiła się obok niej Sassy. Spojrzała na dzieło zniszczenia i bardzo mocno objęła przyjaciółkę.

– Będzie dobrze – szepnęła, ale jej oczy były rozbiegane, wylęknione. I było w nich pytanie, które teraz zadawali sobie wszyscy. Jakim cudem ktoś mógł się zakraść do tak starannie strzeżonego domu?

Rourke, kiedy dowiedział się, co się stało, wpadł w szal.

– Ten śmierdziel, ta gnida! Cholera jasna! Wkrada się tutaj, robi, co chce, dosłownie pod moim nosem! A ja, debil, o niczym nie wiem! O nie! Coś takiego nigdy się już tu nie zdarzy, prędzej skonam! A z tego domu zrobi się prawdziwą fortecę!

Naturalnie nikt z nim nie dyskutował, bo wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że sytuacja nie tyle jest poważna, co po prostu tragiczna. Niestety nie docenili możliwości Davy’ego Harrisa, który, jak się właśnie okazało, potrafi skradać się jak nikt.

– Przecież był myśliwym! – krzyknęła Jillian. – Tak, właśnie sobie przypominałam. Nawet mi pokazał, jak się tropi sarnę czy jelenia. Rzeczywiście potrafił chodzić tak jak duch. Zastawiał też potrzask na niedźwiedzia. Powiedział, że tak naprawdę na wilka, który czatuje na cielęta, ale wuj John potem mówił mi, że w ten potrzask złapał się czyjś pies.

John, Rourke i Ted wymienili spojrzenia. Każdy z nich wiedział, że potrzaski na niedźwiedzia służą również do innych celów, łącznie ze schwytaniem nic niepodjęzającego człowieka.

– Ted... – Jillian wlepiła w niego przerażone spojrzenie. – A jeśli on zastawi taki potrzask na Sammy? On wie, jak ja ją kocham...

– Nie zrobi tego. Na pewno nie – powiedział Ted twardym głosem, obejmując Jillian ramieniem.

Oczywiście, kłamał.

W którymś momencie Rourke znikł na chwilę, a wrócił z miną jeszcze bardziej ponurą.

– Technicy już tu jadą. Niebawem zrobi się tłok. Miejmy nadzieję, że znajdą dowody i wreszcie będziemy mieli problem z głową.

Co wcale nie było takie proste, okazało się bowiem, że sprawca nie zostawił żadnych śladów, żadnych odcisków palców. Niczego, co by wskazywało, że do domu Callisterów zakradł się Davy Harris.

– No cóż... to by było wszystko, jeśli chodzi o zasadę wzajemnej wymiany Locarda – stwierdził ponurym głosem Ted, po czym, spoglądając na Jillian, wyjaśnił jej dokładniej: – Edmond Locard był znanym francuskim kryminalistyką. To on sformułował tę zasadę. Chodzi o to, że sprawca nie tylko pozostawia ślady, lecz również zabiera je ze sobą z miejsca zbrodni.

– Czyli Davy nie pozostawił...

– To prawda, nie pozostawił żadnych śladów. Czyli jest w tym bardzo dobry albo po prostu ma piekielne szczęście – mruknął Ted, obejmując Jillian ramieniem. – Ale i tak się z tego nie wywinie. Jest jedyną osobą w tym mieście, która miała motyw. Udowodni mu się winę, to tylko kwestia czasu.

– Ale wracając do tej zasady, Ted. Chodzi o zabieranie śladów ze sobą. W takim razie powinno się sprawdzić ten jego nowy nabytek, nóż typu Bowie. Może na ostrzu są jakieś mikroskopijne ślady białej koronki?

– Właśnie od tego chcę zacząć, tylko muszę zdobyć nakaz rewizji od sędziego. Jadę do niego, a ty, Jake, nie ruszasz się z domu. Słowo?

– Słowo.

Pocałował ją i zbiegł pędem po schodach.

Wrócił po kilku godzinach. Jakiś czas po jego powrocie ktoś do niego zadzwonił, a nieco później do Jillian dotarło, że Ted nie odstępował jej na krok.

Towarzyszy jej wręcz demonstracyjnie. Dokądkolwiek by szła, zarówno w domu, jak i poza domem, on zawsze jest obok niej, kroczy wyprostowany i doskonale widoczny.

Na przykład teraz, kiedy idą przez podwórze. Ted oczywiście razem z nią, rozluźniony, z rękoma w kieszeniach jasnych sportowych spodni.

– Ted, co się dzieje?

– A co ma się dziać?

– Przede wszystkim to, że zwykle o tej porze jesteś w pracy.

Najpierw się uśmiechnął, potem odparł:

– Mówiłem ci już, i to niejeden raz, że rozstawanie się z tobą mnie wykańcza. A dziś udało mi się tak wszystko zorganizować, że mogę pobyć z tobą.

– Ted, nie ściemniaj! Powiedz lepiej... – Nie dokończyła, tylko krzyknęła w nieartykułowany sposób.

Nie mogło być jednak inaczej, skoro Ted zrobił coś szokującego. Po prostu pchnął ją na ziemię. Upadła, a on przykląkł, błyskawicznie wyciągnął pistolet i zaczął strzelać do kępy ośnieżonych krzewów rosnących koło domu. A ją w tym momencie coś porządnie zakłuło w ramię.

Potem usłyszała huk jeszcze innych wystrzałów. Kule przeleciały nad jej głową, była pewna, że to kaliber 45, i poleciały ku drzewom, rosnącym kawałek dalej.

– Jake, jak z tobą? – rzucił przez ramię Ted.

– W po... porządku.

Przestał strzelać. Wstał i znieruchomiał z przekrzywioną głową. Nasłuchiwał. Po kilku minutach gdzieś z daleka dobiegł odgłos zatraskiwanych drzwi samochodu, potem rozległ się warkot silnika.

Ted wyszarpnął z kieszeni komórkę. Krótko i zwięźle przekazał, co się

wydarzyło. Powiedział, w jakim kierunku mógł odjechać samochód, powiedział też, że osoba, do której strzelano, nie poniosła poważnych obrażeń.

Schował komórkę i przykląkł przy rozdygotanej Jillian, która półprzytomnym wzrokiem wpatrywała się w swoje ramię. Rękaw szarej bluzy był rozdarty, całe ramię we krwi. I piekło okropnie.

– Co... co to było? – wyjąkała.

– Niestety, trafił cię, skarbie – wyjaśnił Ted. – To nazywa się rana postrzałowa. Wiadomo, kto strzelał. Dostałem nakaz przeszukania miejsca zamieszkania Harrisa. Wynajął tu pokój. Pojechali tam, żeby zrobić rewizję, lecz jego nie było w domu, a jeden ze śledczych zadzwonił do mnie, by przekazać, że

Harris dziś rano kupił karabinek z celownikiem teleskopowym.

– Przecież miał wyrok! Siedział! Czy ktoś taki może kupić broń?

– Teoretycznie nie, ale w praktyce nawet w tak małym mieście jak nasze możesz kupić broń nielegalnie. Wiemy już, kto mu sprzedał. Będzie miał za swoje.

Oszołomiona Jillian powoli oswajała się z faktem, że została postrzelona. Wciąż leżała na ziemi, patrząc, jak z drugiego krańca posiadłości nadjeżdża dżip i hamuje gwałtownie.

Z auta wyskoczył Rourke, a na widok zakrwawionej Jillian skrzywił się.

– Zauważyłem drania, śledziłem go, a on nagle wystrzelił! Omal nie trafił mnie szlag! Powinienem być szybszy! Ted, myślisz, że trafiłeś go?

– Nie jestem pewien – odparł, pomagając Jillian podnieść się z ziemi. – Jake, zawiozę cię do lekarza. Rourke, dzwoniłem już do biura szeryfa. Przyjadą tu z psami i naszym najlepszym śledczym. Może będą potrzebowali twojej pomocy. Powiedziałem szeryfowi, że bierzesz udział w tej sprawie, bo pracujesz dla Callisterów.

Rourke zmrużył swoje jedyne jasnobrązowe oko. Wyglądał całkiem inaczej niż tamten dowcipniś, co namawiał Jillian do małżeństwa.

– Wiem, spartoliłem robotę, wpuszczając go na teren posiadłości. Ale to nie znaczy, że nie potrafię go teraz wytropić – powiedział mściwie.

– Rourke, wyluzuj. – Ted położył dłoń na jego ramieniu. – Przecież nikt nie mógł niczego przewidzieć. Z Jillian będzie dobrze. I powtarzam, śledczy jest już w drodze. Skontaktuje się z tobą. Dałem mu numer twojej komórki.

Rourke pokiwał głową, a gdy spojrział na Jillian, znów się skrzywił, a potem powiedział:

– Cholernie mi przykro...

Uśmiechnęła się do niego ciepło.

– Rourke, nie szalej. Wszystko będzie dobrze.

– Też nie miałem pojęcia, że on tu jest – powiedział Ted. – Dopóki nie usłyszałem strzału.

– Nie po raz pierwszy w życiu, co? – spytała Jillian, siląc się na dowcip.

– No nie... Ale chodźmy już.

Poszli do wozu policyjnego. Ted ostrożnie usadowił w samochodzie Jillian, która zaczynała czuć się coraz gorzej. Było jej okropnie niedobrze.

– Teraz boli mnie porządnie – przyznała. – A na początku tak nie bolało, tylko takie ukłucie. Nawet się nie zorientowałam, że mnie postrzelił. O nie! Ted! Poczekaj, nie ruszaj, ja muszę..

Szybko wychyliła się z samochodu i ku swej największej rozpaczyc zwróciła na ziemię wszystko, co miała w żołądku.

Na oczach przyszłego małżonka. Omal nie spaliła się ze wstydu. A Ted po prostu podał jej czystą, białą chusteczkę, potem pomógł z powrotem usadowić się w samochodzie i przekraczając dozwoloną szybkość, zawiózł ją

do szpitala na ostry dyżur.

– Jak się ogląda w telewizji, wygląda to jednak inaczej – powiedziała sennym głosem Jillian, wtulając się w poduszkę. Była już po wszystkich zabiegach i leżała w szpitalnym łóżku, ponieważ lekarze zatrzymali ją na obserwacji. Między innymi podano jej środki przeciwbólowe, dlatego oczy same jej się zamykały.

– Ale co, kochanie?

Uśmiechnęła się. Była po prostu zachwycona, kiedy wielki Theodore Graves pochylił się nad nią i delikatnie pogłaskał po policzku.

– No, kiedy ktoś jest postrzelony. Na filmach nikt po czymś takim nie wymiotuje.

– Bo to tylko film. W prawdziwym życiu wszystko wygląda inaczej.

– Tak, wiem... Ted, tylko nie śmiej się ze mnie, ale okropnie się martwię o moją Sammy. Bardzo ją kocham i tak się boję, że on zrobi jej coś złego.

– Nie robi. Na pewno.

– Tak myślisz? Ale i tak się martwię. O ciebie też, oczywiście!

Czarne oczy Teda rozbliły.

– Bo mnie też kochasz? Jak Sammy?

– Kocham – powiedziała ze śmiertelnie poważną miną. – Kocham. Na całym świecie nie ma innego człowieka, którego kochałabym bardziej niż ciebie.

Policzki Teda pokrył lekki rumieniec, bo komendant policji Theodore Graves po prostu wzruszył się, a nawet rozczulił, dlatego objął wielkimi dłońmi jasnowłosą głowę narzeczonej i pocałował ją bardzo mocno i bardzo zdecydowanie. Jak ktoś, kto jest już bardzo pewny swego.

– A ja kocham cię dwa razy mocniej – szepnął do jej ust.

– Naprawdę?! – Jillian wlepiła w niego zachwycone oczy. –

Naprawdę?!

– Oczywiście! Gdybym cię nie kochał, nigdy bym się z tobą nie ożenił. Tego rodzaju poświęcenie jest kompletnie bez sensu. A ja żenię się z tobą, bo cię kocham.

– Nigdy dotąd mi tego nie powiedziałeś.

– Ty też nie – odparł ze śmiechem.

– To prawda. Ale... – Jillian położyła rękę na jego ramieniu. – Ale jakoś tak głupio mi było mówić to pierwsza, rozumiesz...

Ted cmoknął ją w czubek nosa.

– Ale i tak powiedziałaś pierwsza.

– Niestety, tak... – przyznała z cichym westchnieniem.

Potem zapadła cisza, podczas której każde z nich oswajało się z cudowną wiadomością, że jest kochane. Oswajało się także ze świadomością, że uczucie, które żywi do drugiej osoby, jest wyjątkowo gorące.

Pierwszy poderwał głowę Ted.

– Jake, wiesz, że najchętniej w ogóle bym od ciebie nie odchodził. Niestety mam coś do roboty, i to coś bardzo pilnego.

– Oczywiście. – Pokiwała głową. – Jak trzeba, to trzeba, panie komendancie. Uważaj na siebie, Ted.

A gdybyś znalazł chwilkę, sprawdź, jak tam z moją Sammy, dobrze? Proszę!

– Na pewno do niej zajrzę.

– Dziękuję. Jesteś kochany.

– A pewnie! No to pa!

Kiedy lekarze pozwolili Jillian wrócić do domu, do szpitala przyjechała Sassy i zabrała ją na ranczo.

Zdaniem Sassy było na to zdecydowanie za wcześnie.

– Uważam, że powinni cię zatrzymać w szpitalu na całą noc, Jill.

– Chcieli, ale się uparłam. Nienawidzę szpitala. Sassy, powiedz, nie ma nowych wiadomości? No wiesz, o Harrisie.

– Wiem tylko, że policjanci z psami przeczesują las, ale ten drań mógł pozacierać za sobą ślady.

– Na pewno. Pamiętam, jak mi mówił, że są różne sposoby, żeby pies zgubił trop.

– No to fatalnie – ponuro skomentowała Sassy. – Łajdaka niełatwo będzie dopaść.

Kiedy podjeżdżały pod dom, Sassy postanowiła przejść do tematów przyjemniejszych:

– Mam dla ciebie niespodziankę, Jill!

– Niespodziankę?! A jaką? Powiedz!

– Coś ty! Przecież to ma być niespodzianka!

Uśmiechając się tajemniczo, poprowadziła przyjaciółkę przez hol do pokoju gościnnego. Kiedy otworzyła drzwi, Jillian stanęła jak wryta.

Na drzwiach szafy wisiała przepiękna suknia ślubna, identyczna jak tamta, którą Davy Harris pocałował na wążutkie paseczki.

– Okazało się, że mieli dwie takie suknie – powiedziała Sassy. – Ta druga wystawiona była w sklepie w Los Angeles. Zadzwońłam i zaklepałam ją. No i jest! Bo ten ślub musi się odbyć. Nikt nie jest w stanie temu przeszkodzić!

Sassy była dumna jak paw, a Jillian po prostu zalała się łzami i wyściskała serdecznie swoją kochaną, nadzwyczajną przyjaciółkę.

– Sassy, dzięki! Jesteś wielka.

– Drobiazg. Najważniejsze, że ta suknia ma taki sam rozmiar jak tamta.

Nieprzytomna ze szczęścia Jillian musnęła palcami koronki i cudowny

haft.

– Cudo... – szepnęła. – Nigdy w życiu nie widziałam piękniejszej sukni. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę, Sassy.

– Jill, proszę, daj już sobie spokój z tym dziękowaniem. Wciąż powtarzam, że jesteśmy przyjaciółkami, prawda? Poza mamy podobne doświadczenia. Nie lubię tego wspominać, ale na pewno wiesz o incydencie z moim byłym szefem, właścicielem sklepu z paszą, gdzie pracowałam przed zamążpójściem. Nie było tak drastycznie, jak w twoim przypadku, niemniej wiem dobrze, jak to jest być napastowaną.

– To okropne.

– Niestety, na świecie nie brakuje łajdaków. Ale nie zapominajmy, że jest też mnóstwo porządnych facetów. Jednego z nich ja wzięłam za męża, a drugi przypadł tobie.

– Tak... O ile ten Harris znowu czegoś nie wymyśli.

– Niemożliwe, Jill. W tej akcji bierze udział tylu policjantów. Nie, on nie ma żadnych szans.

– Ale i tak martwię się o moją Sammy. Prosiłam, żeby Ted, jeśli tylko będzie mógł, zajrzał do niej, bo Harris może zrobić jej coś złego, żeby się na mnie zemścić.

– Nic jej nie zrobi, Jill. Kiedy pojechałam po ciebie do szpitala, John i dwóch parobków wzięli ciężarówkę do transportu bydła i pojechali po Sammy. Przywiozła ją tutaj, żebyś już się nie martwiła.

– Och, Sassy... – Jillian z trudem powstrzymywała łzy. – Jesteście tacy kochani. Ile już dla mnie zrobiłaś! Ty i John. Już nie wiem sama, jak ci dzie...

– Jill, stop! Przecież w razie potrzeby też mogę na ciebie liczyć, prawda? A teraz dość już łez i zmartwień. Teraz masz myśleć tylko o tym, że za dwa dni staniesz przed ołtarzem.

– Już tylko dwa dni... A może powinniśmy przełożyć ślub?

– Nigdy w życiu! – zaprotestowała Sassy. – Nie bój się, już nasza głowa w tym, żebyś stanęła na nogi. Nawet gdybyśmy mieli cię wozić od jednego lekarza do drugiego przez dwie doby na okrągło, ślub odbędzie się w sobotę i basta!

TTLR

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W końcu nadszedł ten dzień, kiedy Jillian Sanders, ściskając w rękę bukiet z białych i różowych różyczek, szła środkiem wiejskiego kościołka. Zbliżała się do ołtarza, przy którym czekał na nią Ted. Nie była jeszcze w pełnej formie. Ręka nadal bolała, w sercu czuła niepokój. Przecież ten szaleniec, Davy Harris, mógł zacząć się za którymś z tych okien i w każdej chwili zacząć strzelać.

Tak, wszystko mogło się zdarzyć. Mimo to twarz Jillian, kiedy zajmowała miejsce u boku pana młodego, jaśniała.

Pastor odczytał przysięgę. Jillian powtarzała każde słowo. Potem powtarzał Ted, a także wsunął na palec żony złotą obrączkę. Drugą złotą obrączkę, o wiele większą, Jillian wsunęła na palec męża. Przez cały czas patrzyli sobie w oczy, potem Ted pocałował żonę. Pocałował tak czule, że Jillian tego pocałunku nie zapomni do końca życia.

Trzymając się za ręce, przeszli środkiem kościoła i roześmiali się radośnie, kiedy dwie dziewczynki, córki jednego z policjantów, tuż za progiem obsypały ich płatkami róż.

A potem, zaraz po wejściu do sali bankietowej, do akcji wkroczyła Sassy.

– Teraz zdjęcia – zarządziła. – Stańcie, proszę, tutaj.

Sassy, mimo protestów Jillian, wynajęła profesjonalnego fotografa. Był to jeszcze jeden prezent ślubny od Callisterów.

Stoły w sali bankietowej przykryto śnieżnobiałymi obrusami, zastawiono jadłem i napojem, czyli ponczem. Wśród tych kryształów i porcelany Jillian w swojej przepięknej sukni czuła się po prostu jak królowa.

Królowa szczęśliwa, między innymi dlatego, że poprzedniego dnia wieczorem razem z Tedem poszła do Sammy, by zobaczyć się z nią i upewnić, czy ma wszystko, czego jej potrzeba. Może i głupio tak histeryzować z powodu zwierzęcia, ale Sammy była bardzo bliska jej sercu. Kiedy matkę malutkiej Sammy zabił piorun, Jillian wzięła cielątko pod swój dach. Na werandzie na tyłach domu zrobiła legowisko ze starych koców i karmiła maleństwo przez całą dobę na okrągło. Dzięki temu przeżyło.

To przywiązanie do cielaczka bawiło Teda, tym bardziej że jałówka wszędzie chodziła za Jillian jak za matką. Próbowwała nawet wejść do domu, do pokoiów mieszkalnych. Ted żartował, że na szczęście nie trzeba jałówki przewijać albo że Jillian powinna swój pokój zmienić w pokój dziecienny. Dla Sammy, oczywiście.

– Ted, a nie wiesz przypadkiem, czy jak pojechali po Sammy, nie znaleźli mojej kurtki? – spytała Jillian, kiedy wyszli już z obory. – Musiałam ją położyć przy dróżce, którą chodzimy zawsze z Sammy na spacer. Ta skórzana kurtka, z haftem. Jeśli będzie padać, zniszczy się na deszczu. Kiedy przeprowadzałam się do Sassy, kompletnie o niej zapomniałam.

– Nikt mi o żadnej kurtce nie mówił. Pojedziemy tam później i poszukamy, już po powrocie do domu.

– Do domu... – Jillian westchnęła i zamknęła oczy. – No tak, przecież będziemy mieszkać razem.

– Tak... – Pogłaskał ją po policzku i dodał żartobliwie: – Razem, choć niestety w pewnym stopniu osobno. Dopóki rana się nie zagoi, jesteś pod ochroną.

– Dzięki. A wiesz, nigdy nie przypuszczałam, że taka rana to jednak poważna sprawa.

– Bo to, niestety, głęboka rana. Że też nie możemy dopaść tego gada!

Przecież przeczesaliśmy całą okolicę.

– Może już stąd wyjechał? – z nieskrywaną nadzieją spytała Jillian.

– Znaleźliśmy jego samochód. Został porzucony mniej więcej w połowie drogi od Callisterów na nasze ranczo. Były ślady na drodze, ale na poboczu pies zgubił trop. Aha, powiedzieli mi, że ślady wokół pikapa świadczą, że on coś wyładowywał z samochodu.

– Może po prostu wyjmował walizkę czy torbę?

– Nie wiadomo. W każdym razie sprawdzono wszystkie okoliczne drogi i dworzec autobusowy, niestety, ani śladu. Po prostu rozpląnął się w powietrzu.

– O Boże! Tak bardzo chciałabym mieć pewność, że on tu już nie wróci.

– Ja też. – Pocałował ją. – Z tym że my, cokolwiek się zdarzy, zawsze damy sobie radę. Razem, ty i ja. Pamiętaj o tym, Jake.

Ted i Jillian byli więc już małżeństwem, chwilowo jednak białym, ponieważ Ted nie żartował, gdy mówił, że powinni z tym poczekać, aż zagoi się rana Jillian.

Ale wieczorem, kiedy oglądali film w telewizji, Ted pocałował Jillian, ona pocałowała jego. Potem rozsiedli się wygodniej i jakoś tak się stało, że ich ubrania znalazły się na podłodze. A oni leżeli na sofie wtuleni w siebie, po raz pierwszy nadzy, będąc ze sobą.

Dla Jillian ta sytuacja na początku nie była łatwa. Ted oczywiście zdawał sobie z tego sprawę. Pocałował żonę w przymknięte powieki i szepnął:

– Spokojnie, Jake. Postaraj się wyluzować. Nie opieraj się, tylko poruszaj się w tym samym rytmie co ja... O, tak, właśnie tak...

A potem to już było tylko zapamiętanie się, namiętność, uniesienie. Nigdy dotąd Jillian czegoś takiego nie przeżywała. Jej ciało ogarnął nie-

prawdopodobny żar, jakby nagle stanęła w płomieniach. Wbijała paznokcie w biodra Teda, krzyczała spazmatycznie, oddychała głośno, a mąż konsekwentnie zabierał ją ze sobą do tego największego wspólnego uniesienia.

Aż wreszcie tam dotarli.

I dopiero po dłuższej chwili Jillian przypomniała sobie, że jest ranna.

– Mieliliśmy z tym poczekać... – szepnął skruszony Ted.

Roześmiała mu się prosto w nos.

– A po co? W końcu to tylko ręka, trochę boli, ale to drobiazg.

Potem zerknęła na niego, niby nieśmiało, jednocześnie jednak spojrzenie przekazywało: było cudnie.

Ted uniósł znacząco brwi.

– Czy oprócz ręki nic cię nie boli?

– Nic a nic. – Uśmiechnęła się promiennie.

– Skoro tak...

Opadł na nią, znów zaczął poruszać się rytmicznie. Jillian objęła go przez plecy i aż krzyknęła z tej największej przyjemności i zachwytu.

On tylko się zaśmiał.

Długo trwało, zanim ułożyli się wreszcie do snu rozkosznie zmęczeni i szczęśliwi. Przespali noc, ranek, południe, w rezultacie nie pojechali do kościoła i nie odebrali telefonu od szeryfa Kane'a.

Larry Kane nagrał się na sekretarkę:

– Graves, zadzwoń do mnie jak najszybciej. To pilne.

Ted i Jillian popatrzyli na siebie mocno zaniepokojeni, po czym Ted złapał komórkę, a po chwili powiedział:

– Graves. Co się dzieje? – Potem przez chwilę słuchał coraz bardziej posępny, wreszcie krzyknął: – Co?!

Jillian, płonąc z niecierpliwości, spytała bezgłośnie:

– Co jest?

Ted podniósł tylko rękę, przekazując bez słów: Poczekaj, potem powiem.

I westchnął.

– Od jak dawna? – Znowś słuchał, kiwnął głową. – No tak, prawdę mówiąc, nikomu tego nie życzę... Ironia losu, tak... Powiem jej, oczywiście. Dziękuję, Larry. – Zamknął telefon, po czym spojrzał na żonę. – Dziś rano znaleźli Davy’ego Harrisa.

– Gdzie teraz jest? – spytała Jillian, z tych nerwów już zagryzając dolną wargę.

– Przewieźli go do laboratorium stanowego.

– Tam... ale zaraz... przecież tam zabierają tylko nieżywych... O Boże! Czy to znaczy, że on nie żyje?

– Tak, kochanie, nie żyje. Znaleźli go na ranczu z jedną nogą w potrzasku. Zastawił go między drzewami koło dróżki, którą chodzisz z Sammy na spacer. Najpewniej kiedy przywiązywał go do drzewa łańcuchem, sam złapał się w potrzask i nie mógł się z niego wydostać. Może zgubił kluczyk? Nie wiadomo, w każdym razie nie mógł się uwolnić i wykrwawił się na śmierć.

– Mój Boże... To jednak straszne... – Przysunęła się do Teda i mocno wtuliła w niego.

– Tak, Jake. Straszne, ale nie zapominaj, że tak miała umrzeć twoja Sammy. – O tym, że być może i Jillian, już nie wspomniał.

– Przecież wiem. A teraz siostra Harrisa na pewno oskarży nas o spowodowanie jego śmierci. Pamiętam przecież, co wygadywała pięć lat temu.

– Ona nie żyje już od dwóch lat Jake. Przedawkowała. W tej rodzinie wszyscy mieli problemy.

– A skąd o niej wiesz?

– Zawsze istniała możliwość, że Harris ukrywa się u siostry, więc wczoraj kazałem to sprawdzić, no i okazało się, że ona nie żyje. Ale nie mówiłem ci. Nie chciałem, żebyśmy w noc poślubną rozmawiali o Harrisie.

– Czyli bardzo smutny finał i dla brata, i dla siostry...

– Mami ludzie, mamy los. To nie nasza bajka, Jake. Dla mnie najważniejsze jest to, że ty żyjesz. Ty!

Jillian wtuliła się w niego jeszcze mocniej.

– Tak, Ted. Tak...

Po trzech dniach Rourke poleciał z powrotem do Afryki. Miał wyjechać wcześniej, ale Sassy i John zatrzymali go niemal siłą. Bardzo chcieli pokazać mu Montanę, choć obecnie była przykryta grubą warstwą białego puchu.

Rourke obfitością śniegu był urzeczony.

– Nakręciłem film o śniegu – pochwalił się, kiedy przyjechał pożegnać się z Jillian i Tedem. – W Kenii niestety ilości to rzadkość.

– Rourke, dziękuję, że pomogłeś mi pozostać przy życiu – powiedziała Jillian.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł elegancko.

Z Tedem uścisnęli sobie ręce.

– Rourke, jeśli chcesz nauczyć się łowić pstrągi, zapraszamy na wiosnę, kiedy śnieg stopnieje.

– Super. Jeszcze się skontaktujemy, uzgodnimy co i jak.

Potem patrzyli, jak wsiada do pikapa, który miał zawieźć go na lotnisko w Billings. A kiedy znikł im z oczu, Jillian objęła męża wpół i poszli do innego samochodu, to znaczy do samochodu patrolowego.

– Ted, przyjedziesz do domu na lunch?

– Myślę, że... tak! – Ted uśmiechnął się szeroko. – Przygotujesz coś do jedzenia? A może spędzimy tę godzinę tak jak zwykle?

– Ale co ty... oczywiście, że mogę zrobić kanapki!

– A wiesz? Zrób! I włóż do torebki, zabiorę je na posterunek. – Puścił do niej oko.

Jillian, choć przecież mężatka z jakimś już tam stażem, zaczerwieniła się. Ale też i wybuchnęła śmiechem.

– Jasne! Szkoda przecież w przerwie na lunch tracić czas na głupie jedzenie.

Ted pocałował żonę. Zrobił to niby delikatnie, ale widać było, że go już rozpiera.

– Masz rację, skarbie. A więc widzimy się w południe.

Teraz Jillian pocałowała męża.

– Będę na ciebie czekać.

Ted wszedł do wozu. Kiedy wjeżdżał na drogę dojazdową, pomachał ręką, jeszcze raz żegnając żonę. A Jill, odprowadzając go wzrokiem, pomyślała, że przeszła naprawdę długą drogę. Kiedyś przerażona nastolatka, napastowana przez Davy'ego Harrisa, teraz stateczna mężatka. A tak. W małżeństwie układało im się dobrze, a tak naprawdę cudownie. Jillian jeszcze nigdy dotąd nie była tak szczęśliwa, tak zadowolona z życia. Przed południem nadal pracowała w restauracji. Chciała zachować trochę niezależności, poza tym dodatkowe pieniądze bardzo się przydawały. Ted, pracując jako komendant policji, raczej nie miał szans na zabicie fortuny.

Nie szkodzi, bo może właśnie skromne życie wpływało na nich tak pozytywnie. Nie gonitwa za pieniędzmi i upajanie się bogactwem, tylko po prostu życie we dwoje. Razem, ramię w ramię.

Jillian wolnym krokiem ruszyła do domu, patrząc na cudownie pyszniąca się wokół biel. Śnieg znów zaczął padać, białe magiczne piórka fruwały dookoła jej głowy.

Zima jest piękna. Piękna jak życie Jillian.

TTLR